

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 9 (1457) ROK XXIX

1 MARCA 1986 ROKU

CENA 20 ZŁ

PL ISSN 0472-5042

Nr indeksu 36762

- Sejmowe raporty i refleksje
- Porwanie w Kartuzach
- Gdzie nas pochowają?
- Czy umiemy lansować gwiazdy?



Foto: Grzegorz Galasiński

Która kobieta nie lubi się stroić?

TERESA JERZYKOWSKA

CO NOSI ELEGANCKA KOBIETA?

O tym, czy jakaś pani jest osobą elegancką, czy też nie — zupełnie decyduje ponoć nie tyle suknia — lecz raczej to, co pod spodem, czyli efektowna bielizna. Co prawda stosując takie kryterium możemy zaprezentować naszą wytworność — bądź jej brak — znacznie mniejszej liczbie osób niż przy kryterium oceny opartym na odzieży wierzchniej, ale faktem jest, że bardzo wiele kobiet przywiązuje ogromną wagę do urody podomków, nocnych koszul czy bielizny dziennej.

Choć rynek na tym odcinku poprawił się znacznie, na nadmiar ładnej bielizny ciągle jeszcze narzekać nie możemy. Wśród producentów, którzy korzystnie wyróżniają się wzornictwem znajduje się łódzki zakład o długich tradycjach: FEMINA. Co prawda nie produkuje się tu bielizny bawełnianej — lecz jedynie z dzianin stylizowanych, ale jest ona naprawdę ładna i funkcjonalna.

Dwie plastyczki zakładowe — do których jeszcze nie tak dawno przyjeżdżały uczyć się i podpatrywać koleżanki z młodszymi zakładami tej branży — przygotowują rocznie około 450 nowych modeli (nie licząc adaptacji starych, produkowanych już poprzednio), z czego na około 250 opracowuje się peł-

na dokumentację i są one wprowadzane do produkcji.

Obecnie najnowsze rzeczy — których życie rozpocznie się w 1986 roku — to podomki i koszule nocne z haftowanymi karczami oraz znakomite komplety dzienne z krótką, idealną m.in. do spodni koszulką, a także bielizna u nas nieznaną, a robiąca karierę w państwach zachodnich pod nazwą „body” — coś w rodzaju kombinizonu, zastępującego wszystkie elementy bielizny używanej dotychczas.

W koszulkach i kompletach z „Feminy” niesłychanie atrakcyjnie wyglądają zarówno panie bardzo szczupłe, jak popularna niegdyś modelka Twiggy oraz o kształtach nieco bardziej rubensowskich. Docenili to m.in. realizatorzy telewizyjnych „Sekscesów” zamawiając bieliznę do jednego z programów właśnie w „Feminie”.

Pracownice zakładu na co dzień, do pracy nie noszą jednak wyprodukowanych przez siebie koszulek (chyba że są to już rzeczy w sposób wyraźny używane), aby w przypadku kontroli nie narazić się na niemiłe podejrzenie.

Zresztą szycząc atrakcyjną bieliznę „sexy” przez wiele lat można się nawet trochę znudzić, a problemy i kłopoty w pracy bywają podobne do tych, jakie mają kobiety szyczące np. pomarańczowe kubraki dla robotników drogowych.

6

W końcu ubiegłego roku kraj obiega informacja o pojawieniu się w handlu zatrutych konserw rybnych. Mimo upływu trzech miesięcy nie ma jednoznacznej odpowiedzi na pytanie, jak do tego doszło. Fakty spletały się z zagadkami.

Faktem jest, że umiera człowiek, który zjadł konserwowane filety rybne. Faktem jest, że w resztkach tego pokarmu wykryto truciznę zwaną jadem kiełbasianym. Faktem jest również, że skądinąd renomowanego producenta konserw — spółdzielnię „Łosoś” w Ustce — obwiniono o drobne niedopatrzności natury technologicznej. Natomiast ciągle nie ustalono bezpośredniej przyczyny zgonu konsumenta fileatów. Nie wiadomo też, w jaki sposób trucizna znalazła się w jednej tylko puszcze...

Do czasu wyjaśnienia wszystkich okoliczności wypadku, Główny Inspektor Sanitarny wstrzymuje sprzedaż konserw rybnych z „Łososią”. W magazynach zalega pół miliona podejrzanych puszek.

ŚMIERTELNE ZATRUCIE

5 grudnia 1985 roku, Piotrków Trybunalski. W szpitalu wojewódzkim przebywa mężczyzna z objawami ciężkiego zatrucia pokarmowego. Chory odczuwa silne bóle, ma porażony układ nerwowy, zaburzenia w krążeniu krwi. Stan zdrowia pacjenta określa się jako krytyczny. Intensywna pomoc medyczna nie daje pozytywnych rezultatów. Wieczorem następuje zgon. Lekarze sądzą, że przyczyną śmierci chorego mogło być spożycie zatrutego pokarmu.

Następnego dnia do siedziby Wojewódzkiej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej w Piotrkowie Trybunalskim zgłasza się żona zmarłego. Przynosi woreczek foliowy zawierający resztki konserwy rybnej. Twierdzi, że ostatnim posiłkiem jej męża była właśnie owa konserwa, której pochodzenia nie zna. Opakowanie — metalowa puszka z nazwą wytwórcy i datą produkcji — zostało wyrzucone na śmietnik.

Wstępna analiza składników potrawy pozwala najpierw ustalić handlową jej nazwę, potem zlokalizować producenta. Towar nosi nazwę „Filety rybne w sosie węgierskim” i pochodzi ze Spółdzielni Pracy Rybołówstwa Morskiego „Łosoś” w Ustce. Sanepid niezwłocznie podejmuje działania zapobiegające niebezpieczeństwu zbiorowego zatrucia. Inspektorzy stwierdzają, że w pierwszych dniach grudnia 1985 r. piotrkowski handel rozprowadzał konserwy z Ustki wyprodukowane 9 i 29 października oraz 4 i 5 listopada 1985 roku. Wszystkie te wyroby mogą być źródłem zagrożenia życia konsumentów. O fakcie tym zostaje poinformowane Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej. Zapada decyzja o wycofaniu z obrotu podejrzanych puszek.

Niebawem środki masowego przekazu w całym kraju nadają komunikat: Główny Inspektor Sanitarny ostrzega przed spożywaniem „Filetów rybnych w sosie węgierskim” ze spółdzielni „Łosoś” w Ustce. Konserwy te mogą zawierać toksynę botulinową,

czyli niezwykle groźny jad kiełbasiany. Zakupione puszki z filetami należy odnieść do sklepów. Będą szczegółowo badane.

Handel ocenia, że do chwili wstrzymania sprzedaży, klienci nabyli kilkadziesiąt tysięcy konserwowanych fileatów z Ustki. Jednakże dotychczas nie zanotowano kolejnych przypadków zatrucia tymi rybami. Zaraz po nadaniu ostrzeżenia, w kraju gwałtownie spada popyt na wszelkie konserwy rybne. Nikt nie ma odwagi nabyć jakiegokolwiek wyrobów oznaczonych metką „Łososia”. Ludzie dmuchają na zimne.

Tymczasem foliowy woreczek z resztkami podejrzanego konserwy trafia do laboratorium łódzkiego Sanepidu. Próbkę są pod-

ROMAN KUBIAK

„Łosoś” w sosie zagadkowym

dawane drobiazgowej analizie. 16 grudnia 1985 roku laboranci informują o wyhodowaniu na nich toksyny B. Oznacza to wykrycie w filetach obecności jadu kiełbasianego — jednej z najsilniejszych znanych trucizn. Do akcji wkracza Prokuratura Wojewódzka w Piotrkowie Trybunalskim.

KONTROLA

20 grudnia 1985 roku bramy ustekiej spółdzielni „Łosoś” przekraczają kontrolerzy Wojewódzkiej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej w Słupsku oraz inspekcja weterynaryjna. Rozpoczyna się kompleksowy przegląd stanu sanitarnego u producenta nieszczęśliwych fileatów. Kontrolerzy badają także zgodność procesów technologicznych z polskimi normami. Trwa poszukiwanie przyczyn tragedii.

Inspekcja nie depatruje się żadnych, nawet najdrobniejszych zaniedbań sanitarnych w pomieszczeniach spółdzielni. Wszędzie panuje wzorowa czystość, surowo respektowanie wymogów higienicznych produkcji. Sanepid potwierdza, że „Łosoś” należy do tych zakładów branży spożywczej, które zawsze cechuje dbałość o idealny wręcz porządek.

Trochę dłużej kontrolerzy zatrzymują się przy dwóch potężnych sterylizatorach konserw. Urządzenia te służą do wyjal-

wiania produktów żywnościowych — termicznego niszczenia zawartych w nich drobnoustrojów. Każdy sterylizator mieści około trzech tysięcy zamkniętych puszek. Konserwy przebywają w nim pięćdziesiąt pięć minut w temperaturze plus sto piętnaście stopni Celsjusza. Następnie puszki są schładzane, a kilka wybranych losowo trafia do laboratorium, gdzie przechodzą badania jakościowe. Uwagę kontrolujących zwraca niesprawność aparatury samorejestrującej przebiegi procesów sterylizacji — tzw. termopisów. Wątpliwości budzą też niejasnej treści zapisy w dokumentacji technologicznej, nanoszone tam poprawki oraz brak kilku notatek z przebiegu poszczególnych faz wyjalawiania. Obsługa autoklawów nie potrafi wyjaśnić treści niektórych zapisów w zeszytach roboczych. Wynika z nich, że jeden autoklaw pracował o dwadzieścia minut za krótko, pomyłono też numerację sterylizatorów, co znalazło odzwierciedlenie w dokumentacji.

Robotnicy obsługujący autoklawy mają blisko dwudziestoletni staż nienagannego pracy. Dobrze wiedzą, że za ewentualny błąd, który spowoduje zniszczenie wsadu, zapłacą karę równą wartości zmarnowanego produktu. Mają również jasną świadomość tego, co stanie się w przypadku skrócenia czasu sterylizacji konserw. Trudno przypuszczać, by ludzie ci dokonywali zapisów wyraźnie świadczących przeciw nim. Albo — więc notatki były niestaranne, albo...

Wyniki inspekcji zostają przekazane resortowi zdrowia. Jednocześnie Sanepid zaleca kierownictwu spółdzielni „Łosoś” ściśle przestrzeganie zasad prawidłowej sterylizacji konserw i kontroli jej przebiegu. Urządzenia pomiarowe mają być sprawne, a obsługa autoklawów winna podlegać bezpośredniemu nadzorowi. Puszki z obróbką termiczną, których staranności nie udokumentowano, wędrują do laboratorium.

6 stycznia 1986 roku Departament Inspekcji Sanitarnej Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej po zapoznaniu się z wynikami kontroli, podejmuje decyzję: wszystkie konserwy z „Łososią” wyprodukowane przed wykryciem nieprawidłowości mają być natychmiast wycofane z handlu. Departament uznaje, że skierowanie ich do sprzedaży stanowi zagrożenie dla zdrowia i życia konsumentów. Postanowiono, że konserwy z Ustki będą zwolnione z zakazu sprzedaży dopiero po powtórnej wyjalawieniu.

CIĘŻKA RĘKA MINISTERSTWA

Zakwestionowane wyroby „Łososia” obejmują kilkanaście rodzajów konserw wyprodukowanych między 1 października a 23 grudnia 1985 roku. W sumie zakaz sprzedaży dotyczy blisko półmilionowej partii puszek zgromadzonych w magazynach spółdzielni oraz na zapleczeniach sklepów. Łączna ich wartość przekracza czterdzieści milionów złotych. Po stronie zysków jest uniknięcie ryzyka zbiorowego zatrucia.

6

Ogłosy

Adres redakcji: 90-113,
Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny
36-52-44,
sekretarz redakcji,
fotoreporter: 36-80-99,
publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.

Zastępca redaktora
naczelnego: Edmund
Lewandowski.

Sekretarz redakcji:
Gracyna Olechnowicz.

Kierownik działu
literackiego: Grzegorz Gazda.

Redaktor techniczny:
Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,
Dariusz Dorożewski,
Eugeniusz Iwanicki, Teresa
Jerzykowska, Andrzej
Karolczak, Roman Kubiak,
Jerzy Kwieciński, Bogda
Madej, Andrzej Makowiecki,
Paweł Tomaszewski,
Jolanta Wrońska.

Grafik: Janusz
Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz
Gałasiński.

Korekta: Mariola Knaga,
Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:
Tadeusz Białejewski,
Krzysztof
Drzewiecki, Bohdan
Gadomski, Witold
Kasperkiewicz, J. Stanisław
Knypl, Włodzimierz
Krzemiński, Alfred
Lutrzykowski, Władysław
Malka, Marek Mamos,
Zenon J. Michalski,
Jerzy Panasewicz, Karol
J. Strykowski.

Wydawca: Łódzkie Wydawni-
ctwo Prasowe RSW „Prasa —
Książka — Ruch” 91-103 Łódź,
ul. Piotrkowska 96.

DRUK: Prasowe Zakłady Gra-
ficzne RSW „Prasa — Książka
— Ruch”, Łódź, ul. Armii
Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie za-
mówionych rękopisów i zastrze-
ga sobie prawo do skrótków.

Warunki prenumeraty: 1. dla
instytucji i zakładów pracy: —
zlokalizowane w miastach woje-
wódzkich i pozostałych miastach,
w których znajdują się siedziby
Oddziałów RSW „Prasa —
Książka — Ruch” zamawiają
prenumeratę w tych oddziałach
— instytucji i zakładów pracy
zlokalizowane w miejscowościach,
gdzie nie ma Oddziałów
RSW „Prasa — Książka —
Ruch” opłacają prenumeratę w
urzędach pocztowych i u dorę-
czycieli. 2. dla indywidualnych
prenumerat: osoby fizyczne
zamieszkałe na wsi i w miejscowościach,
gdzie nie ma oddziałów
RSW „Prasa — Książka —
Ruch” opłacają prenumeratę w
urzędach pocztowych i u dorę-
czycieli. 3. Prenumeratę ze
zleceniem wysyłki za granicę
przyjmuje RSW „Prasa —
Książka — Ruch” Centrala Kol-
portażu Prasy i Wydawnictw,
ul. Towarowa 28, 00-958 War-
szawa konto NBP XV Oddział
w Warszawie nr 1153 201045-
-139-11. Prenumerata ze zlece-
niem wysyłki za granicę pocztą
zwykłą jest droższa od prenu-
meraty krajowej o 50 proc. dla
zleceniodawców indywidualnych
i o 100 proc. dla zlecających in-
stytucji i zakładów pracy. Ter-
miny przyjmowania prenumerat
na kraj i za granicę — do
dnia 10 listopada na I kwartał
i półrocze roku następnego oraz
cały rok następny — do dnia
1 każdego miesiąca — poprze-
dzającego okres prenumerat
roku bieżącego.

Zam. 511, B-2

2 ODGŁOSY

Hiszpania jakoś mniej się interesujemy. Leży
na skrajach Europy, jakby trochę na uboczu.
Wprawdzie ciągle tam coś się dzieje, ale to coś
nie ma tak dużego wpływu na losy Europy,
jak choćby wydarzenia w RFN, Italii czy in-
nych krajach z Francją i Anglią włącznie. Te-
raz Hiszpania startuje do NATO i decyzyja ta
wywołala fale protestów.

A przecież Hiszpania była przed 50 laty pier-
wszym krajem, który zdecydowanie powiedział
NIE! faszystom. Były to czasy Frontu Ludowego
ale nigdzie nie doszło do tak ostrego starcia,
jak właśnie w Hiszpanii.

Przed 50 laty

Pierwsi powiedzieli: nie!

Monarchia upadła w Hiszpanii w 1931 roku,
kiedy zwyciężyli w wyborach republikanie i
Alfonso XIII musiał opuścić swój kraj. Zmieniła
się w Hiszpanii forma rządów, nie zmienił się
ustrój. Nadal władza pozostawała w rękach lie-
mianstwa i burżuazji. Chłopi oczekiwali ziemi,
a reforma objęła jedynie dobra królewskie i
największych obszarów. Rok 1933 przyniósł
Hiszpanii bezrobocie i głęboki kryzys. Radyka-
lizowały się nastroje ludności. Było około 15
milionów bezrobotnych. Narastały nastroje rewolu-
cyjne. Z drugiej strony burżuazja szykowa-
ła się do obrony swoich interesów. Wzorem Niemiec i
Włoch w Hiszpanii stał się mody faszizm.
We wrześniu 1933 roku powstała faszystowska
organizacja Falanga. Obok niej inne o takim
samym charakterze.

W 1936 roku — 16 lutego — zwyciężył w wy-
borach do Korteżów Front Ludowy. Do Korte-
żów weszło 16 komunistów. Powstał rząd repu-
blikkański o lewicowym charakterze, ale bez re-
wolucyjnej konsekwencji w działaniu. Było to

w zasadzie zwycięstwo tywiolów drobnomiesz-
czańskich, których wyniosły rewolucyjne nastroje
mas. Ogłoszono amnestię dla więźniów polity-
cznych, rozwiązano niektóre organizacje fa-
szystowskie, ogłoszono autonomię Katalonii,
wprowadzono ustawodawstwo socjalne, zapowie-
dziano rozszerzenie reformy rolnej.

Było zrozumiałe, że burżuazja i obszarnicy ta-
two nie oddadzą swoich wpływów, że musi
dojść do starcia. Prawicowe ugrupowania spi-
skują. W nocy z 17 na 18 lipca 1936 roku w Ma-
roku pada sygnał do rebelii przeciw republi-
ce. Rozpoczyna się w Hiszpanii wojna domowa. Po
stronie prawicy stają faszysty Niemiec i Włoch
Ich zbrojne oddziały, czołgi i samoloty walczą
przeciw legalnemu rządowi republikańskiej
Hiszpanii. Gen. F. Franco uderza na Madryt.
Ale Madryt bronił się i obronił. Padł dopiero
pod koniec wojny domowej na skutek zdrady.

Pomoc faszystów Niemiec i Włoch spowodowa-
ła, że siły demokratyczne na całym świecie
poparły republikański rząd Hiszpanii. Nie po-
parły go rządy burżuazyjne, Anglia, Francja i
inne państwa ogłosiły neutralność. W rezultacie
oznaczalo to blokadę Hiszpanii dla pomocy sił
demokratycznych, ale nie dla pomocy wojskowej
dla wojsk gen. F. Franco. Pomoc Hiszpanii wi-
dzącej z faszystami uderzył Związek Radziecki,
posyłając broń, samoloty, czołgi i doradców.
Powstały też brygady międzynarodowe. Walczy-
li w nich Polacy. W brygadach międzynarodowych
z faszystami walczyli też Niemcy, Włosi,
Czesi, Amerykanie, Holendrzy, Żydzi, Ukraińcy
oraz przedstawiciele wielu innych narodowości.
Owczesna Polska pozbawiała obywatelstwa Po-
laków, którzy walczyli w szeregach brygad mi-
ędzynarodowych w Hiszpanii.

W czasie walk o Madryt Pietro Nenni —
przywódcą włoskich socjalistów — powiedział,
że mała rzeczka Manzanares stanowi granicę
między światowym faszystwem i światową demo-
kracją. I nie było w tym przesady.

Republika upadła w marcu 1939 roku. Za kil-
ka miesięcy miała rozpocząć się straszna wojna
cywilizowanych ludzi. Zwycięstwo faszystwu w
Hiszpanii dało Adolfowi Hitlerowi pewność, że
świat demokratyczny nie potrafi się zjednoczyć
przeciw jego zamiarom podbić świat. Trzeba
było ofiarować milionów ludzi, aby narody świata
zrozumiały tę prawdę i pokonali faszizm. Ale
czy pokonany został na zawsze?

LUCJAN BOGUSZ

Michalina Tatarkówna — Majkowska

We wtorek, 18 lutego 1986

roku, jechałem ulicą Stefana
Promińskiego na cmentarz ko-
munalny na Dołach i na jed-
nym z przystanków zobaczyłem
stojącą w tłumie czekających
Michalinę Tatarkównę-Maj-
kowską. Gdybym się tak nie
śpieszył — byłbym już dobrze
spóźniony na pogrzeb bliskiego
znajomego — zatrzymałbym się
z chęcią i spytał, czy gdzieś nie
podwieźć. Słyszałem już kilka-
krotnie, że nie czuje się naj-
lepiej, że choruje. Ale nie za-
trzymałem się. Może by się nie
zgodziła i powiedziała swoim
zwyyczajem: — Jedź synku,
mna się nie kłopot, ty się
pewnie gdzieś spieszysz, a ja
czasu mam dużo. W zwartek
dowiedziałem się, że nie żyje.
Zmarła nagle, nim ktokolwiek
mógł przybyć z pomocą.

Związana była z Łodzią na
trwale. Urodziła się na Widze-
wie w robotniczej rodzinie. Jej
ojciec, Marcin był komunistą i
często z tego powodu nie miał
pracy. Już jako dziecko pozna-
ła biedę i społeczną niespra-
wiedliwość. I już jako dziecko
wiedziała, że trzeba z tym wal-
czyć. Była w Czerwonym Har-
cerstwie, a gdy skończyła 13
lat poszła do pracy w Widze-
wskiej Manufakturze. W dwa la-
ta później została członkiem
Komunistycznego Związku Mło-
dzieży Polskiej.

Pracowała jako przadka.
Często wspominała tamte trud-
ne czasy. Lata walki, strajków,
prześladowań układowych jej
świadomość, osobowość. Stała
się czuła na ludzką krzywdę,
na społeczną niesprawiedliwość,
zrozumiała, że sytuację, w ja-
kiej żyła łódzka klasa robotni-
cza, klasa robotnicza całej Pol-
ski, można zmienić tylko w
walce, poprzez obalenie bur-
żazyjnego ustroju. Poświęciła się
tej walce. Wstąpiła do Pol-
skiej Partii Komunistycznej.

Gdy KPP rozwiązano —
wspominała później — robotni-
cy plakali. Komuniści oświad-
czyli jednak, że choć nie ma
partii, to nie przestają być
komunistami i nadal walczyć
będą z kapitalistycznym ucis-
kiem, o nową Polskę. Udział w
tej walce spowodował, że w
latach okupacji musiała ukry-
wać się poza Łodzią.

Wstąpiła do Polskiej Partii
Robotniczej i po wyzwoleniu
Łodzi działała na Widzewie,
tam też kierowała działalnością
PPR. Pomagała w rozwiązywa-
niu trudności, łagodziła kon-

flikty, spory. „Uczyła” ludzi

wspólnej troski o wspólne

sprawy.

W 1953 roku została wybrana
I sekretarzem KW PZPR w
Łodzi. Funkcję tę pełniła przez
dwa lata, gdyż w 1955 roku
powróciła do łódzkiej organiza-
cji PZPR, na której czele sta-
nęła jako I sekretarz Komitetu
Łódzkiego. W 1960 roku odna-
czona została orderem Budow-
niczego Polski Ludowej. W 4
lata później odeszła na emery-
turę. Ale nie zaprzestała d-
ziałalności. Nie pozostała obojęt-
na na to, co działo się wokół
niej, w mieście, kraju, na
świecie.

Jako dziennikarz wielokro-
mie miałem okazję zetknąć się z
Michaliną Tatarkówną-Maj-
kowską. Ale pierwsze moje ze-
tknięcie było w październiku
1956 roku w sal „Wimy”, na
słynnym już wiecu, gdzie wielu
mówców występowało i różne
głosilo hasła. Potrafiła uporać się
z rozemocjonowanym tłumem,
w którym i ja byłem. Jakoś u-
spokoiła emocje, potrafiła
pomyśleć do rozsądku. Znale-
ził się i tacy, którzy jej w tym
pomogli. Rozeszliśmy się wtedy
w spokoju, choć wiec ten był
szeroko komentowany.

Później obserwowałem ją
przy pracy, na mównicy, wśród
robotników i przy innych oka-
zjach. Pisałem sprawozdania z
wieców, na których występo-
wała, z posiedzeń plenarnych
KL PZPR, którym przewodni-
czyła. Widziałem ją na tryb-
nie podczas pierwszomajowych
poходów i na Placu Zwycię-
stwa, gdy zamiast pochodów
odbywały się tam wiece z oka-
zji robotniczego święta. Pamię-
tam jej pomysł zamieniania w
soboty ulicy Piotrkowskiej od
skrzyżowania z ulicami Juliana
Tuwima i Andrzeja Struga w
w promenade. Pomysł się dlu-
go nie utrzymał, choć myśl tę
w różnej formie podejmowali
później inni. Pamiętam też
awanturę z „Elta”, gdy „Życie
Gospodarcze” zaatakowało
myśl budowy fabryki transfor-
matorów z dala od miasta.
Obok gotowej fabryki stały tyl-
ko domy „awaryjne”, dla nie-
zbędnych w każdej chwili spe-
cialistów. Dziś, gdy przejeżd-
żam ulicą Aleksandrowską
myślę, że jednak Michalina
Tatarkówna-Majkowska mia-
ła rację. Miasto otoczyło fabry-
kę i posuwa się zwycięsko w
stronę Aleksandrowa Łódzkie-
go.

Widziałem ją i słuchałem,
gdy opowiadała swoje przedwo-
jenne przeżycia, często zwraca-
ła się do słuchających ją ko-
biet z pytaniem, czy pamięta-
ją, przecież razem wtedy były. Pa-
rę razy zdarzyło mi się być
świadkiem, jak „sztorcowała”
swoich współpracowników. Wy-
magająca była i potrafiła wy-
rażać się bezpardonowo.
Ludzie ją szanowali, gdyż —
jak było trzeba — to im po-
magala, a jak trzeba, to mó-
wiła prawdę prosto w oczy.
Nie kryła swoich poglądów.
Nie potrafiła być obojętna.

W 1981 roku — gdy krótko
kierowałem „Głosem Robotni-
czym” — dzwoniła do mnie
kilkakrotnie, dzieliła się swoi-
mi uwagami, obawami, spos-
trożeniami. Bardzo lubiłem te
rozmowy, gdyż wiele mogłem
się z nich dowiedzieć, zrozu-
mieć. Wypowiadała swoje sądy
w sposób bezkompromisowy.
Znała przecież Łódź, znała lu-
dzi. Wiedziała, co i po kim
można się spodziewać.

Miała wielu przyjaciół, ludzi
sobie życzliwych, choć miała i
wrogów. Jakich działaczy ich nie
ma? Miała przyjaciół wśród ro-
botników i artystów. Bardzo
lubiła muzykę, była częstym
gościem w Filharmonii Łódz-
kiej.

Gdy dziś spoglądam w prze-
szłość Łodzi, to muszę przy-
znać, że miasto wiele Jej za-
wdzięcza. Zapoczątkowała jego
przeobrażenia, jego rozwój,
dbała, aby robotnikom żyło się
lepiej i łatwiej były warunki
pracy. Nie wszystko można by-
ło wówczas zrobić, ale zaczęło
robić wiele. Zaczął się proces
przebudowy miasta, który póź-
niej kontynuowali inni.

Chorowała, ale nie skrzyż-
ła się na swój los. Planowała
spotkania, umawiała się z ludź-
mi, ciągle ją bowiem interes-
owało życie. I nagle przyszła
chwila. Śmierć w samotności,
gdy zżwiżli jej ludzie śpieszy-
li na wezwanie z pomocą. Nie
zdażyli.

Pozostali już tylko wspom-
nienia. Miasto i jego ludzie
pamiętać o niej będą zawsze.
Na trwałę wpisała się w histo-
rię Łodzi, jej klasy robotniczej,
ludzi pracy tego robotniczego
miasta. Żyć będzie w naszej
pamięci.

LUCJUSZ
WŁODKOWSKI

NA WŁASNY RACHUNEK

Ponad czy obok?

Zastanawiają mnie nieraz ludzie, którzy „trzymają osobliwy
„fason”, żeby uchodzić zawsze za nosicieli aż tak wzniosłych
myśli i subtelnych doznań, że nie sposób im zniżyć się do za-
interesowań polityką. Dają do zrozumienia, że byłoby to niejako
poniżej ich godności i trwają niezmiennie w swojej „splend d
isolation”. Wydaje mi się, że do takiej postawy (jeśli jest szczer-
ta) należy odnosić się ze zrozumieniem, a jeśli stanowi ona pozę,
to i tak zasługuje na pewną wyrozumiałość, jaką miewamy dla
ludzkich słabości. Przyznam się jednak, że niełatwo przy-
chodzi mi jedno lub drugie w przypadku, kiedy mam pewność
że to odwracanie się plecami do polityki jest stronnictwo i pole-
ga na tym, że wydarzenia polityczne o określonej tendencji u-
znawane jest za ważne, a o tendencji przeciwnej za pozbawio-
ne znaczenia.

Obserwuję właśnie tu i ówdzie, nie po raz pierwszy zre-
szta, przejawy takiej stronnictwej bagatelizacji w stosunku do
wydarzenia politycznego, do którego wszędzie na świecie, w
tym również w USA, przywiązują się wielką wagę.

Dlaczego opinia polityczna świata, która zresztą interesuje się
zawsze zjazdami Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego,
tym razem, jeszcze zanim się zaczął, poświęciła mu bodaj tyle
samo uwagi, ile pamiętnemu XX Zjazdowi KPZR? Odpowiedź
jest dziecinnie prosta i oczywista, choć dla pewnego typu na-
szych kawliarnianych inteligentów jej zrozumienie łączy się z
wyjątkowym utrudnieniem umysłu, a brzmie ona, jak sądzę, nastę-
pująco. Każde wydarzenie polityczne w kraju zajmującym waż-
ną światową pozycję, a zwłaszcza postanowienia określające kie-
runek działań na nadchodzące lata muszą odbić się dodatnio lub
ujemnie na sytuacji zarówno wśród państw zaprzyjaźnionych,
jak i przeciwników, świat bowiem, jak to się nieraz określa
stanowi system naczyń połączonych.

Przykłady pomyślnych i niepomyślnych międzynarodowych skut-
ków wydarzeń dziejących się w obrębie jednego państwa można by
przytaczać do woli. A przecież to, co się dzieje w najpotężniej-
szym państwie socjalistycznym, jednym z dwu głównych mo-
carstw świata, wywiera zawsze doniosły wpływ na rozwój sytu-
acji międzynarodowej, na zachodzące w świecie procesy politycz-
ne, ekonomiczne, na fakty militarne. Doprawdy, trzeba wysokie-
go stopnia ignorancji (lub zubożenia na sprawy własnego
kraju), żeby do wydarzenia, jakim jest zjazd partii radzieckiej,
odnieść się obojętnie.

Ale są jeszcze okoliczności specjalne, wyjątkowe, które spra-
wiają, że obradom rozpoczynającego się XXVII Zjazdu KPZR
towarzyszy wzmożona uwaga opinii światowej. Nie tylko z
źródeł radzieckich, ale i z doniesień największych agencji infor-
macyjnych świata wynika niebicie, że nowe kierownictwo ra-
dzieckie, które w krótkim czasie dało się światu poznać z nie-
zwykłe śmiałych i twórczych inicjatyw oraz propozycji poko-
jowych, prezentując na międzynarodowym forum najwyższy for-
mat polityczny, postąpiło w maksymalnym stopniu przyspie-
szy gospodarczy i naukowo-techniczny rozwój Kraju Rad, sięg-
nąc zdecydowanie do ogromnych jeszcze i dotąd nienależycie
wykorzystywanych rezerw, jakie tkwią w kolosalnym potencja-
le gospodarki radzieckiej, w jej m.in. możliwościach organiza-
cyjnych i kadrowych. Zresztą jeszcze przed rozpoczęciem kam-
panii przedzjazdowej nastąpiły w ZSRR zdecydowane posunięcia
reformujące system zarządzania gospodarką, pobudzające ludzką
inicjatywę i pomysliwość. Trudno dać tu w kilku zdaniach
szczegółowy obraz tego, o czym coraz częściej i obszerniej in-
formuje prasa i inne środki przekazu.

Można się spodziewać i, oczywiście, trzeba sobie tego życzyć,
żeby program umocnienia ekonomiki państwa radzieckiego,
dojścia jak najszybszym frontem do światowego poziomu nauko-
wo-technicznego i inne ważne zamierzenia stały się rzeczywisto-
ścią, która wywrze swój dodatni wpływ na przyspieszenie
wszechstronnego rozwoju wszystkich krajów socjalistycznych i
przyczyni się w dalszym efekcie do znacznie szybszej poprawy
warunków życia.

A tymczasem niektórym naszym domorośłym „politykom” wydaje
się, iż jedyną godną postawą jest być „ponad”. W rzeczywisto-
ści jednak żyją oni poza światem politycznych realiów, obok
głównego nurtu wydarzeń. I chyba też przeceniają swoją nale-
żącą konieczność...

JERZY KWIECINSKI

OGÓLNOPOLSKI KONKURS POETYCKI „O KWIAT PAPROCII”

I. Cele Konkursu: zakttywizowanie amatorskich środowisk
twórczych, stworzenie możliwości wymiany doświadczeń mło-
dych twórców, popularyzacja twórczości literackiej oraz rozbud-
zanie talentów.

II. Organizatorzy: Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy
„Nowa Samosiejka”, ZW ZSMP, RSTK, CKiS województwa sie-
dleckiego.

III. Warunki uczestnictwa: W konkursie mogą uczestniczyć
wszyscy autorzy nie zrzeszeni w ZLP. Organizatorzy proszą o
przesłanie zestawu pięciu wierszy nigdzie nie publikowanych i
nie nagradzanych w pięciu egzemplarzach opatrzonych godłem
wraz z kopertą zawierającą imię i nazwisko oraz dokładny adres
autora. Tematyka dowolna.

IV. Nagrody: jury przyzna nagrody w wysokości: I miejsce —
15.000 zł., II miejsce — 10.000 zł., III miejsce — 5.000 zł. oraz
trzy wyróżnienia po 3.000 zł. Jury zastrzega sobie prawo innego
podziału nagród.

V. Terminy: termin nadysiania prac upływa 1986.05.15. Roz-
strzygnięcie konkursu nastąpi w Siedlcach w okolicy Nocy Świę-
tojańskiej, na które laureaci konkursu zostaną zaproszeni. Prze-
widziane jest zbiorowe wydanie wierszy nagrodzonych.

Utwory należy nadsyłać pod adresem: ZW ZSMP ul. Świer-
zewskiego 45, 08-110 Siedlce z dopiskiem „O Kwiat Paproci”.

Wszelkich informacji na temat konkursu udziela ZW ZSMP w
Siedlcach, tel. 280-76 w. 50 lub 231-43.

Hedoniści byli mocno przywiązani do życia i szukali szczęścia w przyjemnościach. Asceci zaś uciekali od świata i znajdowali szczęście w cierpieniach. Między tymi odmiennymi wzorami jest droga pośrednia. Wskazał ją i uzasadnił 2500 lat temu Budda. W pierwszym swym kazaniu, wygłoszonym koło Benares (północno-wschodnie Indie), mędrzec hinduski stwierdził, że zarówno hedonizm jak i ascetyzm są haniebne i pozbawione wszelkiej wartości. Zamiast służyć pragnieniom i rozkoszy albo oddawać się cierpieniom i udrecie, człowiek powinien kroczyć ścieżką, która jedynie prowadzi do mądrości, spokoju i całkowitego wyzwolenia od złego losu.

BUDDYJSKA DROGA

między krańcowościami ascetyzmu i hedonizmu składa się z ośmiu elementów. Trzeba posiadać należyty wiarę, mieć właściwe usposobienie, używać słuszných słów, właściwie postępować, prowadzić należyty sposób życia, podejmować słusze wysiłki, właściwie myśleć, należyście medytować.

Najpierw należy uwierzyć w cztery „szlachetne” prawdy: po pierwsze, że z wszystkich składników naszego istnienia nieuchronnie wyrasta cierpienie; po drugie, że przyczyną cierpienia są fałszywe pragnienia, które wynikają z niewiedzy a wymagają zaspokojenia; po trzecie, że w celu zniszczenia cierpienia trzeba przezwyciężyć siebie i przestać zachłannie pragnąć — rozkoszy, życia, śmierci, czegośkolwiek; po czwarte, że droga wiodąca do likwidacji cierpienia jest „ośmiorka ścieżka”.

Kolejnym elementem tej ścieżki jest właściwe usposobienie lub postanowienie. Polega ono na wyzbyciu się żądz, odruchów nieżyczliwości i chęci stosowania przemocy. Dalej — w mowie powinno się unikać kłamstw, oszczerstw, plotek i gadulstwa, w czynach wystrzegać zabijania, kradzieży, pogoni za przyjemnościami. Należy prowadzić taki sposób życia, który nie wymaga krzywdzenia istot żyjących. Trzeba hamować namiętności oraz pozbywać się złych myśli, uczuć, cech charakteru. Umysł ma być ciągle kontrolowany i utrzymywany w równowadze, aby ustrzec się nie tylko żądz, lecz także zniechęcenia, zniechęcenia, przygnębienia. I wreszcie ósmy element — medytacja — prowadzi już od stanu zadowolenia do zupełnego spokoju i szczęścia. Przy czym na końcu „ośmiorkiej ścieżki” buddyjskiej nie ma ani przyjemności, ani cierpienia, ponieważ umysł jest tak samo obojętny na rozkosz, jak i na ból.

Na drodze do absolutnego szczęścia adepci buddyzmu winni pokonać dziesięć przeszkód podzielonych na cztery stadia. Pierwszy etap wymaga zrozumienia, że jaźń człowieka jest nietrwała i przemijająca, że nie ma żadnej nieśmiertelnej duszy. Ponadto trzeba pozbyć się destrukcyjnego sceptycyzmu oraz naiwnej wiary w skuteczność ofiar i obrzędów religijnych. Następny krok ku „świątobliwości” wymaga przezwyciężenia zmysłowości i złej woli. Trzeci polega na wyeliminowaniu pragnienia oraz żłości i zaślepienia. A ostatnie stadium obejmuje cztery przeszkody. Należy wykorzystać tęsknotę za uciechami fizycznymi i duchowymi, wyżyć się dumy oraz przekonania o własnej sprawiedliwości, i w końcu — poznać prawdziwą istotę rzeczy.

W nagrodę za ten trud samodoskonalenia buddysta staje się „archatem” (zasługującym, godnym) i osiąga błogi stan „nirwany”, czyli wygaszenia wszelkiego pocucia istnienia osobowego. Żyje wprawdzie nadal, ale już wyzwolony z własnego „ja” — źródła egoizmu i cierpienia. Nirwana oznacza jakoby roztopienie w całym wszechświecie. egzystencje bezczasowa, pełna „zauwania, spokoju, ciszy, szczęścia, radości, subtelności, czystości, świeżości”.

Według doktryny buddyjskiej ten kto umrze jako „archat”, osiągnie „parinirwanę”. Pograży się w absolutnej nicości i raz na zawsze wyjdzie z kręgu wcieleń. Jak ogień — zgaśnie i wróci do niebytu.

BUDDA PRZEZ SZESĆ LAT PRAKTYKOWAŁ ASCEZĘ

aż przekonał się, że nie można dojść do celu utraciwszy siły. Samoudręczenia są bolesne, szkodliwe i bezużyteczne. Sens ma tylko dyscyplina duchowa. Natomiast o własne ciało można dbać, choć nie powinno się doń przywiązywać. Budda pozwalał swoim uczniom nosić porządną odzież, regularnie spożywać posiłki, korzystać z opieki lekarskiej. Ale równocześnie nie cenil on pracy, własności, rodziny. „Życie rodzinne — mówił — jest pełne przeszkód, jest ścieżką skalną przez namiętności; wolne jak powietrze jest życie tego, kto się wyrzekł wszelkich rzeczy tego świata. Jak trudno jest człowiekowi, który przebywa w swoim domu, żyć życiem wyższym w całej jego pełni, w całej jego czystości, w całej jego jasnej doskonałości”. Budda i jego uczniowie — podobnie jak Jezus i apostołowie — prowadzili życie wędrowne, połączone z nauczaniem, a utrzymywali się z jałmużny.

Budda powiedział, że ludzie żyli więcej łez niż wody jest w oceanach. Smuć się i płakać, ponieważ spotyka ich to, do czego czują odrazę, brak zaś im tego, co lubią. Cierpią z powodu swoich pragnień, których nie mogą zrealizować, gdyż dotyczą rzeczy zmiennych, przemijających, nietrwałych. Cierpieniem jest każde niespokojone pragnienie, a także rozczarowanie spełnieniem i ulotność doniania. Zdaniem Buddy wszystko, co istnieje, jest nietrwałe i dlatego w życiu wszystko jest cierpieniem.

Jeśli źródłem naszego nieszczęścia są pragnienia, szczególnie te fałszywe i zachłanne, to trzeba się ich wyżyć. Receptą na szczęście jest redukcja pragnień i złudzeń oraz ograniczenie namiętności. Zalecany jest sposób życia skromny i umiarkowany, daleki od krańców hedonizmu i ascetyzmu. Budda był przekonany, że w przypadku każdego dylematu prawda znajduje się pośrodku.

Redukcja pragnienia jako źródła cierpienia dotyczy również miłości. Z kochania wynikają zawsze troski i lęki. Lepiej więc wyswobodzić się z tego afektu. Buddyzm — jak trafnie zau-

ważył uczony japoński Fumio Masutani — w przeciwieństwie do chrześcijaństwa, nie jest religią miłości, lecz „religią miłosierdzia”. Zyciowość i współczucie zastępują tutaj miłość.

Filozoficzną podstawą buddyjskiej koncepcji życia i szczęścia jest teoria „anatty” — to znaczy braku absolutnego „Ja”, nieistnienia duszy. Budda zakładał, że trwała jaźń jest złudzeniem. W rzeczywistości — jego zdaniem — człowiek przejściowo tylko złożony jest z pięciu grup (skandh) składników bytu. Istotą ludzką konstytuują: 1) kształt zewnętrzny, czyli ciało; 2) wrażenia zmysłowe; 3) wyobrażenia; 4) charakter i wola; 5) świadomość, rozum. Wszystkie te elementy są zmiennie i dlatego nie mogą stanowić trwałego „Ja”, a poza nimi w człowieku niczego już więcej nie ma.

O istocie ludzkiej możemy mówić tylko wtedy, gdy współistnieją wszystkie skandhy. Nie wolno jednak zapominać, że ów kompleks rozmaitych składników — jak wszystko co jest złożone — musi kiedyś definitywnie się rozpaść. A dusza jest tylko abstrakcją nie mającą żadnego realnego uzasadnienia, pojęciem bez desygnaatu. W nieustannie zmieniającym się świecie nie istnieją trwałe przedmioty czy podmioty. To my dzielimy wieczny nurt przemian na części i obdarzamy je nazwami.

Budda zaprzeczał też istnieniu świadomego Boga osobowego. Uważał, że świat nie może mieć innej przyczyny prócz siebie. Gdyby został stworzony przez doskonałego Boga, to nie powinno być zmian i zniszczenia, smutku i cier-

Oblicza szczęścia

Życie bez pragnień i złudzeń

EDMUND LEWANDOWSKI

pienia, słusznosci i niesłusznosci. Co więcej — gdyby istniał Bóg twórca, którego władzy podlegają wszystkie istoty, to uprawianie cnoty nie miało by sensu. Wtedy postępowanie właściwe i niewłaściwe byłoby równie dobre, gdyż wszystkie uczynki są sprawą Boga i muszą być takie same jak on, ich sprawca. Jeśli zaś przyjąć, że Bóg nie jest przyczyną smutku i cierpienia, to w takim razie trzeba założyć istnienie czegoś niezależnego od niego. A skoro istniałoby coś, czego Bóg nie jest przyczyną, to dlaczego wszystko nie miało by być bez przyczyny?

PRZYZYNY ŚWIATA

nie może być również hezobowemu absolut. Jeśli bowiem jest niezależny od niczego — to nie może tworzyć rzeczy wzajemnie zależnych, jeśli jest jednością — to nie może tworzyć rzeczy różnorodnych, jeśli przenika wszystko i zapełnia cały świat — to nie ma nic do stworzenia, jeśli pozbawiony jest wszelkich właściwości — to jakie też powinny być jego wytwory, jeśli jest niezmienny — to wszystko musiałoby być niezmiennie, jeśli jest przyczyną wszystkiego — to nie ma potrzeby dążyć do wyzwolenia.

Buddyzm jest więc systemem, w którym nie ma miejsca ani dla osobowego Boga, ani dla bezosobowego absolutu. Najwyższą zasadą świata jest powszechne i sprawiedliwe prawo karmy, któremu podlegają wszystkie bóstwa i wszyscy ludzie. „Karmam” dosłownie „naczy”, „czyn, uczynek” (wartościowy moralnie). Według prawa karmy każda istota ponosi skutki swego postępowania — w tym lub innym życiu — zbiera to, co posiała. Z dobrych uczynków, jak z ziarna, rodzą się skutki przyjemne dla sprawcy, a z złych biorą się przykreści i wady charakteru.

Budda uczył, że największym zwycięzcą nie jest ten, kto pokonał tysiące ludzi w bitwie, lecz ten, kto zwyciężył samego siebie. Podkreślał on, że „dobry człowiek kształtuje sam siebie”. Był zdania, że gniew należy zwalczać dobrocią, nienawiść miłością, złe dobrem. Przede wszystkim trzeba panować nad własnymi namiętnościami i z całkowitym spokojem przyjmować zarówno przyjemność, jak i cierpienie.

Gdy czytamy wezwania Buddy do redukcji pragnień i kroczenia drogą środkową, przypominają mi się zawsze słowa znanego wiersza Tadeusza Różewicza:

„Kiedy przestajesz
z dnia na dzień
nienawidzić i kochać
kiedy odkryjesz złoty środek
zaczyna się konanie”

Nie twierdząc jednak, że buddyjska koncepcja szczęścia jest zła czy zawodna, gdyż obserwacja adeptów religii potwierdza jej realność. Profesor religioznawstwa na uniwersytecie w Lancaster, Ninian Smart, zwracał uwagę, że wyznawcy Buddy, którego nauka wyraża nam się pesymistycznie i przygnębiająco, często są bardzo pogodni. Uczony ten pisał, że według Buddy „prawdziwe szczęście jest w drodze, którą należy iść. To jest właściwy sposób przezwyciężenia ponownej śmierci, która obraca na gorzki żart osiągnięcia i radości człowieka”.

Czy w historii i kulturze Zachodu mamy jakiś podobny do buddyjskiego wzór życia szczęśliwego? Moim zdaniem: analogiczne elementy zawiera stoicyzm. Założycielem tej szkoły filozoficznej był Zenon z fenijskiego Kition na Cyprze (336—264 p.n.e.), który początkowo należał do cyników. Jego uczniowie zbierali się w tzw. Malowanym Portyku ateńskim (po grecku „Stoa Poikile”, i stąd nazwa „stoicyzm”).

Ostatnim wielkim stoikiem był cesarz rzymski — „filozof na tronie” — Marek Aureliusz (121—180). Stoicyzm istniał więc w starożytnej Grecji i Rzymie około 500 lat.

STOICYZM

był światopoglądem monistycznym i materialistycznym. Świat ujmował jako jedną, materialną, dynamiczną i rozumną całość. W świecie tym różnił dwa pierwiastki: bierny i czynny. Pierwszy oznaczał materię, a drugi przenikającą ją tchnienie (greckie „pneuma” — tchnienie, wiatr). Oba pierwiastki mają tę samą materialną naturę, lecz drugi jest bardziej subtelny. Pneuma nadaje kształt i ruch przedmiotom, w zależności od jej natężenia powstają różnorodne formy cielesne: martwe, żywe, rozumne.

Wszystkie elementy wszechświata są logicznie powiązane w jednolity proces odwiecznych przemian. Jest to proces konieczny i celowy, który można — według uznania — nazwać Fatum, Opatrznością, Naturą, Światem. Ponad nimi nie ma żadnej większej potęgi, czyli Boga. Jedynie pneuma ma boski charakter, a dzięki niej boski jest po prostu cały świat. Stoicy byli zatem panteistami.

Jeśli wszechświatem rządzi rozumne konieczności (prawa), to również los każdego człowieka jest zdeterminowany i sensowny. Wo-

(4)

z niczym wiązać nadziei. Dary losu nie zasługują na to, aby ich pragnąć. Kto od kontemplowania spraw boskich zwróci się do spraw ludzkich, temu ciemno staje w oczach, jakby z jasnego światła przeszedł do cienia. To jest rzecz najważniejsza: unieść w pogodnym nastroju znośić przykreści, a wszystko, co cię spotyka, przyjmować tak, jakbyś chciał, by cię spotkało. I rzeczywiście powinieneś chcieć, jeżeli rozumiesz, że wszystko się dzieje według dekretu Boga. Ale jeżeli płaczesz, jęczysz, narzekasz, to znak, że nie rozumiesz. To jest rzecz najważniejsza: aby człowiek w nieszczęściu był silny i nie wzruszony, i nie tylko odwracał się od rozkoszy, ale aby ją zwalczał. Nie szuka niebezpieczeństwa, ale i nie ucieka w różnej sytuacji. Potrafi wykuć swe szczęście, a nie oczekuje go biernie. Na spotkanie dobrego czy złego losu wychodzi bez trwogi i zmieszania. Nie wytrąca go z równowagi blaski szczęścia ani gromy nieszczęścia. [...] To jest rzecz najważniejsza: ucieść się myślą ponad rzeczy zależne od losu i pamiętać, że jest się człowiekiem, aby wiedzieć i w szczęściu, że nie trwa długo, i w nieszczęściu, że nikt nie jest nieszczęśliwy, jeśli nie uważa się za takiego”.

I na tym koniec ważnego cytatu, który w celu zrozumienia stoicyzmu należałoby przeczytać wielokrotnie.

Nauka Seneki przypominała koncepcje chrześcijańskie. Stąd prawdopodobnie na przełomie III i IV wieku ktoś napisał kilkanaście listów, które Seneka miał rzekomo wymieniać ze św. Pawłem. W istocie są to apokryfy będące podstawą legendy, że ten wybitny przedstawiciel stoicyzmu skrycie wyznawał chrześcijaństwo. Z apostołem Pawłem zetknął się natomiast starszy brat Seneki — Gallio. Wiosną 52 r. przybył on do Koryntu i jako prokonsul Achaj wypędził z sądu Żydów oskarżających Pawła o namawianie ludzi do kultu niezgodnego z Torą. Historia ta opisana jest w 18 rozdziale Dziejów Apostolskich.

W PRZECIWIEŃSTWIE DO CHRZEŚCIJAN,

a tak samo jak buddysty, stoicy nie wierzyli w duszę nieśmiertelną, ani w życie pozagrobowe. Byli zdania, że po śmierci wszystko się kończy: ciało i dusza — ponieważ są materialne — rozkładają się na czynniki pierwsze. Śmierć stanowi absolutne uwolnienie, wyzwalenie od wszelkich trosk, dlatego strach przed nią jest nieuzasadniony. Mędrzec nie lęka się śmierci, lecz przygotowuje do niej jako do wolności. Umiera w sposób naturalny i poważny, świadomie pogodzony z powszechnym prawem przyrody. W obliczu tego prawa jakakolwiek rozpacz jest bez sensu.

Rozumne prawa rządzące wszechświatem obejmują również życie i los jednostki. W związku z tym powinnością człowieka jest postępowanie zgodne z prawami natury. Zgodność ta polega na kierowaniu się zasadami rozumu i cnoty. Stoicy podzielił pogląd Sokratesa, że przyjemność i dobro są jednym i tym samym. Cnotę uważał za dostateczny warunek szczęścia i jedyny cel godny zabiegów, za jedyne nieśmiertelne dobro dostępne śmiertelnikom.

Człowiek wprawdzie nie jest dobry z natury, gdyż młotą nim namiętności, ma liczne wady, jest egoista, ale może uwolnić się od słabości i żyć rozumnie, moralnie, szczęśliwie. Cnoty każdy musi się nauczyć. Potrzebny jest tylko odpowiedni wysiłek duchowy. Już Solon mówił, że nikt wbrew swojej woli nie jest szczęśliwy, ani też z własnej woli nieszczęśliwy. Liczy się tylko własna wola. Nie mają natomiast żadnego znaczenia próśby skierowane do bogów. Modły są wręcz nieprzystojne. Człowiek powinien sam uczynić siebie szczęśliwym. Najpewniejszą drogą do szczęścia jest pogodna obojętność (apatia) oraz doskonałe opanowanie, dyscyplina moralna (autarkia) — praktykowanie cnoty i unikanie wszelkiego zła.

Najważniejszymi dla stoików cnotami były: rozsądek, umiar, powściągliwość, skromność, męstwo, wdzięczność, życzliwość, porządek, sprawiedliwość. Brak tych cnot oznaczał zło. A między dobrem i złem, cnotą i występkiem nie uznawano niczego pośredniego. Cnotę traktowano jako niestopniwalną. Jeśli ktoś choć minimalnie odbiegał od wzoru doskonałości, to uchodził za złego i głupca. Stoicy do tego stopnia byli rygorystami moralnymi, iż głosili, że lepiej jest umrzeć niż prowadzić złe życie.

W odróżnieniu od epikureizmu, gdzie cnota miała wartość instrumentalną (umożliwiała osiągnięcie szczęścia), stoicyzm traktował ją jako wartość autoteliczną (cel sam dla siebie). Nagrodą za życie cnotliwe była sama cnota. Szczęście — to posiadanie najwyższego dobra, jakim jest cnota. Poza nią i występkiem wszystko jest obojętne. Mędrzec jest szczęśliwy i bogaty, gdyż niczego nie potrzebuje. Nawet gdy posiada bogactwa, to nie przywiązuje do nich wagi. Jest ponad rzeczami i namiętnościami, ponad rozkoszami i bólem. Pod tym względem przewyższa bogów, którzy są poza cierpieniem, ale nie ponad nim.

Postawa stoicka nie jest ani egoistyczna, ani altruistyczna, lecz jakby zawieszona między obiema skrajnościami. Jest to wszak postawa prospołeczna, obywatelska. Mędrzec powinien — jeśli może — brać udział w życiu publicznym i politycznym, ponieważ społeczeństwo pochodzi z natury, a człowiek ma instynkt społeczny. Należy przy tym pamiętać, że wszyscy ludzie są równi. Wolni i niewolnicy są takimi samymi ludźmi.

Stoicki i buddyjski wzór życia pozwalają osiągnąć szczęście nawet w beznadziejnych dla człowieka okolicznościach. Jeżeli bowiem spotka nas jakieś nieszczęście (choroba, kalectwo, tortury, utrata najbliższych lub majątku), to zawsze możemy sobie powiedzieć: jak dobrze, że nie jest gorzej. A nigdy przecież nie jest tak źle, żeby nie mogło być jeszcze gorzej. Los nie może nas dotknąć cierpieniem, jeśli zawsze pamiętamy, że kołem się toczy, i jeśli w każdej chwili gotowi jesteśmy przyjąć i znośić ciosy najgorsze.

Trudno krócej i lepiej wyrazić istotę stoicyzmu niż zrobił to Seneka Młodszy. Pisał on: „To jest rzecz najważniejsza: wnieść się nad groźby i obietnice losu i uznać, że nie warto

1.

Porządek obrad dwudniowego, ostatniego w sesji jesiennej posiedzenia Sejmu był bardzo urozmaicony i pełen spraw o pierwszorzędnej ważności, ale tytuł tego tekstu odnosi się właściwie tylko do jednej kwestii, rozstrzygniętej 30 stycznia 1986 r., najistotniejszej dla wszystkich — nie tylko dla tych ponad sześćset milionów obywateli zainteresowanych bezpośrednio, czyli rencistów i emerytów.

Mam na myśli ustawę o podwyższeniu emerytur i rent w 1986 roku. Ustawa istotnie dotyczy aktualnych biorców świadczeń z funduszu ubezpieczeń społecznych. Ale zasady tych uformowań i sposobów, w jaki ich dokonano, prowokują do ogólniejszych rozważań o „filozofii” naszej polityki społecznej w nieco szerszym wymiarze. A to już jest ważne dla wszystkich obywateli. Wszyscy bowiem będziemy, jeżeli dożyjemy stosownego wieku, emerytami. Niektórzy — odpuka! trzy razy! — w wyniku działania sił przyrody lub nieszczęśliwych wypadków — mogą stać się rencistami. Nikomu nie życzę, ale ze statystyki wynika, że pewien procent ludzi tego losu nie uniknie.

Dyskusja nad ustawą i przy okazji jej uchwalenia obnażyła fakt, że cały system ubezpieczeń społecznych wymaga gruntownej reformy od podstaw. Wcale nie chodzi tu o wysokość kwot, choć i te są przedmiotem namietanych sporów, ale o podstawowe zasady obliczania świadczeń i ich bieżącej waloryzacji.

Posel Włodzimierz Koczur, występując w imieniu związkowców, wręcz zażądał od administracji przedstawienia w najbliższym czasie choćby wstępnych założeń stabilnego systemu emerytalno-rentowego, zaś posienka Teresa Dobiełska-Eliszewska postulowała, aby prace nad tym systemem skoordynować z przygotowaniem Narodowego Planu Społeczno-Gospodarczego — tak, by jednocześnie zaplanować środki przeznaczane na politykę społeczną.

Nie ulega wątpliwości, że jakiś trwały system musi jak najszybciej zastąpić obecna latanie i połowiczne rozwiązania. To, co dzieje się obecnie w obszarze ubezpieczeń społecznych, jest zle niebezpieczne od tego, jak wielkie trudności gospodarcze przyszedł nam pokonywać.

2.

Ustawa o podwyższeniu emerytur i rent w 1986 roku jest typowym produktem przymusu ekonomicznego. Mówiąc ściślej: jest ona próbą obrony status quo, osiągniętej w dziedzinie bilansowania dochodów i wydatków państwa w budżecie i gospodarki w Centralnym Planie Rocznym. Gospodarka jest w poważnym stopniu obciążona kredytami, natomiast budżet ma deficyt zaplanowany na około 150 mld złotych.

Premier Zbigniew Messner zapowiedział w sejmowym exposé, iż dążenie do równowagi budżetowej nigdy nie będzie celem samym w sobie, broniłym za wszelką cenę. Ważne powody społeczne, jeżeli nawet realizacja wynikających z nich przedsięwzięć miałaby pogłębić deficyt, nigdy nie stracił priorytetu na rzecz formalnego bilansowania budżetu. Oczywiście do pewnych granic ekonomicznego rozsądku.

Można zatem przypuszczać, że w kwestii emerytur i rent właśnie taką granicę osiągnęliśmy... Dlaczego?

Ustawa z 14 grudnia 1982 roku o zaopatrzeniu emerytalnym miała być w swym założeniu kompleksowym systemem rewaloryzacji świadczeń z funduszu ubezpieczeń społecznych, opartym o wskaźnik wzrostu średniej płacy w gospodarce ubezpieczonych — więc, jak można było sądzić, o wskaźnik najbardziej stosowny i w miarę obiektywny. Miała także doprowadzić do całkowitej likwidacji rozmaitych tzw. starych portfeli.

Już po trzech latach jej funkcjonowania można stwierdzić, że społeczne oczekiwania z nią związane nie zostały spełnione, aczkolwiek dotychczasowa realizacja przewidzianych w ustawie przedsięwzięć była całkowita, a nawet wypłacono sporo kwot przed terminem i dodatkowo. Mimo to w 1982 roku, a więc jeszcze przed wejściem w życie tej ustawy, stosunek przeciętnego świadczenia emerytalno-rentowego do średniej płacy w gospodarce ubezpieczonych wynosił 48,4 proc., a w roku 1984 spadł do 46,5 proc. Jednocześnie skokowo wzrosła rozpiętość między przeciętną wysokością emerytur starych wypłacanych na bieżąco a przeciętną wysokością emerytur nowo obliczanych. W 1983 roku „nowa” emerytura czy renta była wyższa od „starej” tylko o 7 proc., a w roku ubiegłym aż 29,3 proc.

Dlaczego? W dużym i zapewne niesprawiedliwym uproszczeniu można by powiedzieć, że winę ponosi reforma gospodarcza a ściślej: nierównomierna realizacja jej założeń na wszystkich płaszczyznach życia społecznego, gdzie ona działać powinna. W istocie zaś chodzi tu o żywiołowy wzrost wynagrodzeń, nie uzasadniony odpowiednim przyrostem wydajności pracy i wartości produktu społecznego.

3.

Pierwsze trzy lata obowiązywania ustawy z 14 grudnia 1982 roku miały być poświęcone wyrównywaniu dysproporcji w świadczeniach, natomiast od marca 1986 roku miała się rozpocząć bieżąca rewaloryzacja świadczeń, oparta o mechaniczne stosowanie wskaźnika wzrostu średniej płacy w roku poprzedzającym. (To znaczy, że w roku bieżącym według wskaźnika za rok 1985.)

Niestety, mechanizm ten, aczkolwiek zaprojektowany sensownie, nie mógł działać. Pomiędzy bowiem systemem kontroli i wzajemnej regulacji. Wyglądało to tak, jak dwa koła zębate w jednym układzie, z których odbierające ruch jest czynne i niezmienne, natomiast napędzające w trakcie sprzęgnięcia „samowolnie” powiększa swój obwód i ilość zębów, naruszając w ten sposób równowagę układu.

I tak jest w istocie. Tempo wzrostu średniej płacy jest co roku wyższe od zaplanowanego i nie kontrolowane właściwie przez państwo. Natomiast fundusz emerytalno-rentowy można ustalić co do złotówki.

Gdyby zatem trzymać się reguł narzucanych przez niekontrolowany wzrost płac, to należało-

by przeznaczyć kwotę około 210 miliardów złotych na waloryzację świadczeń z ubezpieczeń społecznych. Rząd, przedstawiając projekt ustawy, oświadczył, że taką kwotę nie dysponuje i nie widzi możliwości jej uzyskania np. na drodze kredytu zaciągniętego w Narodowym Banku Polskim (jak to się zwykle robi w przypadku deficytu budżetowego).

Można więc sądzić, że właśnie napotkaliśmy granicę, poza którą słuszne cele (a takim jest poprawa bytu weteranów pracy i inwalidów) nie będą realizowane z pominięciem wymagań bilansowania budżetu.

4.

Rząd zaproponował przyjęcie wskaźnika 45 proc., a nie faktycznego wzrostu średniej płacy, czyli 18 proc., ograniczono też wysokość zwiększenia podstawy wymiaru świadczeń wysłuchów do 3 tys. złotych. Łączny koszt podwyżek miał się zamknąć kwotą 90 mld złotych, czyli akurat tyle, na ile było stać budżet państwa.

No cóż, propozycja ta nie wzbudziła entuzjazmu świadczeniobiorców. Najlepiej przekonuje o tym ilość listów, które w tej sprawie napłynęły do Sejmu i Rady Państwa, do wielu innych instytucji, przyjmujących skargi. Protestowały też związki zawodowe i organizacje społeczne.

Sejmowe raporty i refleksje

Nadzieja cokolwiek nieświeża

czne zrzeszające emerytów i rencistów. Posiowie, wedle relacji ze spotkań z wyborcami, spotkali się dziesiątkami wypowiedzi w dość ostrym tonie — przeciw rządowym propozycjom.

I nie ma się czemu dziwić. Bowiem pomijając wagę argumentów, którymi posługiwali się rząd zainteresowani odczytali projekt jako sprzeciwienie się dotychczasowym obietnicom.

Niezależnie jednak od emocji i kategoriicznych postulatów części zainteresowanych obywateli budżet państwa nie poddaje się prawdom, wedle których nastąpiło cudowne rozmożenie chleba i wina w Kanie Galilejskiej. Przeto komisje sejmowe przystąpiły do pracy nad rządowym projektem rewaloryzacji, za punkt wyjścia przyjmując proponowane w nim zasady i kwoty.

Czytałem stenogramy z posiedzeń Komisji Polityki Społecznej, Zdrowia i Kultury Fizycznej, więc mogę zapewnić, że upor, nieustępliwość i konsekwencja w dążeniu do zniesienia drastycznych skutków rządowego projektu przyniosła chlubę naszym reprezentantom. Cóż z tego jednak, skoro bariery środków nie da się przeskoczyć tylko dzięki dobrym intencjom. Ale dyskusja w komisjach Sejmu sprawiła, że rząd wygospodarował dodatkowo 6 miliardów 100 milionów złotych na rewaloryzację świadczeń. Ponadto posłowie dokonali istotnych korekt w projekcie, wychodząc z założenia, iż te szczupłe środki winny być przeznaczone dla najsłabszych, sytuowanych świadczeniobiorców, skoro nie można spełnić nadziei wszystkich.

Najwyższe preferencje uzyskali — posiadacze tzw. starych portfeli, inwalidzi I grupy i ci, którzy ukończyli 75 lat życia. Polega to na tym, że przyjęty dla tej grupy wskaźnik wzrostu podstawy wymiaru wynosi 20 proc., a realizacja podwyżki skrócono do trzech lat. Jest to istotna zmiana w stosunku do projektu, który wszystkie grupy rencistów i emerytów traktował mniej więcej jednakowo, a jedynym właściwym kryterium różnicującym był rok przyznania świadczenia.

Nie jest moim zamiarem szczegółowe omawianie wszystkich rozwiązań przyjętych w ustawie, zresztą to zresztą w prasie codziennej, a nado w „Dzienniku Ustaw” ukazał się już tekst tej ustawy. Z poselskiej dyskusji wyniknęły wszakże liczne ogólne kwestie dotyczące polityki społecznej w Polsce, które niewątpliwie warto są zrelacjonować.

5.

Zresztą chodzi nie tylko o politykę społeczną. Najważniejszą kwestią, jaka przy okazji tej debaty się wyłoniła, to trwałość i wiarygodność norm prawa.

Statość prawa nie jest dogmatem bezwzględnie obowiązującym. Prawo należy zmieniać wtedy, gdy jest to niezbędne wobec rozwoju stosunków społecznych. Z tej zasady jednak nie mogą wywodzić żadnego alibi twórcy i prawodawcy norm stanowiących w społeczeństwie lub pod ciśnieniem wydarzeń politycznych.

Nie chcę krzywdzić podejrzaniemi, zapewne niezasłuszonymi, Sejmu VIII kadencji, ale wydaje się, że jego członkowie — każdy z osobna — i Izba w całości, ulegli swoistej presji społecznej. Ustawa z 14 grudnia 1982 roku o zaopatrzeniu emerytalnym wprawdzie nie jest typowym produktem prawodawczego konwenera, ale doprawdy przy jej tworzeniu, mimo społecznej konieczności, zabrakło właśnie wyobraźni.

Już wtedy bowiem istniały wszelkie przesłanki ku temu, aby przewidzieć niekontrolowany, ponadplanowy wzrost płac w gospodarce. Sądzę, że zbytnio zawierzoną zasadom reformy gospodarczej, a zwłaszcza ich natychmiastowemu

działaniu i równie natychmiastowemu zbawieniu skutkom dla ekonomiki państwa. A przecież ze zwykłej ostrożności, nie mającej nic wspólnego z oportunistycznym, należało przewidzieć perturbacje, zwłaszcza w tak delikatnej sferze (i politycznie) dziedziny, jak związek płac z wydajnością pracy.

No cóż, za to zbytne zaufanie w skuteczność mechanizmów reformy przychodzi nam dzisiaj płacić. Nie tylko niezadowolonym i pogorszeniem nastrojów w licznej grupie bezpośrednio zainteresowanych treścią (przeliczną na złotówki) systemu emerytalno-rentowego. Przede wszystkim płacimy spadkiem społecznego zaufania do statości praw Rzeczypospolitej, co jest szkodą trudną do naprawienia.

6.

Stabilność zasad systemu ubezpieczeń społecznych ma znaczenie znacznie szersze, niż to zwykło się potocznie sądzić. Dotyczy bowiem nie tylko świadczeniobiorców, ale wszystkich obywateli. Zabezpieczenie społeczne musi bowiem mieć — dotąd chyba niedoceniany, czy wręcz pomijany w polityce społecznej — walor motywacyjny. Każdy obywatel pracujący w gospodarce narodowej musi zyskać przekonanie, niewzruszalne jak zasada ustrójowa — że po

Tak pojęta trwałość, to nie tylko przejawista dla wszystkich reguła waloryzacji, to także niezbędna elastyczność systemu gwarantująca świadczeniobiorcom obronę przed skutkami inflacji. Przy okazji warto pamiętać, że los większości emerytów i rencistów nie jest tylko ich losem indywidualnym. Jest on sprzęgnięty z sytuacją materialną i poziomem życia wielu polskich rodzin, prowadzących dwu- lub trzypokoleniowe gospodarstwa domowe. Niezależnie od wewnętrznych zobowiązań moralnych (i prawnych) w przypadku alimentacji państwo nie może przerzucić na rodziny powinności przyzwoitego utrzymania weteranów pracy. Pojście „na wycug”, czyli na łaskę dzieci i wnuków to oczywiście anachronizm wobec zasad polityki społecznej socjalistycznego państwa.

Wspomniałem już o konieczności obrony systemu przed możliwymi fluktuacjami gospodarczymi. W szczególności chodzi o kwestię wpływu nadmiernego, nieplanowanego wzrostu płac na wysokość świadczeń społecznych. Samo powiązanie mechanizmu rewaloryzacji z wskaźnikiem wzrostu średniej płacy wydaje się być rozwiązaniem rozsądnym i sprawiedliwym. Tym bardziej, iż związek ten wynika jednoznacznie z norm tworzenia funduszu ubezpieczeń społecznych. A powstaje on z opodatkowania funduszu płac, polegającego na tym, że pracodawcy odprowadzają na ten fundusz 43 proc. kwoty wynagrodzeń. Jest zatem rzeczą oczywistą, że trafiają tam również odpisy od wynagrodzeń rosnących żywiołowo, ponadplanowo. Nikt przecież nie zwolnił pracodawców od przekazywania do ZUS składek ubezpieczeń społecznych od tej części płac. Przylącam się przeto do pytania: posła Włodzimierza Koczura i również jak on chciałby wiedzieć, co się z tymi pieniędzmi dzieje i jaki jest ich wpływ na przyrost aktywów funduszu ubezpieczeń społecznych.

9.

Wśród postulatów wynikających z poselskiej debaty pojawiło się też oczekiwanie, że przyszłe unormowanie systemu zaopatrzenia emerytalnego będzie jednolite i w formie aktu najwyższej rangi — ustawy — obejmie różnorodną formę ubezpieczenia.

W pierwszym rzędzie, zdaniem posłów, modyfikacji wymaga cały kompleks kwestii dotyczących świadczeń dla inwalidów III grupy. Wydaje się słusznym postulat maksymalnego przetrwania ciężaru świadczeń z tego tytułu na zakłady pracy. Przecież inwalidztwo III grupy powstaje na ogół w wyniku wypadków przy pracy lub chorób w sposób stosunkowo nieznaczny upośledzających zdolność do pracy. Przeważnie są to okoliczności zainicjowane przez pracodawców — wyniki zaniedbań w dziedzinie bezpieczeństwa i higieny pracy. Sądzę, że system mógłby opierać się o wysokie, nawet bardzo wysokie jednorazowe odszkodowanie placowane z zysku przedsiębiorstwa, miarkowane tylko przez ewentualne przyczynienie się ofiary wypadku lub choroby. Pozostałe postępowanie winno polegać na umożliwieniu pełnej aktywizacji zawodowej rencisty, z ewentualnym świadczeniem wyrównującym utratę potencjalnych możliwości zarabkowania, np. poprzez ulgi w wysokości obowiązkowej składki od wynagrodzenia na fundusz ubezpieczeń społecznych; ulgi, której kwota przeznaczona byłaby przez pracodawcę na rehabilitację, dodatkowe świadczenia itp.

Po drugie — modyfikacji i daleko idącej liberalizacji podatkowo-finansowej wymagają możliwości dodatkowego zarabkowania rencistów i emerytów, obecnie znacznie ograniczające ich zawodową aktywność i przydatność; miałyby to nie tylko znaczenie gospodarcze, ale i niebagatelne znaczenie psychiczne oraz społeczne.

Po trzecie — wreszcie rozwiązania, i to pilnie, wymaga cały system pomocy społecznej; mam tu na myśli ujednolicenie i oszczędność celową gospodarce rozproszonymi dotąd rozmaitymi funduszami, nader często nieefektywnie i rozrzucone wydawanymi. Ideą idealnym rozwiązaniem wydaje się system rent socjalnych zamiast skomplikowanego rozdawnictwa stałych i różnych zapomóg czy innych form pomocy.

10.

Z przebiegu debaty nad ustawą o podwyższeniu rent i emerytur w 1986 roku wynika, że posłowie przyjęli do wiadomości realia gospodarki, nakazujące ograniczenie pierwotnie zakładanego wzrostu świadczeń. Nie oznacza to jednak, że byli skłonni uznać bez zastrzeżeń argumentację rządu. Raczej panowało poczucie pewnego przegięcia z powodu niezrealizowania obietnic, niemożności zadośćuczynienia społecznym nadziejom. „Rozwieranie się nożyc” między dochodami ludzi czynnych zawodowo i świadczeniami dla weteranów w pewnym stopniu pogarsza nastroje społeczne. I to trzeba w kalkulować w bilans rewaloryzacji, skoro nie można przeskoczyć gospodarczych realiów. Ustawę przyjęto przy jednym głosie sprzeciwu i dziewiętnastu wstrzymujących się.

11.

Pozostałe kwestie podnoszone w czasie ostatniego posiedzenia Sejmu w sesji jesiennej postaram się poruszyć niebawem, a przede wszystkim arcyciekawą i obfitującą w kontrowersje sprawę projektu ustawy o przeciwdziałaniu praktykom monopolistycznym w gospodarce.

Przy okazji ponawiam postulat wprowadzenia do plenarnych posiedzeń Sejmu przynajmniej raz w ciągu sesji zwyczajny odbywania tzw. debaty generalnej, czyli wygłaszania przemówień dotyczących spraw nurtujących intelekt i sumienia obywateli posłów, acz nie związanych z dyscypliną narzucaną przez porządek obrad i plan pracy Sejmu. Czynię to w związku z wystąpieniem posła Aleksandra Legatowicza podczas dyskusji nad projektem ustawy o spółkach z udziałem kapitału zagranicznego i antymonopolowej. Wystąpienie to było tak luźno związane z przedmiotem debaty, że mógł wniosek winien narzucać się niejako automatycznie.

TOMASZ SAS

NR 9 (1457), XXIX, 1 MARCA 1986 R.

Gdzie nas pochowają?

Ten problem narastał powoli i w wielkiej ciszy. Latami pęczniał na naszych oczach, a przecież tak, jakby poza nami. To, że zaczynamy głośno mówić o nim teraz, dopiero teraz, nie jest sprawą przypadku, ale smutną koniecznością. Koniecznością — bo mamy już prawie noż na gardle. Smutną — gdyż problem dotyczy łódzkich cmentarzy.

Mamy ich w mieście dwadzieścia jeden: dwa komunalne, jedenście rzymskokatolickich i osiem innych wyznań: prawosławne, ewangelickie, żydowski, mariawicki i baptystów. Rozrzucone są po całym mieście, mają od jednego do dwudziestu (cmentarz żydowski jeszcze więcej) hektarów powierzchni, różnych gospodarzy i niemal każdy — swój własny, specyficzny wygląd, charakter. Na ogół są to cmentarze stosunkowo stare, na których coraz trudniej znaleźć miejsce na nową grob. I to właśnie przede wszystkim spędza dziś sen z powiek władcom miasta, choć nie brak także innych kłopotów. A że sytuacja z roku na rok staje się coraz trudniejsza, czas zatem najwyższy, aby zdecydować się wreszcie na jakiejś generalnej i dalekowzrocznej problemu tego rozwiązania. Ale jak? Oto pytanie, na które nie tylko władze, ale my wszyscy musimy znaleźć odpowiedź.

Nasze rozważania zaczniemy od bliższego przyjrzenia się aktualnemu stanowi rzeczy, czyli — od inwentaryzacji tego, czym jako miasto, dysponujemy. Według danych, zebranych w ostatnim czasie przez Miejskie Przedsiębiorstwo Usług Komunalnych, przedstawia się ona tak:

Najwięcej jest cmentarzy rzymskokatolickich i one też — z względu na przewagę w naszym społeczeństwie katolików — odgrywały i nadal odgrywają jak dotąd największą rolę. Około czterdziestu procent pogrzebów odbywa się bowiem w Łodzi z udziałem księży (w innych miastach i na wsi jeszcze więcej), co jednak wcale nie znaczy, że katolicy zawsze chowani są na „swoich” tylko cmentarzach, a teści zaś — wyłącznie na komunalnych. Różnie bywa. Zmienia się również forma samych pogrzebów. Od niedawna lansowany jest nowy świecki ceremoniał pogrzebowy. Zdarzają się też pogrzeby, by tak rzec, mieszane — świeckie, ale z udziałem duchownych.

Cmentarze rzymskokatolickie w Łodzi znajdują się bezpośrednio pod zarządem Kurii Biskupiej (osiem) lub też — parafii na terenie której leżą (trzy). Ogółem ich powierzchnia wynosi 912 ha a więc, wydawać by się mogło, niemało.

Ale tylko dwa z nich — przy ul. Kurczaki 81 i przy Szczecińskiej 98/100 — mają jeszcze charakter otwarty. To znaczy, dysponują terenami pod nowe groby. Ocenia się, że i te rezerwy są jednak bardzo małe. Uwzględniając dotychczasową ilość pogrzebów, na pierwszym można będzie chować prawdopodobnie jeszcze przez rok, półtora roku, na drugim — dwa, trzy lata.

Na pozostałych cmentarzach chowa się zmarłych już tylko do grobów rodzinnych lub też, w wyniku wcześniejszej rezerwacji przez kogoś placu, co oczywiście kosztuje. Jeżeli żaden z tych warunków nie może być spełniony, rodzina zmarłego w Łodzi ma do wyboru albo cmentarz przy Szczecińskiej, albo — komunalny na Zarzewie, ponieważ nawet na tym przy ul. Kurczaki, gdzie jest jeszcze trochę wolnego terenu, obowiązują ograniczenia i w zasadzie przyjmuje się tylko zmarłych z miejscowej parafii.

Jeszcze gorzej jest na cmentarzach komunalnych, z których jedynie zarzewski, o powierzchni prawie 12 ha, dysponuje wolnymi miejscami. Ale tak będzie — jak się przewiduje — nie dłużej niż przez następne półtora roku, gdyż i na nim szybko kurczy się pusta ziemia. Nie byłoby tak źle, gdyby można było wszędzie dwupoziomowo groby ziemne. Niestety, trudne warunki geologiczne (woda, sytki piasek) uniemożliwiają to na trzech czwartych powierzchni cmentarza przy Przybyszewskiego 325. Przeważają więc groby płytowe, pojedyncze, które mogą być ponownie wykorzystane dopiero po kilkunastu latach, albo jeszcze później. A tymczasem i ten cmentarz trzeba będzie zamknąć. Po prostu nie ma innego wyjścia.

Cmentarz komunalny na Dołach (19,6 ha) czynny będzie najpóźniej trochę dłużej, bo jeszcze przez około trzy lata. Ponieważ jednak pełni on w Łodzi podobną funkcję jak w Warszawie Powązki, nie jest powszechnie dostępny i nie każdy może na nim spocząć. Istniejącą tu rezerwę wolnych miejsc przeznaczono na groby dla zasłużonych obywateli miasta, członków władz, działaczy. Właściwie nie należy więc w ogóle brać go pod uwagę w naszych rozważaniach.

Nie cierpią natomiast na brak wolnego miejsca pozostałe łódzkie cmentarze, należące do mniejszych grup wyznaniowych. Przeciwnie, na niektórych, jak na przykład na ewangelicko-anglikańskim i prawosławnym przy ul. Srebrzyńskiej, jest ich na tyle, że wystarczy nie tylko dla ludzi o-wych wyznań, ale i dla pewnej

liczby katolików. Nie są to jednak ilości znaczące w całym bilansie i fakt, że Kuria wykupiła owe nadprogramowe miejsca, nie powinien być po-czytywany za jedno z możliwych rozwiązań na przyszłość, gdyż jest to typowo doraźne posunięcie.

Z kolei niepokoić musi stan tych cmentarzy. Dwa z nich — ewangelicko-anglikański przy Srebrzyńskiej z neogotycką kaplicą grobową K. Scheiblera projektu J. P. Dziekońskiego i E. Lilpopa z 1889 roku oraz cmentarz żydowski z zespołem grobowców z lat 1893-1939 przy ul. Brackiej — uznane zostały za obiekty zabytkowe. Zdawać by się więc mogło, iż są one pod szczególną pieczę. Ich widok jednak temu przeczy. Niestety z roku na rok coraz bardziej i jeśli tak dalej pójdzie, w przyszłości nie będzie na nich już co konserwować i pokazywać. A przecież zabytki kultury materialnej, nawet tak specyficzne jak cmentarze, powinny być konserwowane.

Niepokoi również sprawa cmentarza ewangelicko-reformowanego przy al. Politechniki. Ale to już odrębny temat.

Już choćby tak pobieżne spojrzenie skłaniać musi do wniosku, że jest źle, by nie powiedzieć wręcz tragicznie. Stajemy dziś bowiem przed całkiem realną perspektywą, iż na przełomie bieżącego i następnego dziesięciolecia nie będziemy mieli gdzie pochować wszystkich naszych zmarłych. Oczywiście można mieć nadzieję, że przedstawione wyliczenia nie są precyzyjne, że bierze się tu pod uwagę jedynie najbardziej skrajną z możliwych wersji rozwoju sytuacji, i mówić — jak to często u nas — że gdy potrzeba przy-cisnie, na pewno znajdzie się jakieś wyjście, bo przecież jeszcze tak nie było. Żeby jednak aby przewidywać właśnie naj-gorsze i być na nie przygotowanym. Dlatego problem cmen-tarzy w Łodzi jest bez wątpie-nia jednym z najważniejszych, jakie trzeba rozwiązać, a przy-tem rozwiązanie powinno wy-biegnąć daleko w przyszłość, w XXI wiek.

Rocznie umiera w Łodzi śred-nio dziesięć i pół tysiąca osób. Do końca wieku zostało nam czterdzieści lat. Pomnożmy te dziesięć i pół przez czterdzieście. Oto skala problemu! Czy na-prawdę możemy jeszcze uda-wać, że problem ten nie ist-nieje? Nie mówić o nim? Nie pisać? Nie myśleć? I tak je-stemy już w tej dziedzinie mocno spóźnieni.

Każda śmierć bliskiej osoby napelnia nas bólem, to praw-da. Trudno się nam z nią po-godzić, wolimy przeżywać ją w

samotności, w powadze, skupie-niu, prywatnie. Odlóżmy jednak choć na chwilę emocje i róż-ne uprzedzenia, i zastanówmy się teraz wspólnie, publicznie, co zrobić w przyszłości z na-szymi zmarłymi? Jak zapewnić im godny wieczny odpoczynek? Spójrzmy prawdzie w oczy: do-tychczasowe rozwiązania — i to nie tylko u nas — coraz częściej nie zdają już egzami-nu. Potrzebne są nowe, na mia-rę naszych czasów. Ale jeste-smy też bardzo przywiązani do tradycji znacznie bardziej niż inne narody. A zatem...

Propozycja pierwsza — jak najszybciej tworzyć nowe, no-woczesne cmentarze.

Znane są już ogólne założe-nia w tej dziedzinie na lata 1987-1990. Przewiduje się bu-dowę przy ul. Szczecińskiej, o-bok rzymskokatolickiego, duże-go cmentarza komunalnego o całkowitej powierzchni 45 ha; cmentarza katolickiego w Gad-ce Starej (40 ha) oraz dwóch cmentarzy dla Wdźewa naj-pewniej (decyzje jeszcze nie za-padły) w rejonie Janowa: ko-munalnego o powierzchni 10 ha i katolickiego — o na (z możliwością ich powiększenia). Ponadto przewiduje się nowe cmentarze w Głowniu (13 ha) i w Zgierzu (9 ha), gdyż podob-nie jak Łódź, miasta te, są w krytycznej sytuacji. W pozosta-łych ośrodkach województwa istniejące już obiekty pokrywa-ją w zasadzie wszystkie po-trzeby. Na razie. Co będzie póź-niej, nie wiadomo, choć już dziś warto się chyba nad tym zastanowić. Tylko pozornie ma-my jeszcze czas.

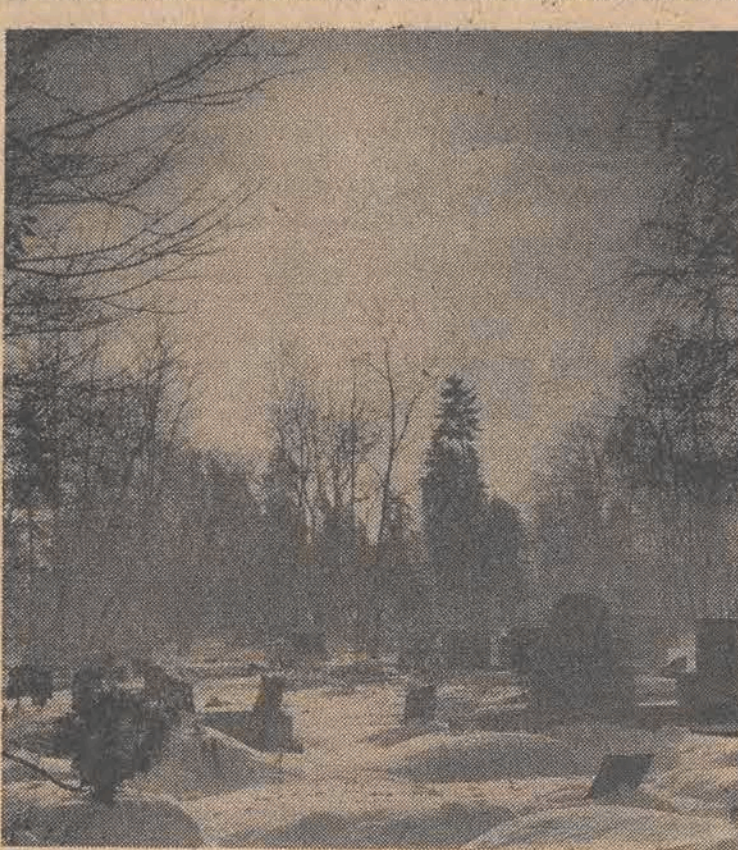
Tak więc należy się spodzie-wać, że w samej tylko Łodzi przybędzie nam już wkrótce o-koło stu hektarów cmentarzy. Dużo to, czy mało? Zależy jak na to patrzeć. W świetle bież-ących potrzeb miasta będzie to z pewnością licząc się wiel-kość pozwalająca zaspokoić po-trzebę na najbliższe kilka, mo-że kilkanaście lat. Patrząc per-spektywnie, przydałby się nam jeszcze jeden wielki, co najmniej stuhektarowy cmen-tarz. Dwukrotnie większa od Łódzi Warszawa zafundowała sobie takie w latach siedem-dziesiątych, a dziś w stolicy mówi się już o następnych — żeby spać spokojnie — o ogól-nej powierzchni aż ponad 500 ha. Jak widać, my nie mierzy-my więc wcale zbyt wysoko, chcąc być przewidzianym. Po prostu także będą potrzeby. A na razie, żeby choć udało się w pełni zrealizować to, cośmy już zaplanowali. Projekt cmen-tarza komunalnego przy Szczecińskiej znany jest od kilku lat. O ileż byłoby dziś łatwiej, gdy-by był to projekt już zrealizo-wany!

A teraz propozycja druga — zbudować w Łodzi krematorium i starać się upowszechnić zwy-czaj spopielenia zwłok. Ale o tym bliżej — w następnym nu-merze „Odgłosów”.

TADEUSZ TANATOWICZ

Łódzkie cmentarze

Foto: GRZEGORZ GAŁASIŃSKI



Czy cmentarz i stadion mogą być obok siebie?

Cmentarz, to miejsce, gdzie za bramą wielkiej ciszy w cie-niu drzew tylko nostalgia i pa-mięć. To także świadectwo czasów, pomnik historii. Za bra-mą wielkiej ciszy — cisza.

Stadion, to miejsce, gdzie za parawanem dopingu z tysięcy gardel w blasku słońca bły-szczą ziane potem torsy zawo-dników, gdzie — jak pisał Ka-zimierz Mierzyński — „ciemna wydyma się wieśka, przestrze-żona otwartą rozpalą, pod taci-cami-mogami drzy maza bez-kształtu prosić, gdzie napa-derbel na alarm, odbija się w ziemi głębokie”.

Tych przeciwnieństw cmen-tarnej ciszy i zgiełku stadi-onów nie jest w stanie pogodzić w jednolite zadanie dyalektyki. Żadna? Żadna, ośrodek urzędni-czej

Stare, rozłożyste drzewa, a-leżki oplecione bluszczem, tu i ówdzie spacerujący dostojnie między grobami kruk. Cisza. Na razie. Za jakiś czas wkró-czy tu buldożer, robotnicy z łopatami i geodeci, o, tutaj 6,6

ha trawników, 0,8 ha dróg żwirowych, 0,2 ha dróg twar-dych, 0,13 ha na plac wy-po-czynkowy, 1500 m kw. na plac zabaw dla dzieci i stadion na 2500 m kw.

Ten cmentarz jest przy zbie-gu ulic Felszyńskiego i al. Politechniki. Jest, był i... bę-dzie. Będzie mimo wszystko, mimo że wkracza na ten teren inżynierowie i kopacze, bo-wiem urzędnicy zasewrowali ładziomom makabryczną nie-spodziankę.

Władze parafii ewangelicko-anglikańskiej nie wiedziaty, dlaczego władze miasta poteci-ły sprzedać cmentarz Łódz-kiemu Przedsiębiorstwu Ogro-dniczemu. Dziesięć milionów szybko zmieniło właściciela. Prawda jest, że na cmentarzu nie pochowano nikogo od lat dwudziestu, a część grobów przeniesiono w inne miejsce. Sporo mogił jednak zostało Łódzkie Przedsiębiorstwo O-grodnicze miało z tym tere-nem spory kłopot. Co prawda nie raz i nie dwa likwidowa-

no cmentarz: groby ekshuma-wano, przenoszono, ziemię po-zbawioną przeszłości zrówny-wał spychacz, sadzono drzewa i powstawał park, „normalna” rzecz. Ale w tym przypadku na przeszłość stanął bluszcz.

ŁPO, jako opiekun zieleni, nie mogło tak po prostu wy-rwać chronionego „zielska”. Za-inwestowano w teren i planó-w nie można ot tak sobie przekro-ślić zwojami bluszczu, więc u-rzędnicy wpadli na genialny po-mysł: groby, które opłata bluszcz trzeba zostawić. A park, place zabaw i boisko sportowe? Będą, a jakże!

ŁPO postanowiło dokonać tylko pewnych zabiegów pie-ręgnacyjnych, pozostawić głów-ne alejki z grobami i urządzić tam park z placem zabaw. Na szczególne boisko sportowe do gry w piłkę ręczną, koszykow-ką i siatkówkę usytuowane bę-dzie na terenie wolnym od na-grobków. Żeby zaś działwa i amatorzy czynnego wypoczynku nie skakali po chronionym bluszczu (i mogiłach...) część

cmentarza z pozostawionymi grobami będzie ogrodzona.

Mało jest w Łodzi terenów zielonych i każdy skrawek par-ku jest na wagę złota. Wiele cmentarzy — jak już wspo-mniałem — zostało zlikwido-wanych, a ich miejsce zajęły parki i tereny rekreacyjne. Ale żeby robić parki i place za-baw, których dodatkową atrak-cją są mogiły i pozostawione w ziemi szczątki ludzkie? Cye-ściowe tylko zlikwidowanie cmentarza (bo przecież groby pozostaną, jeśli są oplecione bluszczem i bliskie osoby nie zażądały ekshumacji zwłok) to chyba nieporozumienie.

W dyrekcji ŁPO twierdzą, że park na cmentarzu powstanie, bo ważny jest każdy skra-wek zieleni w zatio-czonej i zadymionej Ło-dzi. Jak wyjaśnił mi zastępca dyrektora do spraw technicz-nych ŁPO, Wojciech Repelew-ski — suma, jaką trzeba będzie na ten cel wyłożyć, z pewno-ścią przekroczy 60 mln zł. Pytanie: o ile? Na szczęście do-kumentacja techniczna tego projektu nie jest jeszcze gotu-wa, podobno zejdzie z desek kreslarskich w marcu 1986 r. może trochę później. Warto więc do końca przemysleć wszystkie „za” i „przeciw”. Może znajdzie się inne rozwiązanie mniej szko-dujące i wątpliwe.

JACEK GŁĘBSKI

Z BLISKA WYGLĄDA
TO GORZEJ

Z okien autobusu Zakłady Przemysłu Dzwoniarstwa „Femina” prezentują się nieźle — niezbyt duży, jasny biurowiec, z ogrodzenia widać kawałki starych, zabitych murów budynków produkcyjnych.

Wewnątrz jest jednak znacznie gorzej. Ciśnота, panująca na wydzielonych do wszystkich robotników, utrudnia wewnętrzną komunikację, właściwe zorganizowanie miejsca pracy. Trudności te pogłębia jeszcze fakt, że w zakładzie trwa modernizacja — a więc tu i ówdzie obok starych, jeszcze pracujących maszyn, ustawiono nowe, w trakcie montażu, a ponadto — w 1983 r. hale za-

1985 roku, w październiku, nowy system plac przyjęty został przez załogę z zadowoleniem. W najgorszych — nielicznych — przypadkach płace indywidualne wzrosły (przy niezmienionej wydajności indywidualnej) o 500 zł, na ogół jednak był to wzrost znacznie wyższy. Średnia płaca w zakładzie osiągnęła poziom 20 tys. zł.

Nowy system ma działanie bodźcowe, skłania do przyspieszania tempa i efektywnego wykorzystywania czasu pracy.

— Narobić się trzeba solidnie — mówią szwaczki — ale i zarobić można. Teraz to już zależy od tego, jakie kto ma chęć, jak się do pracy przystępuje. W latach poprzednich bywały okresy, że szczególnie pracowano się wolniej, był czas, żeby porozmawiać, wyjść na papierosa — pracy trochę brakowało. Obecnie starczy dla wszystkich, nawet dla tych, co naj- szybciej szują. A z płacami to jest tak: niby nieźle, niby sporo wzrosło — ale przecież nie się przez to w domu nie po-

najlepiej. Trzeba bardzo uważać, aby błędy nie trafiły do ręki do produkcji.

Podczas gdy szwaczki narzekają na uciążliwość osiemnastogodzinnego siedzenia w niezmienionej pozycji, kobiety przygotowujące dzianinę do krojenia skarżą się na konieczność spędzania całego dnia pracy w marszu wzdłuż stołu. Parę metrów w tę i z powrotem, ale w ciągu zmiany nabiera się sporo kilometrów.

— Na naszym wydziale od 15 lat nie się prawie nie zmieniło — mówią. — Jedyne ułatwienie, wprowadzone w zeszłym roku, to elektryczny nóż. Dotychczas ułożoną dzianinę trzeba było przecinać zwykłymi nożycami. W innych zakładach przy takiej samej pracy jeżdżą na specjalnych wózkach. Mamy i u nas nastąpić zmiany — ale jeszcze nieprędko, dopiero w 87 lub 88 roku...

Wiadomo, że nawet pracując bardzo solidnie nie o samej produkcji myśli się w zakładzie. Dlatego też i w rozmowach z

cy zagranicznymi. Pozostałe wyroby przygotowuje się doraźnie, uzgadniając z handlowcami krajowymi, jednak bez umów wyprzedzających i bez udziału w giełdach.

Fakt, że rynek krajowy jest w przypadku „Feminy” rynkiem wynikowym nie odbija się zresztą ani na jakości, ani też na urodzie tego, co trafia na nasze półki. Dla przykładu — poszukiwana za granicą bielizna welurowa chętnie kupowana jest także i przez nasze panie.

Z welurem związana jest zresztą największa obawa, jaką żywią przedstawiciele kierownictwa zakładu. Pod ten właśnie rodzaj dzianiny zaprojektowana została cała kolekcja podomków i koszul, jakie mają być produkowane w roku bieżącym. Ich udział w całości wyrobów i tak dość już spory, ma jeszcze bardziej się zwiększyć.

„Femina” jest zakładem o pełnym profilu produkcyjnym — od dzianin aż po rynkowy pro-

„Łosoś”
w sosie zagadkowym

ze str. 1

Decyzja resortu zdrowia zbiega się z finalizowaniem badań dużej serii konserw wycofanych z handlu po piotrkowskim wypadku. Szczególnie skrupulatnie analizuje się wyroby noszące daty 9 i 29 października oraz 4 i 5 listopada 1983 roku. Próby obejmują znaczną ilość konserw, do których miano poważne zastrzeżenia wynikłe z przeglądu dokumentacji sterylizacyjnej. Wszystkie otrzymane wyniki są zgodne: badania mikrobiologiczne nie wykazały obecności szkodliwych dla zdrowia. Przed wszystkim nie wykryto toksycznych paleczek jadu kiełbasianego.

Ekspozując wyniki badań, spółdzielnia „Łosoś” występuje do ministerstwa z prośbą o uchylenie sankcji. Producent „Filetów rybnych w sosie węgierskim” jest w trudnej sytuacji finansowej. Handel domaga się niezwłocznego odbioru zakwestionowanych konserw. „Łosoś” musi pokryć koszty ich transportu do Ustki, gdzie nie dysponuje odpowiednio pojemnymi magazynami. Cała bieżąca produkcja konserw trafia do firmowych sklepów „Łososa”, lecz z uwagi na niewyjaśnione okoliczności śmierci konsumenta z Piotrkowa, klienci unikają usteckich wyrobów.

Kierownictwo spółdzielni zabiega o udzielenie zgody na przeprowadzenie choćby tej części produktów, do których nie ma zastrzeżeń sterylizacyjnych. Wartość tych konserw szacuje się na blisko trzydzieści milionów złotych. „Łosoś” dowodzi, że zaniechania i pomyłki wykryte przez inspekcję sanitarną w żadnym wypadku nie mogły doprowadzić do wypuszczenia na rynek zatrutych konserw. Podstawą wydania przydatności do spożycia jest bowiem pozytywny wynik testów laboratoryjnych dokonywanych na wylosowanej grupie wywołanych puszek z każdego wsadu do autoklawu. Zanim dana partia konserw trafi na sklepowe półki, wybrane egzemplarze spędzają dni leżakując w temperaturze plus trzydziestu siedem stopni Celsjusza — czyli w warunkach znakomicie sprzyjających rozwojowi bakterii chorobotwórczych. Gdyby zawartość puszek była źle wywołana, niechybnie zaszłoby tzw. bombażowanie — wybrzuszenie metalowych opakowań spowodowane działaniem gazów fermentacyjnych. Takiego przypadku w laboratoriach nie stwierdzono.

Po drugie: niesprawne urządzenia samorejestrujące — termopisy, były zdublowane przez termometry główne i pomocnicze, co odpowiada wymaganiom norm krajowych. Takie argumenty przedstawiają spółdzielcy z „Łososa”, by wybrnąć z kłopotliwej sytuacji. Ale resort zdrowia utrzymuje w mocy swą pierwotną decyzję.

Producent szuka innych argumentów. W styczniu 1986 roku zarząd Spółdzielni Pracy Rybołówstwa Morskiego „Łosoś” w Ustce występuje do Prokuratury Wojewódzkiej w Piotrkowie Trybunalskim z prośbą o udostępnienie wyników dochodzenia w sprawie zmarłego konsumenta filetów. Niebawem prokuratura nadsyła pismo informujące, że „sekcja zwłok nie wykazała, aby zgon nastąpił w wyniku zatrucia po spożyciu konserwy rybnej”.

Kilka dni później gazety codziennie drukują tekst Polskiej Agencji Prasowej noszący znamienity tytuł „Fałszywy alarm”. Wydaje się, że jest to przygrywka do rehabilitacji spółdzielcy z Ustki, PAP donosi, że poza Piotrkowem Trybunalskim, „w innych miastach nie zdarzyły się przypadki zatrucia konserwami z „Łososa”, mimo iż po informacjach prasowych sugerujących zwracanie konsumentów do sklepów firmowych tej spółdzielni, klienci odnieśli zalety... 91 puszek. Drobiazgowo badania konserw także nie wykazały istnienia bakterii jadu kiełbasianego. (...) Nadal w sklepach firmowych i innych placówkach zalega kilkaset tysięcy konserw rybnych wyprodukowanych w ostatnim kwartale ubiegłego roku, a zakwestionowanych przez Główny Inspektorat Sanitarny. Nakazano ponowną ich sterylizację co — zdaniem prezesa usteckiej spółdzielni Henryka Kondratowicza — oznacza zniszczenie produktu. Zawartość puszek ulegnie bowiem skarmelizowaniu, rozgotowaniu się masy rybnej, przypaleniu i goryczce. Decyzja w tej sprawie należy do Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej”.

Tymczasem resort twierdzi, że zakaz sprzedaży konserw „Łososa”. Ministerstwo twierdzi, że nie zgromadziło jeszcze dostatecznych dowodów na obalenie zarzutów stawianych „Łososiowi”. Nadesłane właśnie pismo ze Szpitala Wojewódzkiego w Piotrkowie Trybunalskim informuje, że przebieg kliniczny schorzenia oraz wyniki sekcji zwłok zmarłego nie mogą wykluczyć ani potwierdzić zatrucia toksyną botulinową, czyli jadem kiełbasianym. Chory cierpiał na różnorodne poważne dolegliwości, które w równym stopniu mogły być przyczyną jego śmierci.

Piotrkowski wypadek budzi wiele trudnych do rozstrzygnięcia wątpliwości. Nadal zagadką pozostaje obecność jadu w badanych resztkach konserwy. Wiadomo, że trucielska bakteria rozwija się w warunkach beztlennych — czyli na przykład w zamkniętej puszcze. Z powodu braku opakowania nie można ustalić czy feralna konserwa nie była aby przeterminowana. W obliczu takich wątpliwości Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej uparcie podtrzymuje swą decyzję w sprawie „Łososa”.

GORYCZ

13 lutego 1986 roku, Ustka. Mija trzeci miesiąc od momentu, gdy na spółdzielnię rzuceno poważne podejrzenie. W „Łososi” trwa normalna produkcja. Codziennie prawie trzydzieści tysięcy świeżych konserw trafia na półki dziesięciu firmowych sklepów. Ale załoga jest rozgoryczona. Uważa, że skrzywdzono ją niesłusznym przypisaniem odpowiedzialności za śmierć człowieka. Występujący w imieniu załogi zarząd domaga się cofnięcia decyzji ministerstwa i pełnej rehabilitacji spółdzielni.

„Łosoś” produkuje konserwy od trzydziestu lat i nie zdarzyło się, by z tego tytułu miał przykrości. Swoją robotę zawsze wykonywał fachowo, rzetelnie i czysto. Zakład jest najlepszym wytwórcą w branży. Załoga liczy czterystu ludzi mocno związanych ze spółdzielnią. „Łosoś” ma własną flotę kutrów przybrzeżnych i pełnomorskich — stu dwudziestu rybaków. Odtawiają oni blisko pięć tysięcy ton ryb rocznie, głównie dorszy, śledzi oraz szlachetnego łososia. Powstaje z nich siedem milionów pierwszoklasowej konserw, kawior i inne przetwory. Spółdzielnia wiąże umowy eksportowe z Niemiecką Republiką Demokratyczną i Szwecją. Dokąd wysyła się niechciana przez nasz rynek wątrołka oraz ikry dorszowa. Spore ilości świeżego dorsza odbiera własnym transportem przedsiębiorca z Berlina Zachodniego. Właściciel międzynarodowego biznesu przynajmniej, że współpracuje z „Łososiem” układa się znakomicie.

Ekonomiści z usteckiej spółdzielni prowizorycznie obliczają, że wykonanie decyzji resortu zdrowia — transport i powtórna sterylizacja konserw, pochłonię koszty rzędu dziesięciu milionów złotych. Dwukrotnie wywołane potrawy całkowicie stracą walory smakowe. „Łosoś” nie chce takich bubli zanferować swym klientom. Załoga jest całkowicie przekonana o nieszkodliwości wyprodukowanych przez nią konserw.

Z autoklawu wyjeżdża kilka puszek poddanych powtórnej sterylizacji. Ich zawartość jest ciemna, zwięzła, niesmaczna. Ryby są gorzkie jak słowa rozżalonych spółdzielców.

ROMAN KUBIAK

Która
kobieta nie lubi się stroić?

geśliły się, bowiem przeniesiono tu pracowników z drugiego, wchodzącego w skład „Feminy” zakładu.

— Pół biedy, kiedy szuje się jakieś male sztuki, np. halki — mówią robotnice ze szwalni. — Ale jak dostajemy welurowe podomki, to dostawnie nie ma jak ponieść się przy maszynach, przygotowane do szycia wykroje niemal nas zasypują, spadają ze stołów, zawałają i tak wąskie przejścia...

Szwalnia jest zakładowym sercem — to tu właśnie w największym stopniu decyduje się o tym, jakie będą ostateczne ilościowe i jakościowe efekty produkcji. Tymczasem właśnie w szwalni dzieje się najniebezpieczniej — zresztą bez nieczyłej winy.

Większość jej załogi stanowią doświadczone robotnice, z długim stażem pracy. Ten długi staż to — z jednej strony — wysokie kwalifikacje, umożliwiające dużą wydajność i dobrą jakość pracy, przywiązanie do zakładu, którego teraz, po kilkunastu czy kilkunastu latach nie poruci się już, aby szukać lepszych warunków gdzie indziej, rzetelne traktowanie swoich obowiązków.

Z drugiej strony jednak — to także choroby, wynikające ze zmęczenia, z pogarszającego się stanu zdrowia, a w niedalekiej perspektywie emerytura. Każdego roku ze szwalni odchodzi około 50 osób — głównie w wyniku uzyskania uprawnień emerytalnych, a nowych szwaczek brak. Niewiele pomagają ścisłe kontakty ze szkołami zawodowymi, stworzenie możliwości przyuczenia do zawodu na miejscu, w zakładzie.

NA CO NARZEKAJĄ
KOBIECY

Młode kobiety do szwalni zgłaszają się nieczęsto, a i z tych nielicznych spora część szybko z tej pracy rezygnuje.

— Ja się im nie dziwię — mówi jedna z robotnic, z trzydziestoletnim stażem. — Kiedyś uważało się, a i dziś niektórzy tak myślą, że szwaczka to ma łatwą robotę: siedzi sobie w cieple, nie nadzwiga się. A to przecież bardzo ciężka praca: osiem godzin w tej samej pozycji, oczy męczą się, większość z nas, tych długo pracujących, cierpi na kregosłup, a pieniądze male. Pójdzie do kłaki — za ten sam czas zarobi znacznie więcej...

W dalszej rozmowie okazuje się jednak, że zarobić można nie najgorzej. Wprowadzony w

prawilo. Wszystko wciąż drożeje i całą podwyżkę pochłonił wzrost cen. Staramy się więc pracować jeszcze szybciej, zrobić więcej, żeby więcej zarobić — ale czy takie tempo nie odbija się na zdrowiu?...

— Przemieniła tak dokuczliwa para lat temu — płaża krótkoterminowych, trzydniowych zwolnień — mówi mistrzyni szwalni. — W pewien sposób przyczyniła się do tego premia motywacyjna, którą otrzymują te osoby, które nie opuściły ani jednego dnia w miesiącu. Oczywiście, jak ktoś poważnie zachoruje, to pójdzie na zwolnienie, nie potrząca na premię. Ale już planując pranie raczej nie pójdzie do lekarza, żeby go na te trzy dni naciągnąć.

Zresztą staramy się iść pracownikom na rękę. Wiadomo że każdemu czasem zdarza się — bez poważniejszej choroby — źle poczuć. I tak wprowadziliśmy zasadę, że jeden dzień można opuścić bez zwolnienia, a następnie odrobić. Przychodzą więc do mnie kobiety i mówią: majstrowa, grypa mnie bierze, poleżę jutro. I zwalniam je. Trochę to nie jest w zgodzie z przepisami — ale produkcja na tym nie traci, bo przecież odrabiają, nikt takiej możliwości nie nadużywa i jest to tylko jeden dzień. A gdyby poszła z tym katarrem do lekarza — byłoby co najmniej trzy.

Rezultaty widać — w styczniu z 70 kobiet, pracujących na tej sali korzystało ze zwolnienia tylko 9, w tym dwie chorujące już od dłuższego czasu.

Dyscyplina pracy jest bardzo duża, wydajność też. Zwłaszcza w ostatnim czasie, kiedy akurat trafiły do produkcji długie serie po 12 i więcej tysięcy wyrobów.

Źródła dalszego wzrostu na wydziale, to przede wszystkim nowe maszyny, zwłaszcza zdobnicze, takie, które jednocześnie mogą wykonywać po parę czynności. Dla przykładu — obecnie podwijanie dołu halki i przyszywanie koronki to jedna operacja — bo konstrukcja maszyn na to pozwala. Przedtem były to dwie czynności i dwa razy więcej czasu pochłaniali.

Przy szyciu niemożliwa jest automatyzacja, żadna maszyna nie zastąpi szwaczki, ale wymieniając dość już przestarzały park maszynowy można osiągnąć wiele. Wymiany maszyn są planowane i czekają na nie w „Femini” wszyscy. Także na poprawę jakości dzianin — no i żeby było trochę luźniej, ale to ostatnie chyba będzie najtrudniejsze do realizacji...

Podobne życzenia mają pracownice krojowni.

— Ostatnio poprawiła się korektorka dzianin — mówią — ale ich jakość ciągle nie jest

pracownicami „Feminy” obok spraw zakładowych często pojawia się temat bliski, niestety, wszystkim niemal kobietom: zaopatrzenia.

— Mamy kiosk zakładowy — ale co z tego? Raz na miesiąc każdy wydział dostaje talony na wędlinę, po 80 dag. A i po to trzeba stać w kolejce. Brakuje garmażu — a kiedy wychodzimy z pracy w sklepach już takie go nie ma. Właściwie to nawet i na śniadanie nie bardzo jest co kupić.

Prawda, że kiosk zakładowy nie może zastąpić wszystkich sklepów spożywczych, ale jednak i tu zaopatrzenie powinno być lepsze, takie, aby nie było kolejek. No bo jak trzeba godzinie stać po pasztecik czy kanalikę to te z produkcji, z okordu nie mogą sobie na to pozwolić. A po zakończeniu zmiany nie już nie ma. O takich towarach jak pieprz czy tani herbata to już dawno nie słyszaliśmy.

SĄ WYNIKI,
ALE I KŁOPOTY

Niedawno w zakładzie zakorkowała się kontrola resortowa przynosząc bardzo pozytywne wyniki. Co zresztą nie było żadnym zaskoczeniem. Już wcześniej wiadomo było, że 1985 rok był dla zakładu pomyślny i pozwolił na stworzenie odpowiednich warunków dla dobrego startu zarówno do wykonywania zadań 1986 roku, jak i całej, rozpoczynającej się właśnie pięcioletniej. Zamiast planowanych 1,850 miliarda zł uzyskano wynik 2,5 mld, przy stałym zmniejszającym się zatrudnieniu. Plan na 1986 rok przewidywał wyprodukowanie wyrobów o wartości 3 mld zł.

O porównanie wskaźników ilościowych jest w przypadku „Feminy” dosyć trudno, bowiem stale zmienia się nie tylko zwornictwo, ale i procentowy udział poszczególnych wyrobów w całości produkcji. Jeszcze niedawno było wiele halek, półhalek, majteczek z gładkiego stylonu. Tymi towarami rynek jest już w pełni nasycony, w produkcji przeważają więc welurowe podomki i bogato zdobione nocne koszule.

Zapotrzebowanie rynku krajowego nie jest zresztą — w przypadku „Feminy” — czynnikiem najbardziej decydującym o profilu produkcji. Zakład bowiem nastawiony jest w dużej mierze na eksport. Na rynku Anglii, Francji, Kanady, Danii, Holandii, RFN, Egiptu i Kuwejtu trafia ponad 60 proc. wyrobów. Przy takim ustawieniu o zwornictwie i asortymencie decydują w dużej mierze odbior-

dukt finalny, co w dużym stopniu ułatwia planowanie i organizację produkcji. Jednocześnie jednak jest to zakład staro, wymagający modernizacji. Jest ona realizowana etapami. Na rok bieżący przewidziano m.in. unowocześnienie farbiami i wykończalni, co przyczyni się nie tylko w sposób istotny do poprawy warunków pracy załogi tych wydziałów, ale także nie pozostanie bez wpływu na efekty produkcyjne.

Również na rok bieżący w planie modernizacji przewidziano zainstalowanie nowych drapaków — maszyn, które gładki stylon przekształcają w poszukiwany welur.

Maszyny takie nie są produkowane w kraju — jednak zakład, eksportując dużo, dysponuje sporym kontem dewizowym i może pozwolić sobie na zakup maszyn i urządzeń za waluty wymienialne. Konto jednak — choć duże — to jeszcze nie wszystko, nie można bowiem go ruszyć.

Kontrakty z zagranicznymi dostawcami maszyn zostały już podpisane — ciągle jednak trwają usilne starania o otwarcie akredytywy. Wiadomo, że pieniądze nikt maszyn do „Feminy” nie dostarczy. Pomyślnego końca tych starań na razie nie widać — a przedłużanie sprawy o dalsze tygodnie spowoduje ogromne perturbacje produkcyjne, postawę pod znakiem zapytania realizację zadań rocznych, może również narazić „Feminę” na utratę zagranicznych odbiorców, spowodować bardziej długofalowe kłopoty z eksportem.

Możliwość nabycia gotowych dzianin welurowych w kraju praktycznie nie istnieje i jedynym rozwiązaniem jest własne zakup własnych, nowych drapaków.

Oprócz oczywistych korzyści, wynikających z eksportu w ogóle, o jego opłacalności przekonana się w najbliższym czasie również załoga przedsiębiorstwa. Po raz pierwszy, rozdzielone zostaną nagrody za eksport — 3 miliony zł, uzyskane dzięki obniżeniu podatku.

Także i „czternastki”, które zamierza się wypłacić jeszcze przed świętami, będą w tym roku wyższe niż w latach poprzednich, bowiem zysk, jaki wypracował zakład osiągnął wartość 240 mln zł (w ostatnim dziesięciu latach nie był wyższy niż 84 mln zł).

Trzeba przy tym podkreślić, że tak znakomity efekt osiągnięto nie placąc ani złotówki na PPAZ — co już samo świadczy o tym, jak rozsądnie wykorzystano w zakładzie wszystkie możliwości i jak dobrze pracowała jego załoga.

TERESA
JERZYKOWSKA

Historia jaka wydarzyła się trzy tygodnie temu w kartuskim szpitalu poruszyła nie tylko mieszkańców Wybrzeża. Wykradzenie 7-miesięcznej dziewczynki z oddziału pediatrycznego stało się problemem, nad którym dyskutowała cała Polska. Informacje prasowe, które ukazywały się po zniknięciu Kasi ze szpitala, przynosiły krótkie streszczenie wydarzeń, jakie miały miejsce 28 stycznia 1986 r. Kasie umieszczono na oddziale niemowlęcym w nocy z 23 na 24 stycznia. Po raz ostatni pielęgniarka widziała dziecko w łóżeczku o godzinie 3.30. Porwanie musiało nastąpić między 3.30 a 5.00 rano. Ślady prowadzą do wyjścia awaryjnego, znajdującego się na wprost drzwi, za którymi leżała Kasia. Sprawca wybił szybę w oknie, a gdy dostrzegł w nim kratę, dostał się na oddział drugim, zabitym płytą. Oprócz tych faktów prasa podała również, że przesłuchania lekarzy, pielęgniarek i lekarzy dyżurnych okazały się bezowocne.

W POCIĄGU OPOWIADA SIĘ RÓŻNE RZECZY

W pociągu relacji Łódź—Gdańsk zupełnie przypadkowo rozgorzała dyskusja. Jeden z pasażerów, rodowity gdaśszczanin, opowiedział bulwersującą historię, która rozpoczęła cykl wręcz makabrycznych opowieści nawiązujących do porwania w Kartuzach. Dwa tygodnie temu w damskiej toalecie na dworcu w Gdyni znaleziono w kłóciece noworodka. Dziecko jeszcze żyło. Po kilku dniach odnaleziono matkę, była nią 17-letnia uczennica z Pucka. Rodzice zawieźli ją do lekarza. Okazało się, że zjawisko zwane „ulicznymi porodami” stało się w Polsce problemem społecznym. Ale jest wstydliwie przemilczane i jedynie nieliczne przypadki są ujawniane dopiero wówczas, gdy porodowi towarzyszyły wyjątkowo drastyczne okoliczności.

Wypowiedzi towarzyszy podróży wskazywały na to, że każdy ma własną hipotezę przebiegu wydarzeń. Właściwie pokrywały się one z wariantami rozpatrywanymi przez funkcjonariuszy MO, tylko jeden przypadek odbiegał od pozostałych okrucieństwem zamysłu i wykonania.

Kilkanaście lat temu — opowiadał przygodny podróźny — ujawniono w Szwajcarii szajkę handlarzy biżuterią. Ostatnią metodą, jaką z powodzeniem stosowali przez kilka miesięcy, było przewożenie skradzionych kamieni w ciążach martwych niemowląt. Dzieci te były porwane razem z wózkami sprzed sklepów, mordowane i...wyprowadzane tak, aby stanowiły schowek na klejnoty.

W KARTUZACH

23 stycznia 1986 r. o 10.00 rano milicja zablokowała wszystkie drogi dojazdowe w rejonie Kartuz. Przeszukano szpital oraz 4 ha terenów otaczających. Przeszeczono przyległe lasy i zbzdano jeziora Kartuskie. Spenetrowano dworce PKP i PKS. Przeprowadzono przesłuchania personelu szpitalnego. Ponieważ podejrzewano, iż porwania mogła dokonać osoba chora psychicznie, sprawdzono także tę możliwość. Kilka lat temu porwała noworodka pracująca tu kiedyś pielęgniarka. Któregoś dnia, gdy — mąż pływający w PLO — wyruszył w dłuższy rejs, wykradła z gdyńskiego szpitala nowo narodzone dziecko. Poszukiwania trwały kilka dni. Nie odnaleziono by ani dziecka, ani porywaczki, gdyby nie przypadek. Pielęgniarka telefonicznie dała

znać mężowi o odbytym porodzie. Uradowany ojciec przesał depeszę z życzeniami do jej macierzystego szpitala. I tak to się wydało. Ale ten ślad okazał się fałszywy, gdyż kidnaperka już nie żyła.

Funkcjonariusze MO dopuszczają także możliwość nielegalnej adopcji. Wykrycie jej, zwłaszcza przy zmianie miejsca zamieszkania, jest wyjątkowo trudne. Dziwny jest, w obecnej fazie poszukiwań, zupełny brak sygnałów od ludności. Te, które nadeszły w pierwszych dniach lutego, już zostały sprawdzone.

W dzień po nadaniu komunikatu zgłosił się taksówkarz, który wioził młodą kobietę z bardzo chorym dzieckiem. Zachowywała się wyjątkowo dziwnie, ale najbardziej zaniepokoiło go to, że zamiast do lekarza zawiozła dziecko na dworzec. Taksówkarz próbował śledzić, do jakiego pociągu wsiadzie matka z dzieckiem, ale kobieta zginęła w tłumie podróźnych. Okazało się, że ten przypadek nie może mieć nic wspólnego z porwaniem, ponieważ działo się to

Kto wyjaśni tę zagadkę?

Porwanie w Kartuzach

przed północą. Podejrzewano też o porwanie znaną milicji narkomankę z Elbląga, która wydawała pieniądze na narkotyki udając, że jest w ciąży. Ale i to był fałszywy trop.

JAK ZWYKLE PLOTKI

Rozmawiałam zarówno z mieszkańcami Kartuz, jak i wsi, z której pochodzą rodzice Kasi. Potwierdziła się opinia, jaką ma ojciec dziewczynki w kolejnych miejscach pracy i we wsi. Powtarzają się plotki o tym, jakoby ojciec twierdził, że Kasia nie jest jego dzieckiem, ponieważ urodziła się wtedy, gdy siedział w więzieniu. Sugeruje to nową wersję porwania, inspiratorem którego miały być ojciec dziewczynki wraz z pomocnikami, a chodziło nie o samo dziecko, ale o jego życie.

Przypomniano też wypadek z 1980 r. spalania niemowlaka w łóżeczku. Do dziś nie ustalono, która z siostr wzięcia „słoneczko” i postawiła je blisko dziecka.

Bulwersujące są też krążące domysły co do możliwości zaistnienia wypadku w szpitalu. Wówczas, jeżeli winę ponosiłby ktoś z personelu, mógł ukryć zwłoki dziewczynki lub spalić je w znajdującym się piętro niżej piecu, przeznaczonym do kremacji amputowanych kończyn czy chorych narządów usuniętych podczas operacji. Tę możliwość brali też pod uwagę prowadzący poszukiwania i dlatego w pierwszej kolejności dokładnie zbadano budynek szpitala oraz otaczające jeziora i lasy.

CO SADZĄ LEKARZE

Krańcowo odmienny punkt widzenia zaprezentowali lekarze ze szpitala im. dr. A. Maj-

kowskiego w Kartuzach. Dyrektor szpitala lek. med. Mieczysław Szlachetka zareagował oburzeniem na przedstawione mu przypuszczenia.

— Nigdy dotąd nie miałem powodu uskarżać się na personel szpitala, a pracuję tu od 1964 roku. Dotychczasowe opinie o tym oddziale były pozytywne. Feralnego dnia dyżurująca kadra była wyjątkowo liczna. Oprócz trzech pielęgniarek i salowej był tam także lekarz dyżurujący — specjalista pediatra.

Na prośbę o ustosunkowanie się do krążących opinii o możliwości zaistnienia wypadku dyrektor szpitala przedstawił mi dane świadczące o tym, że kartuski szpital ma najniższy wskaźnik zgonów niemowląt. Wynosi on 15,2 proc. na 1000 urodzeń, podczas gdy w województwie sięga on 21,1 procent.

— Dziecko dostało szóstą dawkę penicyliny natychmiastową pomocą. Zgon mógłby nastąpić w taki sposób, ale nikt nie miałby powodu tego ukrywać.

Zarówno Szwecja jak i RFN są krajami o wyjątkowo niskim przyroście naturalnym. Biorąc pod uwagę fakt wyjątkowo późnego zablokowania dróg (dopiero o 10.00, pomimo tego, że porwanie nastąpiło między 3.30 a 5.00) lekarze dopuszczają możliwość przewiezienia dziecka przez granicę.

— To wszystko było ukartowane — stwierdził obaj lekarze. Przerabiają za tym: wykryte ślady samochodu, który czekał na tyłach szpitala oraz dobra znajomość rozkładu szpitala. Zastanawiające jest także to, że nie zginęła żadna część pościeli leżącej w łóżeczku. Świadczy to o tym, że sprawca musiał przynieść ze sobą torbę czy też koc, w którym można było przewieźć dziecko. Dyrektor szpitala bardzo sceptycznie ocenia skuteczność działań milicji, ponieważ uważa, że przewiezienie 7-miesięcznego dziecka przez granicę, zwłaszcza zagranicznym samochodem, jest wyjątkowo łatwe.

— Sześć kilometrów za Kartuzami znajduje się wioska, w której mieszkają rodzice porwanej dziewczynki. Muszę przyznać, że po tym, co usłyszałam o rodzinie, a zwłaszcza o ojcu, od mieszkających w tej wsi gospodarzy, spodziewałam się czegoś zupełnie innego. W małym pokoiku mieszka dwoje dorosłych ludzi i pięcioro dzieci. Dzieci są zadbane, a w mieszkaniu jest wyjątkowo czysto. Dwoje starszych wychowało na ferie do rodziny.

— Już nie mam siły — zwierza się rozszalała matka Kasi. — Wiem co wymyślają ludzie, ale co można poradzić na złe ludzkie języki?

TAM, GDZIE URODZIŁA SIĘ KASIA

Widocznie remont był wykonany dość solidnie, bo budynek przetrwał do sierpnia 1983 roku, kiedy to sprowadzeni fachowcy od budownictwa stwierdzili, że lepiej będzie jeśli zabierze się stąd dzieci, bo stropy mogą lada chwila runąć im na głowy. W pośpiechu więc upychano dzieci, gdzie się tylko dało, a znając warunki łóżek nie było to łatwe. Ale jakoś zdążono.

W tym samym czasie Biuro Projektów opracowywało kosztorys remontu kapitalno-adaptacyjnego. Pełną dokumentację Wydział Oświaty, Wychowania i Kultury otrzymał w grudniu 1984 roku. Koszt związanych z remontem prac miał wynosić (wg. cen obowiązujących w roku 1984) 20,5 mln złotych.

Kiedy trwały prace nad kosztorysem z budynkiem zaczęły dziać się niepokojące rzeczy, które dawniej jedynie sygnalizowały zbliżanie się katastrofy. Oto wygięły się tregry, sufit się wyrzużył, opuścił niebezpiecznie nad podłogą, a w końcu runął. W tej sytuacji podjęto — chyba jedynie słuszną decyzję, by usunąć pozostałe stropy i część ścian, co uchroni budynek przed ostateczną katastrofą.

Remont miał się rozpocząć w 1985 roku. Sumą wyjściową miało być 5 mln zł. Zaledwie 5 mln złotych, co przy cenach materiałów budowlanych i robociznie nie jest wielkością aż nadto wygórowaną. Niestety, okazało się, że pieniędzy nie ma. Dzielnica Bałuty — myśle tu o oświacie — jest biedna, żyje przecież z dotacji. Może coś skapnie z nadwyżki budżetowej Dzielnicy Rodacy Narodowej? A jeśli nie, co wtedy? Założony jednak, że jakaś suma wpłynie. Czy wystarczy jej na rozpoczęcie remontu PDD? Czy wystarczy jej na inne remonty czekające w kolejce?

Wydział Oświaty, Wychowania i Kultury Łódź-Bałuty na ten rok otrzymał zaledwie 27 mln zł. Potrzeby na dokończenie remontów zaczętych w 1983 roku wynoszą 54 mln zł. W tej chwili trwają remonty kapitalne w Szkole Podstawowej nr 81 i Szkole nr 50, a także w Domu Dziecka „Słoneczna Polana” mieszczącym się przy ulicy Sowińskiego.

Ktoś nie znający realiów mógłby pomyśleć, iż inspektor wyolbrzymia problem, bo przecież w Polsce na oświatę przeznaczają się ogromne sumy i jeszcze się nie zdarzyło, by dzieci nie miały się gdzie uczyć. Wszystkie to prawda, bowiem mało kto wie, jakiego nieraz potrzeba wysiłku, jakiej pracy i samozaparcia, by dzieci miały gdzie się uczyć. Przecież samo malowanie pomieszczeń

Nawet nas dobrze nie znają, a plotą. Gdyby to dziecko nie było jego, to przecież był czas, żeby ciążę usunąć. Ale żeby zabijać? Pije, jak każdy chłop, ale przecież to nie zwierzę, za wodką by nie sprzedał.

W Kartuzach dowiedziałam się, że cała rodzina utrzymuje się tylko z jednej pensji.

— Dlaczego dotąd nie staraliście się o przydział zasiłku dla rodzin wielodzietnych?

— My nie chcemy żebrać, a poza tym mąż nie wie, gdzie się o to zwrócić. Ja sama szyję, robię na drutach, przerabiam ubranka z jednego dzieciaka na drugie i jakoś starcza. Jest bardzo ciężko, ale mąż po pracy zajmuje się stolarstwem, pomaga we wsi i tak żyjemy z dnia na dzień.

— Byłam w Gdyni u wrożki — zaskoczyła mnie matka Kasi. — Powiedziała, że nieprzychylna „czarna kobieta” rozgłasza się plotki, a o Kasię mam się nie martwić, bo już niedługo dostanę list. Teraz jest niedaleko, u osoby związanej z lekarzem z Kartuz. Odnalezienie córki ma poprzedzić wiadomość o dużej paczce.

Gdy żegnaliśmy się z rodziną Kasi do drzwi zapukał chłopiec, który przyniósł z pocztą wiadomość o nadejściu paczki z RFN.

JESZCZE JEDNA ROZMOWA W POCIĄGU

Wracałam do Kartuz w jednym przedziale z milicjantem z Somonina, który brał udział w poszukiwaniach. Potwierdził fakt zbyt późnego powiadomienia przez szpital RUSW. Poruszył problem, który wydaje się ważny, ale do tej pory nie wspominali o nim moi rozmówcy. Nie tylko w województwie gdańskim, ale w całym kraju istnieją poważne trudności z legalnym adoptowaniem dzieci. Jest to proces długotrwały, a rodzice pragną przyjąć dziecko do swojego domu napotykać na mnóstwo problemów. Może jest to jeszcze jedna nić prowadząca do rozwiązania tej wyjątkowo trudnej sprawy. Próbowalam dowiedzieć się czegoś bliższego na ten temat, ale zajmujący się problemem adoptacji Sąd Rodzinny w Kartuzach został powołany dopiero 1 stycznia 1986 roku i jeszcze nie funkcjonuje.

JEST JESZCZE SZANSA

— Nie jest to w żadnym wypadku kidnapping, gdyż w tym tragicznym zdarzeniu nie ma elementu szantażu, okupu — stwierdził rzecznik prasowy Komendy Głównej MO, płk Jan Świeczyński.

Dzień wcześniej na oddział niemowlęcy przewieziono dziecko z wyjątkowo dobrze sytuowanej rodziny pochodzącej z tej samej wsi, co porwana dziewczynka. Podejrzewano, że sprawca mógł pomylić łóżeczka i porwanie z późniejszym żądaniem okupu nie powiodło się.

Jeżeli dziecko żyje i znajduje się jeszcze w kraju istnieje szansa rozpoznania, nawet po kilku latach. Kasia ma kilka znaków szczególnych, które można usunąć tylko operacyjnie.

Prowadzący poszukiwania zapewniają, że zrobią wszystko, by wyjaśnić zagadkowe zniknięcie 7-miesięcznej dziewczynki, ale... nadzieja zanika, czas działa na niekorzyść.

BEATA SZUSZWEDYK-KOWALIK

W telewizji pokazano następujący obrazek: dom bez stropów, rozebrany czy też zdewastowany ściany, jakieś deski w nieładzie, prześwity, kurz, pełno sprzetu medycznego. Z komentarza można było się dowiedzieć, że budynek jest własnością Wydziału Oświaty, Wychowania i Kultury Łódź-Bałuty, a mieścił się w nim Państwowy Dom Dziecka. Teraz — właściwie od kilku lat — nikt się budynkiem nie zajmuje, ściany niszczy ulegając postępującej ruinie. Na dodatek został tu zgromadzony sprzęt medyczny z drugiego obszaru planicznego sprzętu medycznego dla budującego się Szpitala Pomnika Centrum Zdrowia Matki Polki. Słowem — skandal na większą skalę!

W budynku byłego Państwowego Domu Dziecka zjawiała się Inspekcja Robotniczo-Chłopska. Inspektorzy IRCh sumiennie i dokładnie obejrżeli budynek, a potem napisali protokół, w którym szczegółowo wyłożyli co ich, jako kontrolerów, najbardziej zbulwersowało. Przytoczę ich opinie: „Budynek całkowicie zdewastowany, nie nadający się w tym stanie do użytkowania. Stropy zdemontowane w 80 procentach, zniszczona blacharka (rynny, rury), instalacja elektryczna zerwana, instalacja c.o. użytkowana częściowo, większość drzwi zdemontowana, ściana szczytowa od strony północnej rozebrana i prowizorycznie zabezpieczona deskami i papą od września 1985 r. (wg. oświadczenia dozorczy). Na zapleczu, zgromadzone elementy budowlane, jak deski, wata mineralna, suprema bez zabezpieczenia. W chwili obecnej w tych znajdujących pomieszczeniach składany jest majątek Szpitala Pomnika Centrum Zdrowia Matki Polki taki jak łóżka specjalistyczne oraz inne urządzenia techniczne w ilości 180 sztuk oraz 31 sztuk urządzeń technicznych (autoklawy do sterylizacji). Wymienione przedmioty przechowywane są bez dokumentacji przychodowo-materiałowej”.

Obraz Państwowego Domu Dziecka z ulicy Aleksandrowskiej 137 w Łodzi jawił mi się ponury i tragiczny. Przecież pamiętałem, że właśnie tam w połowie lat siedemdziesiątych była „Reymontówka”, czyli internat Zakładu Wychowawczego dla Dzieci Upośledzonych w Stopniu Lekkim. Co się więc stało z tymi lokatorami? I dlaczego dopuszczono do stanu, kiedy wejście do budynku przestało być bezpieczne? Pytań było coraz więcej, a odpowiedzi ani jednej. W tej sytuacji należało zasięgnąć informacji u tak zwanego „źródła”. Pojechałam na ulicę Hippecką nr 3/5 do Wydziału Oświaty, Wychowania i Kultury dla dzielnicy Łódź-Bałuty. Zgłosiłam się do inspektora.

Inspektor wcale nie zaprzeczał, że budynek jest w stanie wymagającym remontu. — Wszystko to prawda — powiedział — ale my nie mamy armat! Zwyczajnie nie mamy pieniędzy. Nie mamy pieniędzy na wiele innych niezbędnych potrzeb, w tym na remonty paru funkcjonujących szkół, które mogą za jakiś czas rozpaść się doszczętnie.

W połowie lat siedemdziesiątych w budynku przy ulicy Aleksandrowskiej 137 mieścił się internat Zakładu Wychowawczego dla Dzieci Upośledzonych w Stopniu Lekkim. Już wówczas należało przystąpić do remontu, ale zajęte budowaniem drugiej Polski władze odpowiedzialne nie miały na to czasu. Dopiero w 1978 roku przystąpiono do prac, a wykonywali je rzemieślnicy. W roku następnym na teren budynku wszedł Zakład Remontowo-Budowlany istniejący przy Kuratorium. I wówczas to powstał tu Państwowy Dom Dziecka.

Nie mamy armat...

Kiedy trwały prace nad kosztorysem z budynkiem zaczęły dziać się niepokojące rzeczy, które dawniej jedynie sygnalizowały zbliżanie się katastrofy. Oto wygięły się tregry, sufit się wyrzużył, opuścił niebezpiecznie nad podłogą, a w końcu runął. W tej sytuacji podjęto — chyba jedynie słuszną decyzję, by usunąć pozostałe stropy i część ścian, co uchroni budynek przed ostateczną katastrofą.

Remont miał się rozpocząć w 1985 roku. Sumą wyjściową miało być 5 mln zł. Zaledwie 5 mln złotych, co przy cenach materiałów budowlanych i robociznie nie jest wielkością aż nadto wygórowaną. Niestety, okazało się, że pieniędzy nie ma. Dzielnica Bałuty — myślę tu o oświacie — jest biedna, żyje przecież z dotacji. Może coś skapnie z nadwyżki budżetowej Dzielnicy Rodacy Narodowej? A jeśli nie, co wtedy? Założony jednak, że jakaś suma wpłynie. Czy wystarczy jej na rozpoczęcie remontu PDD? Czy wystarczy jej na inne remonty czekające w kolejce?

Wydział Oświaty, Wychowania i Kultury Łódź-Bałuty na ten rok otrzymał zaledwie 27 mln zł. Potrzeby na dokończenie remontów zaczętych w 1983 roku wynoszą 54 mln zł. W tej chwili trwają remonty kapitalne w Szkole Podstawowej nr 81 i Szkole nr 50, a także w Domu Dziecka „Słoneczna Polana” mieszczącym się przy ulicy Sowińskiego.

Ktoś nie znający realiów mógłby pomyśleć, iż inspektor wyolbrzymia problem, bo przecież w Polsce na oświatę przeznaczają się ogromne sumy i jeszcze się nie zdarzyło, by dzieci nie miały się gdzie uczyć. Wszystkie to prawda, bowiem mało kto wie, jakiego nieraz potrzeba wysiłku, jakiej pracy i samozaparcia, by dzieci miały gdzie się uczyć. Przecież samo malowanie pomieszczeń

szkolnych wynosi dziś 5,3 mln zł, wymiana instalacji elektrycznej — 2 do 3 mln. W jednej szkole. Szkół wymagających remontu przybywa z roku na rok. Jak mówi inspektor, dyrektorzy ustawiają się w kolejki i każdy ma argumenty nie do obalenia. A tym najważniejszym jest to, że dzieci uczą się w warunkach urągających wszelkim zasadom nauczania i wychowania. Na dziś dla bałuckiego szkolnictwa potrzeba jest 130 mln złotych. Jutro będzie ich potrzeba jeszcze więcej. Dlatego nie dziwiła mnie odpowiedź szefa bałuckiej oświaty, kiedy powiedział, że po pierwsze: — nie ma armat.

Władze oświatowe, mówi inspektor, nie pozostawiły budynku na pastwę losu i chciwość złodziei. Przecież jest tam dach, palacz codziennie opala wnętrze, by mury nie uległy nawilgoceniu i by nie zagościł w nich grzyb. Zatrudniony dozorca pełni tam służbę chroniąc nie tylko zgromadzony wewnątrz sprzęt medyczny, ale i materiały budowlane, zwiezione tu już z myślą o przyszłym remoncie. Sterta desek została przykryta papą przed szkodliwym działaniem atmosferycznym, podobnie jak owa boczna ściana.

Skąd znalazł się w murach budynku PDD sprzęt medyczny? Otóż późną wiosną 1985 roku zjawili się tu ludzie prowadzący budowę Szpitala Pomnika Centrum Zdrowia Matki Polki i długo oglądali teren i wnętrze. Stan, jaki zastali, w pełni ich satysfakcjonował. Powiedzieli, że jeszcze się tu zjawia, ale już ze sprzętem. Potem udali się do Kuratorium z prośbą czy nie mogliby przez jakiś czas przechować w czekającym na remont budynku sprzętu specjalistycznego, który znajdzie się w przyszłym szpitalu. Ponieważ przebieg remontu, jest taki jak to opisałem, wyrażono na to zgodę.

Po programie telewizyjnym, który zbulwersował opinię społeczną, z polecenia ministrów Gospodarki Przemysłowej i Komunalnej oraz Zdrowia i Opieki Społecznej powołano specjalną komisję, która sprawę owego sprzętu medycznego szczegółowo zbadała, podjęła konkretne decyzje i wydała odpowiednie zalecenia.

A więc po pierwsze: komisja ustaliła, że zmagazynowany sprzęt nie jest przydatny jako wyposażenie Szpitala Pomnika Centrum Zdrowia Matki Polki. Może natomiast być wykorzystany w innych placówkach służby zdrowia lub zakładach gospodarki uspołecznionej (sprzęt jest „wielkowy”, pochodzi z lat 1954—1962); po drugie: sprzęt ten już został zgłoszony do jednostek służby zdrowia zajmujących się dystrybucją oraz do „BOMISU” celem odsprzedaży (akcja ma się zakończyć do 31 marca 1986 r.); po trzecie: sprzęt ten jest przechowywany w warunkach nie obniżających jego walorów użytkowych, a więc nie ulega dewastacji ani niszczeniu. Dodatkowo zostanie przykryty folią.

Ten temat został wyczerpany. Pozostaje sprawa owych nie-szczęśliwych murów.

Bedziemy więc czekać, że albo minie kolejnych kilka lat i mury dawnego PDD przy ulicy Aleksandrowskiej 137 runą ostatecznie albo stanie się cud i do budynku wejdą murarze. Mnie ucieszyłaby ta druga wiadomość.

EUGENIUSZ IWANICKI

Rafał Orlewski

Antyfona do ojca

Ojcie mój przypomnij
Stopa zraniona za plugiem
Workami zboża na plecach
Twojego dwudziestego wieku
Kosę w grubych dloniach
Które od końskich zadów
Uczyły się czułości
Trepami z baraniej skóry
I lipowego drewna

Któryś postrokiem godził
Udrękę z moim ciałem
Pragnąc zobaczyć syna
Na spłachciciu pól jałowych
Zaprowadź mnie jak dawniej
Nad rozbeltaną glinianką
Albowiem tam w tabzui
Czekają wiośla przodków
Na powrót do pierwoi

Ojcie mój przypomnij
Przybliź mi zgrzebne piękno
Twoj drogi po istnieniu

Drewniana madonna

Znowu jestem w miejscu ciszy utajonej
W czas odeszły pośród czekania na burzę
Nie ta sama jesień biegnie w moją stronę
Te same Beskidy — nie to samo wzgórze

Tamto się zaprzęło wraz ze mną do pluga
Który zaoruje pamięć pod siew wspomnień
Pod tym mi wypadnie kozikiem wystrugać
Wiersz dedykowany drewnianej madonnie

W twarzy jej zdumienie metalu umieszczę
Zamiast aureoli zaświecę sylaby —
Może gdy stąd pójdę w przezroczystość

westchnie
Jak kamyk rzucony w pośpieszny nurt Raby

Wahadło

Kto mnie fałszywie uczył śpiewu sosen
Kogo spiekono powtórzeniem hańby
Kto zachłystywał się echa ogłosem
Komu przekleństwa nadzieję ukradły

Kto od potęgi aż do dołu bez dna
Przetoczył dzieje przez kruche istnienie
Komu się w pieśni doszukuje sedna
Zgrzebnej czułości odwołanej w cienie

Kto — niech ujawnia — kto się kornie chylił
Po nie gasnący ogień prometejów
Czyje marzenia do kryzysu przybili
Zeby bezkarnie ssać młot kolodziejów

Kto zatem skoro on — ona to znaczy
Tyle co względność strzału przez przestworza
I tyle co by w rękach pomysłowcy
Znacząco ile płomień ścierką gorzał

Credo powtórne

Opowiadam się za niebem kołyszącym dzień
Opowiadam się za słońcem dźwigającym noc
Opowiadam się za domem w którym braknie

snuza
Opowiadam się za łódkiem bez płaczącej słomy
Opowiadam się za lustrem które w głąb nie

wciąża
Opowiadam się za dźwiękiem które tłumii niemoc
Opowiadam się za pieśnią spuszczoną ze smyczy
Opowiadam się za górą zapadłą w przestrzenie
Opowiadam się za bólem bez piętna człowieka
Opowiadam się za tobą choć jesteś poza mną

Przeciw sobie: kiedy łamię z trzaskiem różę

Wbrew istnieniu które krzyczy rodzaje

czyszy
zatrącenie

Opowiadam się przeciwko kłęsce krwi przed

wzlotem



Rys. Janusz Szymański-Glanc

8 ODGŁOSY

Teatr Powszechny uraczył publiczność na swe czterdziestolecie wystawieniem *Kramu z piosenkami*, świętnej śpiewogry Leona Schillera. Premierowe przedstawienie odbyło się 2 grudnia ub. roku, ale gdy — spóźniony — piszę te słowa, widownia znajduje się w pełnym rozbiegu, ciesząc się niezmiennym powodzeniem u widzów.

Czy dobrego wyboru dokonał teatr, sięgając po tę właśnie pozycję? Ze swej strony (może to objaw starzenia się?) cenię sobie, wysocy łódzkie tradycje teatralne i snucie jedwabnych nici wspomnień liczących już dziesięciolecia. Leon Schiller jest niezmiennie wielką postacią łódzkiej Melpomeny. Nie żebym mu chciał coś ujmować, Broń Boże! Stanowi on własność całego narodu, ale kamienna zwłalista postać zdołająca pasaż jego imienia przypomina stale związki artysty z Łodzią teatralną.

Nie chodziłem jeszcze do teatru w latach 1929—1930, gdy Schiller realizował w naszym mieście głośne spektakle *Dzielnego wojaka Szwajka*, *Cjankali* i *Kryzysu Chin*. Ale już w 1938 roku oglądałem jako wyrostek inscenizację schillerowską *Nie-boskiej* na scenie Teatru Miejskiego, a w początkach 1939 roku — *Kordiana*. Byłem też świadkiem, jak w latach 1948—1949 Schiller tworzył w Łodzi, w Teatrze Wojska Polskiego przy ul. Jaracza, serię wielkich realizacji, serię — zaryzykuję twierdzenie — nie mającą sobie równej w dziejach polskiego teatru. *Krakowiacy i górale*, *Bogusławski*, *Celestyna*, *Fernanda de Rojasa*, *Burza* Shakespearę, *Igraszki z diablem* Drdy i na koniec, na pożegnanie z gościnnym miastem, *obrazki śpiewające* — *Kram z piosenkami*, którego premiera odbyła się 1 lipca 1949 roku, tuż przed wyjazdem Schillera i jego zespołu na stałe do Warszawy.

LEONA SCHILLERA bukiet kwiatów polskich

Wspominam, że jako młody reporter *Dziennika Łódzkiego* przeprowadziłem właśnie wtedy interwju z wielkim reżyserem w jego ówczesnym łódzkim mieszkaniu przy ul. Tuwima 40, vis-à-vis Poczty Głównej.

Była to druga i — jak się okazało — ostatnia moja rozmowa dziennikarska z poetą teatru. Pierwszą odbyłem w listopadzie 1947 roku w poczekalni dworca Łódź Fabryczna, gdy Schiller powrócił był właśnie z zespołem *Krakowiaków i górali* z triumfalnego tournée po Czechosłowacji. Był wtedy zmęczony, ale radośny.

Podczas drugiej rozmowy emanował z niego smutek, którego wówczas nie rozumiałem. Mówił o tym, że czolowy zespół powinien zasilić życie teatralne dźwigając się z gruzów stolicy. Był świadom obowiązku, lecz przyjmował go bez radości. Może przeżuwał, że nie czeka nań tam atmosfera podziwu i entuzjazmu, jakiej nie skąpiła mu powojenna Łódź?

W jednym tylko momencie Mistrz uśmiechnął się pogodnie: gdy rozmowa zesza na ostatnią premierę.

— Na ten kształt *Kramu z piosenkami* — powiedział — pracowałem właściwie przez całe niemal życie.

Istotnie od wczesnej młodości kolekcjonował Schiller perełki ze skarba piosenek polskiej, ludowej i szlacheckiej, dworskiej i żołnierskiej, parafiankiej i młodopolskiej, niby kwiaty do bukietu. Sam był niedościgłym wykonawcą tych piosenek. Jeszcze jako młodzieniec zasiadający za klawiaturą fortepianu w kabarecie *Zielony Balonik* w Jamie Michalikowej przy ulicy Floriańskiej w Krakowie. A starsi aktorzy łódzcy pamiętają nocne koncerty, jakimi oddarzał ich za czasów studenckich w łódzkiej Szkole Teatralnej rektor Schiller.

Gdy owe muzyczne kwiaty składały się — w bukiet, obudowywał je artysta-inscenizacja. W ten sposób powstało widowisko *Bandurki* w 1925 roku w warszawskiej *Reducie*, *Kłopot z huzarami* w 1928 w Teatrze Polskim czy *Kulig* w 1929 w Poznaniu.

Kram z piosenkami to, wielobarwny, wonny bukiet złożony z tych pojedynczych wiązanek, które sam Schiller ponazywał: *Skotopaski nadwiślańskie*, *Kulig*, *Parafianiszczyna*, *Kłopot z żołnierzami*, *Mansarda* i *Przedmieście*. Przedstawienie łódzkie z 1949 roku porывало rozróżnieniem i rozpięciem młodego zespołu. Nad całością czuwało zaś niezawodne oko starego Mistrza, który w panowaniu nad precyzją ruchu scenicznego nie miał sobie równych ani przedtem, ani potem.

W 1957 roku wystawiono to uroczyste widowisko w Teatrze Nowym. Premiera odbyła się 2 czerwca, a reżyserem przedstawienia była *Barbara Fijewska*, która asystowała Mistrzowi w 1949 roku, zapamiętując wiele jego rozwiązań scenicznych i opierając się na zachowanej jego partyturze.

Ze spektaklem tym wiąza się także moje osobiste wspomnienia. W maju 1958 roku towarzyszyłem jako dziennikarz zespołowi *Kazimierza Dębnika* w jego tournée po Jugosławii. Trasa wiodła od Nowego Sadu przez Belgrad po macedońskie Skopje. W repertuarze, obok innych przedstawień znajdował się właśnie *Kram*, budząc niezmiennie zachwyt i owacje jugosłowiańskich widzów.

— To takie prawdziwie polskie, pełne wdzięku i szarmu — określiła widownia na moje pytanie młoda aktorka serbska.

Kiedy zaś autokary z zespołem Teatru Nowego wyruszał z Nowego Sadu w dalszą podróż, aktorzy nasi zgęsniali zgromadzonych i nie jugosłowiańskich kolegów, śpiewając słowa lekko sporfrazowanej *Walety*:

A kiedy już odjeżdżamy
I was samych zostawiamy,
Pamiętajcie, żeście nasi,
A my przyjaciele wasi!

Mniej ciekawie zapisała się w mej pamięci realizacja *Kramu z piosenkami* w roku 1973 w Teatrze im. Jaracza za dyrekcji *Jana Maciejowskiego* i w reżyserii także *Barbary Fijewskiej*. Podkreślam nazwisko kierownika artystycznego, gdyż właśnie dyrekcja teatru popiełniała wówczas

wczas zasadniczy błąd, wykorzystując w inscenizacji gotową taśmę z nagraniem muzyki. Akorzy musieli więc dokonywać znacznych wysiłków, by pomieścić się ze swym śpiewem w rytmie wyznaczonym mechanizmem. Musiało się to odbywać kosztem interpretacji, a *Kram* to przecież nie tylko śpiew i taniec, lecz także aktorstwo.

I doczekaliśmy się nowego wprowadzenia na scenę *Kramu* w 36 lat po premierze schillerowskiej. Reżyser przedstawienia *Miroslaw Szonert*, sam zresztą uczeń Schillera, w pracy swej nie korzystał z partytury Mistrza. Może i słusznie. Ścisłe trzymanie się prawideł wyznaczonych przez prapremięrową prowadziłoby dziś już chyba do skostnienia i braku żywego stosunku do tradycji schillerowskiej.

Szonert, wraz z choreografem spektaklu *Halina Pawłowicz*, zawierzył raczej nie skrepowanej pamięci, włączając do widowiska wiele rozwiązań Mistrza, ale nie cofając się także przed licznymi pomysłami własnymi. Celem inscenizatora było zatem odtworzenie wspaniałej atmosfery obrazków śpiewających, pozostanie jej wiernym w ogólnym zarysie, ale nie kopiowanie czy naśladowanie w każdym szczególe.

Te intencje przyniosły dobry na ogół rezultat. Na scenie przy ulicy Obrońców Stalingradu, trzeciej kolejnej scenie łódzkiej, na której ożywają tradycje polskiej piosenki, jest dźwięcznie, efektownie, kolorowo. Tak się złożyło, że oglądałem widowisko przy widowni wypełnionej nastolatkami, a więc pokoleniem nastawionym na muzykę beatową, przedkładającym rytmikę i hałas nad melodyjność i poetycki tekst. Stwierdziłem, że młodzież ta odbierała *Kram* schillerowski znakomicie, kwitując śmiechem i oklaskami ważniejsze momenty przedstawienia. Może więc niekoniecznie faszerować należy

mlodziez jednostajnymi produkcjami, które raczej pogłębiają amuzikalność niż ją przezwyciężają.

Nie jest wszakże nowa inscenizacja *Kramu* wolna od błędów. Akceptując ogólny klimat przedstawienia, muszę wytknąć pewne jego nierówności.

Skotopaski nadwiślańskie. Może warto przy okazji rozszyfrować staropolskie, wyszłe z użycia słowo. *Skot* to po prostu bydlę. *Skotopaskiem* więc określam sarmackiego kowboja, czyli pastucha trzody, *Skotopaski* będą to zatem piosenki pastusze. No tak, ale piosenki skolekcjonowane przez Schillera nie są śpiewane przez prostaków. To dwór króla Siasia, czepiający wzory z otoczenia królowej francuskiej Marii Antoniny, chętnie przedzierzał się w pastyki i pasterzy, łamiąc dzięki tym przebieżankom nudną etykietę dworską i pozwalając sobie na bardzo śmiały nieraz swawole.

Dziś schillerowskie *Skotopaski* emanują atmosferą figlarną, ale przepojoną jednocześnie szykiem i wytwornością. Nie w każdym epizodzie udało się aktorom Teatru Powszechnego utrzymać w tej konwencji. Tak na przykład w przedświeczonej *Pod borem na murawce* trywialność brała chyba górę nad elegancją.

Znacznie lepiej zaprezentował się obraz *Kłopot z żołnierzami*. W piosenkach składających się na tę część przedstawienia pulsował rozmach, humor, junać i wdzięk. Dla odmiany ślabej wypadł *Kulig*, który ustawiony został w spektaklu trochę anachronicznie między okresem napoleońskim i parafianiszczyną. W obrazie tym zabrakło jakby wykonawcom energii i wewnętrznego przekonania.

Dalsze obrazy — *Parafianiszczyna* i *Mansarda* — to pięć się spektaklu w górę. Aktorstwo w *Kramie* trudno oceniać w indywidualnych kategoriach. To zespół decyduje o powodzeniach i porażkach. Niemniej jednak można tu odnotować udany duet *Magdalena Cwenówna* i *Andrzej Łagwa* w przedświeczonej scenie *Emulacja pana Wincentego do panny Marianny*. No, i piękne wykonanie *Peleryny* — piosenki skomponowanej przez samego Schillera do słów *Mieczysława Srokowskiego* — przez *Stanisława Kwaśniaka*.

Na koniec spektaklu fajerwerk humoru i urody — obraz *Przedmieście*. Tu nawet najbardziej konserwatywny nie ma co wybrzydzać. Zespół Teatru Powszechnego kończy przedstawienie świetnym akcentem. Akorzy proponują publiczności pyszną zabawę i sami bawią się przy tym znakomicie. Chciałoby się tu wymienić nazwiska tych, którzy błysnęli talentem w mikroscejkach, co, kiedy zbyt długą listę nazwisk trzeba by tu cytować.

(Tu mały żal pod adresem redaktorki programu. Przyjęty system utrudnia bardzo rozpoznanie nazwisk wykonawców poszczególnych piosenek. Może zadecydowała oszczędność papieru, ale obraz obsady wypadł bardzo niejasno, zwłaszcza ze poszczególnych postaci określanych bywają dość dowolnie. Np. bohatera piosenki *Co się stało we dworze* nazwano Porucznikiem. Porucznik polski? Wyciąga rękę po dukata? Coś nie tak!).

Zastrzeżenia szczegółowe wysunięte przeze mnie z obowiązku recenzentkiego nie powinny być rozumiane jako niezadowolone ze spektaklu jako całości. Przeciwnie, wdzięczny jestem inscenizatorowi i wykonawcom, a także kierownikowi muzycznemu *Bogdanowi Pawłowskiemu* i choreografowi za sto pięćdziesiąt minut pysznej zabawy, do udziału w której zapraszam tych wszystkich, którzy jeszcze nie oglądali nowej edycji *Kramu*.

WŁADYSŁAW ORLEWSKI

Leon Schiller: *Kram z piosenkami* — obrazki śpiewające; reżyseria *Miroslaw Szonert*; opracowanie, instrumentacja i kierownictwo muzyczne: *Bogdan Pawłowski*; scenografia: *Barbara Jankowska*; choreografia: *Halina Pawłowicz*; pianista — korepetytor: *Teresa Stokowska-Gajda*; Teatr Powszechny w Łodzi, premiera 2 grudnia 1985.

Z półki recenzenta

WSPOMNIENIA DYPLMATY

Książka, którą polecam, jest opisem peregrinacji człowieka i dyplomaty, a zarazem wielkim wycinkiem historii powojennej polskiej dyplomacji. Mówię o „Co pamiętam z długiej drogi życia” *Józefa Winiewicza*, długoletniego ambasadora w Stanach Zjednoczonych, a później wiceministra spraw zagranicznych. I choć autor zastrzega się, że jego praca nie ma ambicji opracowania naukowego ani nie stanowi zapisów pamiętnikarskich, przecież na jej stronach odnajdujemy nie tylko zdarzenia ważne dla Polski w jej kontaktach międzynarodowych, ale jest tu także ów niespokojny, czasem wręcz ponury klimat, jaki narastał w USA po zakończeniu drugiej wojny światowej wobec nas i naszych sojuszników. Ta książka winna otworzyć oczy tym, którzy bezkrytycznie odnoszą się do polityki Stanów Zjednoczonych wobec Polski. Nie jest prawdą, że dopiero w ostatnich latach nasiliły się szyskany i represje administracji wasyngtonskiej. Od samego początku, od uzyskania przez nas niepodległości Stany Zjednoczone nie akceptowały Polski Ludowej, dopatrując się w poczynaniach naszej dyplomacji, w naszych inicjatywach rozbrojeniowych czy wreszcie w wysiłkach na rzecz ściślejszych kontaktów z tamtejszą Polonią propagandy komunistycznej lub wręcz działalności wywiadowczej.

Książka *Józefa Winiewicza* (zmarł w 1984 r., przeżywszy 79 lat) jest cennym dokumentem i przyczynkiem do poznania wysiłków naszej dyplomacji w osiągnięciu sukcesów na arenie międzynarodowej, w wyniesieniu Polski do czołowych państw liczących się w świecie.

Józef Winiewicz: Co pamiętam z długiej drogi życia. Wyd. Poz. 1985. Str. 700. Cena 550 zł.

WYBÓR POEZJI WOJACZKA

W serii *Małych Wyborów Poetyckich*, którą nie tak dawno rozpoczęło Wydawnictwo Literackie, ukazały się wiersze *Rafała Wojaczka* pt. „List do nieznanego poety”. Już za życia Wojaczek szokował i bulwersował, a po tragicznej śmierci od razu stał się legendą. Do dziś trwają spory wśród krytyków i koneserów poezji, czy był on współczesnym Rimbaudem czy też jedynie buntownikiem nie umiejącym odnaleźć się w naszym współczesnym szaleństwie, jakim jest życie. Pozostawił po sobie parę tomików wierszy oraz trochę utworów prozatorskich. Prezentowany tu tomik stanowi wybór co cenniejszych utworów, tak charakterystycznych dla całego dorobku *Rafała Wojaczka*.

Rafał Wojaczek: List do nieznanego poety. WL 1985. Str. 134. Cena 110 zł.

O MATEJCE

To już czwarte wydanie tej dobrze napisanej i obszernej książki traktującej o życiu i twórczości malarza — legendy, jakim był *Jan Matejko*. Na dobrą sprawę z dziełem Matejki spotykamy się już w szkole podstawowej, jego „Bitwa pod Grunwaldem” czy „Hold Pruski” funkcjonują w społecznej świadomości na równi z samymi zdarzeniami, które dały natchnienie malarzowi. Natomiast kto wie coś bliższego o rodzinie *Jana Matejki*, o jego żonie, dzieciach, o jego samotnym zmaganiu się z historyczną wizją Polski, o jego wątpliwościach, rozterkach, o jego pracowitości? O tym właśnie jest książka „*Jan Matejko wszystkim znany*”.

Maria Szypowska: Jan Matejko wszystkim znany. LSW 1985. Str. 408. Cena 460 zł.

LAS W LITERATURZE I SZTUCE

Od czasu do czasu piszę w tym miejscu o wydaniach albumowych. Obok literatury spełniają one ważną misję poznawczą, a co za tym idzie, odgrywają znaczącą rolę w edukacji społecznej. Dziś o lesie, Ukazał się właśnie album zatytułowany „W głąb lasu. Las w polskiej literaturze i sztuce” wydany z okazji stulecia Polskiego Towarzystwa Leśnego. W obszernej części wstępnej zostają wyłożona wiedza o aktualnym stanie polskiego lasu. Dalej — las w fotografii. Na koniec las w malarstwie, grafice oraz prozie i poezji. Całość starannie wydana, a barwne reprodukcje plócien najwybitniejszych naszych malarzy podnoszą jej walor estetyczny.

W głąb lasu. Las w polskiej literaturze i sztuce. Wyd. Sport i Turystyka 1985. Str. 296. Cena 1.100 zł.

E. IW.

NR 9 (1457), XXIX, 1 MARCA 1986 R.

Nowości „Iskier”

Wśród kilku ostatnich propozycji Wydawnictwa „Iskry” znajdujemy m.in. dwie książki poświęcone współczesnej wsi polskiej, reprezentujące dwa odmienne spojrzenia na to samo zagadnienie i tym samym stanowiące wzajemnie pole do porównań i polemiki. I tak, zamieszczone w tomie „Piaszczysta ziemia” opowiadania Alfreda Siateckiego napisane zostały z dużą starannością i niemal naturalistyczną dbałością o realia, autor efektywnie operuje czerstwym, chłopskim językiem, a wyszukane opisy zastępują często reporterskim skrótem, co pozwala na celne wychwycenie rzeczy najważniejszych, najbardziej charakterystycznych dla specyficznej obyczajowości wiejskiej. Siatecki z dziennikarską, wścibską dociekliwością poszukuje genezy niejednokrotnie dramatycznych konfliktów, jakie rodzą się na skutek zderzenia starego z nowym, swym spostrzeżeniem stara się nadać wymowę ogólną, jednak w centrum jego zainteresowania pozostaje zawsze niepowtarzalna, ludzka indywidualność. Jeżeli ambicją autora było, jak przypuszczam, ukazanie kawałka prawdy o wsi na podstawie sfabularyzowanych losów kilku pokoleń bohaterów, to cel ten został osiągnięty — tej książce się wierzy. Nieco inaczej ma się sprawa ze zbiorom opowiadań Henryka Sekulskiego „Średnia wojewódzka” — tutaj oglądamy wieś przedstawioną w krzywym zwierciadle satyry pisarza za wszelką cenę usiłującego nas rozbaławić, mrugając natarczywie do czytelnika przy każdej nadarzającej się okazji. Należałoby mu się za to słowa uznania, niewiele jest bowiem młodych autorów, którzy świadomie chcieliby być dowcipni, jednakże w tym jednym stwierdzeniu wyczerpują się wszystkie pochwały, jakimi można obdarzyć nowelistykę Sekulskiego. Zawartość myślowa książki jest przeraźliwie płytka, humor nieświeży i wątpliwej jakości, a wale fabuły żywo przypominają niezręczne skecze rodem z „Wesołego Autobusu”. Jeśli Alfred Siatecki podporządkował swą książkę określonej nadrzędnej celowi, uzyskując dzięki temu zwarta, wewnętrznie spójną całość, to autor „Średniej wojewódzkiej” zrezygnował z połączenia swych opowiadań jakichś precyzyjniejszą myślą przewodnią i w rezultacie otrzymał kompozycyjny misz-masz, drażniący i dezorientujący czytelnika już po kilku stronicach. Co prawda, mądrze śmiać się ze wsi i przywar jej mieszkających nie jest, wbrew pozorom, wcale tak łatwo, o czym mogli się przekonać nie tak dawno także nasi filmowcy.

Ciekawą lekturą na długie zimowe wieczory trudno nazwać również powieść Krystyny Sakowicz, podektywnie zatytułowaną „Sceny miłosne, sceny miłosne”. Należy od razu podkreślić, że treść tej książki ma niewiele wspólnego z miłością, a autorka zwołuje i ludzi czytelnika od pierwszej do ostatniej strony, podsuwając mu coraz to nowe i bardziej wyszukane wizje i metafory, ewokując świat chaotyczny, beładnie rozpadający się i zarazem bezlitosny w swej niewzruszalności. Opisania tego świata dokonuje enigmatyczny i nieznośny za sprawą schizofrenicznej nieomal nadwrażliwości narrator, który nie próbuje nawet zaprowadzić jakiegos porządku w swych skomplikowanych doznaniach psychicznych, ograniczając się do biernej rejestracji wydarzeń. Nie można odmówić

Krystynie Sakowicz ani talentu, ani swobodnego literackiego i estetycznego wyrażenia — znajdziemy w jej powieści wiele celnych aforyzmów, pięknych, poetyckich interpretacji codziennych, zwykłych spraw, znajdziemy wiele brylujących obserwacji. Nie zmienia to jednak faktu, iż jest to proza szalenie hermetyczna, mało konkretna, mówiąca o wszystkim i o niczym, i, co najgorsze, nudna. Przy bliższym zbadaniu okazuje się bowiem, że prowokująca i oryginalna warstwa stylistyczna skutecznie maskuje ubóstwo warstwy intelektualnej, że nie wystarczy kilka przewrotnych sentencji, aby zbudować powieść, że z przypadkowo dobranych składników nie może powstać mocna, jednolita całość. „Scenami miłosnymi” brak jest zdecydowania, brak myślowego kośca, który zspoliłby poszczególne fragmenty i nadał im pożądane znaczenie, wykraczające poza sztywne, egocentryczne ramy nakreślone przez autorkę. Inaczej mówiąc, przeżywanie świata, jakie prezentuje tutaj Krystyna Sakowicz jest aktem tak subiektywnym, iż mimo całej sprawności językowej i licznych prób uogólnienia pewnych stwierdzeń należy wątpić, czy zdoła on zainteresować szerszy krąg czytelników. Można tylko wyrazić pogląd, że zdolna pisarka, jaką niewątpliwie jest Krystyna Sakowicz, już wkrótce rozwine swój nieprzeciętny, jak się wydaje, talent i wykrzysta w pełni jego wszystkie możliwości, które w „Scenach miłosnych” zdołała zaledwie zaszyfrować.

Opowiadając o gwałtownej śmierci, o niezgłębionej tajemnicy zabijania, nie jest łatwo ustrzec się popadnięcia w tanią sensacyjność zaserwowaną dla powieści kryminalnych czy popularnej literatury grozy. W tym kontekście niezwykle obciążającą wypada tomik opowiadań Andrzeja Łuczyńskiego „Kiedy otwierają się drzwi”, któremu udaje się uniknąć kuszących niebezpieczeństw i stworzyć sugestywny nastrój przerażającej niesamowitości bez uciekania się do pospolitych, wytartych chwytów spod znaku tandetnej beletrystyki mocnych wrażeń. Autor zachowuje olbrzymi dystans pomiędzy sobą jako narratorem a opisywanymi zdarzeniami, nie ujawnia własnego stosunku uczuciowego do bezimiennych bohaterów, co przy zręcznym manipulowaniu tekstem i zachowaniu konsekwentnej rzetelności pozwala w efekcie na wyeliminowanie wszelkiej przypadkowości, jak również do minimum zmniejsza ryzyko powstania bezpośrednich nieporozumień, mogących wynikać z niejednoznaczności utworów. Dopisanie końcowego komentarza to już zadanie dla czytelnika — to on nadaje jakości i określa działania postaci tam, gdzie Łuczyński zasugerował jedynie możliwe rozwiązania. I choć niektóre jego opowiadania pachną nieco pretensjonalnością, to warto przeczytać całą książkę dla zamykającej, zbiorczej noweli „Nox trawm”, która zaskakuje swą dojrzałością literacką i w sposób szokujący beznamytnie odważnie bada dziwaczne, niezrozumiałe odruchy natury ludzkiej, zdolnej nie tylko w sferze wyobraźni do popełnienia najstraszliwszych, bo nieumotywowanych, zimmokrwistych zbrodni.

Mając na uwadze wszystkie zalety prozy Łuczyńskiego, najjaśniejszym punktem spośród o-

mawianych w tym miejscu pozycji wydaje się być jednak „Zeton”, interesująca mikropowieść Czesława Forysty, nagrodzona drugim miejscem w zorganizowanym przez „Iskry” konkursie na najlepszy debiut w 1982 roku. Osnuta na symbolicznym i oferującym duże możliwości interpretacyjne tle podróży morskiej opowieść o próbie samookreślenia, o potrzebie znalezienia swojego miejsca w tragicomicznym i pełnym sprzeczności świecie, bardzo sprawnie łączy nowoczesną formę z barwną, zajmującą fabułą, tworząc w ten sposób harmonijną i solidną konstrukcję. Naszkicowane delikatnie i jak gdyby od niechcenia postaci tej książki tchną zduńmiewającym autentyzmem, i choć autor nie rzadko bywa ironiczny i złośliwy w stosunku do nich, nie burzy przez to zaufania, jakie wzbudza jego bohaterowie dzięki swej szorstkiej trójwymiarowości. „Zeton” jest w zasadzie utworem optymistycznym, głoszącym afirmację życia na przekór cierpieniom i niekierownościom, lecz taki światopogląd nie jest po prostu dany — trzeba o niego walczyć, jeśli nie ze światem zewnętrznym, to z samym sobą, trzeba odnawiać w sobie pozytywne wartości, które z czasem ulegają niszczeniu działaniu okrutnych okoliczności, odmawiających nam prawa do godnego istnienia. Nauczyć się umierać to znaczy nauczyć się żyć, żyć ku czemuś, wbrew zwątpieniu i przeszkodom, budować swój sens przezwyciężając własną słabość, bo, jak pisał autor, „ból i siła trwania jest esencją życia”. „Zeton” nie zawiera gotowych, prostodusznych formuł, proponuje jedynie pewien sposób widzenia człowieka, który można przyjąć bądź odrzucić, lecz który w obu przypadkach z pewnością zasługuje na uwagę, tak ze strony krytyki, jak i czytelników.

Rozczarowanie przynosi natomiast powieść Janiny Zajacówny „Skończyło się lato”, rozczarowanie tym większe, że książka ta wyszła spod pióra autorki, która okres literackiego terminowania ma już za sobą i dysponuje największym bagażem doświadczeń ze wszystkich wymienionych uprzednio autorów. Tymczasem banalna, miejscami melodramatyczna historia miłości samotnej kobiety do żonatego mężczyzny, nieporadnie podbarwiona tu i ówdzie scenkami z życia sfer naukowo-artystycznych, nie wyróżnia się niczym szczególnym poza rozbrajającą wręcz naiwnością, nawet u nastolatków mogąc zaledwie wywołać bezradne wzruszenie ramion. Jest to typowy przykład książki, w której nie dzieje się dosłownie nic, zapomina się o niej z chwilą zakończenia lektury, zaś pewien sprzech może budzić jedynie niewiarygodna oczywistość, że jaką autorka podchodzi do, wydawałoby się, poważnych i złożonych kwestii, dotyczących warunków w jakich przyszło funkcjonować współczesnej inteligencji polskiej. Pozostaje mieć nadzieję, że mamy tu do czynienia z tzw. wypadkiem przy pracy, który pomoże pisarce ustrzec się podobnych błędów w przyszłości, a który ostatecznie może przytrafić się każdemu.

Przy odrobinie dobrej woli można spomiędzy prezentowanych wyżej tytułów wybrać coś dla siebie, choć z ubolewaniem należy stwierdzić, że dominuje w nich szarżyzna i przeciętność. Na szczęście, na takim tle tym wyraźniej, którą się zauważyć nieśmiało, niepokojące iskiereki, zdolne w krótkim czasie przeistoczyć się w widoczne z daleka płomienie...

MACIEJ ŚWIERKOCKI

W skórze idola

Przyznam, że liczyłem na film wprost o Marku Hłasce Tymczasem „Idol” Feliksa Falka okazał się reżyserką próbą podjęcia ogólnego tematu kondycji współczesnego pisarza, a właściwie próbą restaurowania legendy artysty zbuntowanego, poszukującego własnej drogi i oficjalnie odrzuconego. Tytułowa postać idola, pisarza Piotra Kortona — dodajmy, w filmie nieobecna — reprezentuje jedynie pewien typ twórcy, jakim był na przykład Marek Hłasko. Pomimo pewnych zbieżności z biografią tego ostatniego (samobójcza śmierć poza granicami kraju, zgodność czasowa, charakter postaci) nie jest to film bezpośrednio o nim.

Postać pierwszoplanową w „Idolu” jest Tomasz Sołtan — młody, początkujący krytyk, zafascynowany twórczością Kortona, który podejmuje próbe nobilitacji twórcy „wykoletego”. Właśnie postać Sołtana jest filarem całego filmu, organizuje akcję i skupia wiele (może za dużo) różnorodnych wątków. Mamy zatem nawiazanie do niedawnej przeszłości studenckiej bohatera (wydarzenia 1968 roku) i aktualny konflikt wywołany chęcią podjęcia sprawy Kortona. Cały film to seria epizodów, opartych na dialogu Sołtana z różnymi osobami: kilka scen w redakcji jednego z tygodników kulturalnych i polityczny z naczelnym, dysputy z przyjaciółmi, intymne rozmowy z dziewczyną, wreszcie różnicowany ciąg dyskusji z dawnymi znajomymi pisarza. Ci, zrazu nieufni, zaczynają się odnosić do Tomasza żywiołowiej, dostrzegają w nim nawet pewne podobieństwo do dawnego kompana. Gdy Sołtan zamieszkuje w dawnym pokoju pisarza (minimaleizm), podbarwia włosy, wkłada ciemne okulary i przywdziewa ogromny barani kożuch, tudzież inną garderobę Kortona, rozpoczyna się maskarada. Dawny kumple, na nowo złączeni, wspominają bujną młodość i starego druha, a Sołtan pilnie słucha i dopracowuje rolę — staje się twardy, butny, cyniczny. Z marszu bierze dawną kochankę Kortona, bezceremonialnie niszczy własne przyjaźnie — zrywa z konwenansami i dotychczasowym życiem. Następuje rekonstrukcja

kawiarnianych bankietów, replika wydarzeń minionych według scenariusza wspomnień. Pojawia się także próba twórcza: w dawnym pokoju pisarza, na jego maszynie i jakby w jego stylu. Chwyt podwójnego kostiumu, często stosowany np. w teatralnych komediach, który znakomicie służy intrydze, w filmie wykorzystany został do manifestacyjnego przeobrażenia Maskarada w „Idolu” jest próbą terapeutyczną, eksperymentem psychologicznym, o tyle symbolicznej, co ironicznej wymowie. Pod teraźniejsze i niby spontaniczne, a tak naprawdę powtórzone sprzed lat odgłosy: dialogi, dyskusje, żarty, toasty, zostaje — jak w playbacku — podłożony obraz Sołtana w roli idola.

Z pozoru silny i trwały mechanizm identyfikacji zaczyna jednak szwankować. Wpierw nieudane party z dziewczynami i tamtych lat, które obecnie w roli matek, żon zachowują do kolegów chłodny dystans i gnają do obowiązków domowych. Potem, umieszczony w sierocińcu synek Kortona, który z dziecięcą łatwością rozpoznaje mistyfikację i sztuczny niepokój „nowego” tatusia. Wreszcie prawdziwy playback — rekonstrukcja obrazu ostatnich chwil Kortona w oparciu o nagranie magnetofonowe: odgłos kroków, potrącanych sprzętów, wzdychania, grzechot fiolki z tabletkami... Tej prozy Tomasz nie podejmuje, choć jego idol wobec swego mistrza — na ścianie portret Hemingwaya — okazał się bardziej konsekwentny. Jeszcze tylko jeden powtórzony numer idola (karkołomne przejście pod mostem na Wiśle), porzucony na brzegu kożuch — symboliczne zniknięcie młodego ulubieńca podstrzałej kompanii. Na koniec daje Falk scenę sentymentalną: na powrót odmienny Tomasz Sołtan pod bramą sierocińca.

O czym naprawdę jest ten film jednoznacznie trudno powiedzieć. Zbyt pojemna postać głównego bohatera oraz z pewnością interesujące problemy, lecz w nadmiarze skondensowane czynią film Falka przeładowanym, chaotycznym i nieco powierzchownym. Wielowątkowość, po-

tęgująca co prawda realizm sytuacji, winna jednak dać prymat określonej idei. Nie jest „Idol”, jak wcześniej mówiłem, filmem o Hłasce, bo niczego w jego sprawie nie wyjaśnia i niewiele mówi o autorze „Pierwszego kroku w chmurach”. I może szkoda, bo po próbie wskrzeszenia legendy polskiego jazzu („Był jazz”) mógł Falk konsekwentnie kontynuować serię mitów pewnego pokolenia. Może na współczesne legendy pisarskie jeszcze za wcześnie (dowodem niech będzie protest rodziny „księcia poetów”, K. Przerwy-Tetmajera wobec filmu Koprowskiego „Przeznaczenie”) (a może po prostu bardzo trudno ukazać artystyczną biografię pisarza? Jedno jest pewne — do najbardziej szorstkich nawet kawiarnianych ekscesów sprowadzić jej nie można. Tu byłby potrzebny esej w stylu nowoczesnego kina biograficznego (jak np. u K. Russella), filmowy song o Hłasce — choćby nawet z zachowaniem przyjętej koncepcji „dublera idola”.

Najbardziej nośną ideą filmu Falka wydaje się być niepokój o twórców niezrozumianych, odrzuconych, uwikłanych w konflikty, tworzących w czasach im nieprzychylnych — o relatywnym historii, która raz rzuca na dno, raz przydaje chwały. Znamiennie, że typowe biografie twórców, operujące konfliktami: „postanowienie” kontra „życie osobiste i otoczenie” (rzeczywistość społeczno-polityczna), zamienia często współczesne kino polskie na epizody z życia tzw. zwyciężających ludzi, im nadając piękno misji i im przypisując „moralny niepokój”.

Aluzja do kontrowersyjnej postaci naszego życia literackiego, kamufaż, próby nieodmówienia, osadzenie akcji w przełomowym okresie politycznym 1969/70, uwikłany w konflikty i walczyący o prawdę bohater — to elementy, zbliżające film Falka do nurtu kina sprzed dobrych kilku lat a w którym „Wodzirejem” i „Szansa” reżyser zapewnił sobie dobre miejsce. Komentując początnia bohatera „Idola” jedna z postaci powiada z ekranu, że „w życiu tak naprawdę niczego powtórzyć się nie da”. W kinie bywa podobnie.

ARKADIUSZ GRZEGORCZYK

IDOL, reż. Feliks Falk, 1984, (wyk.: Krzysztof Pieczyński, Ewa Zukowska, Jerzy Kamas, Janusz Gajos i inni).

Kronika kulturalna

CENTRALNE Muzeum Włókiennictwa w Łodzi zorganizowało w dniach 25—27 lutego br. sesję naukową nt. „Polski strój narodowy i problemy konserwacji tkanin zabytkowych”. Referaty wygłosili wybitni specjaliści, między innymi prof. Zdzisław Żygulski z Muzeum Narodowego w Krakowie i prof. Irena Turnau z Instytutu Historii Kultury Materialnej PAN. Współorganizatorem sesji był Klub

Kostiumologii i Tkaniny Artystycznej Oddziału Warszawskiego Stowarzyszenia Historyków Sztuki. Uczestnicy sesji zwiedzili także V Międzynarodowe Triennale Tkaniny oraz wystawę „Sekrety mody kobiecej”, która będzie udostępniona szerokiej publiczności od 7 marca br.

PRAPREMIERA spektaklu pt. Repetycje Teatralne z „Pięknym dwudziestoletnim” Marka Hłaski odbyła się w sali Stowarzyszenia Twórców Kultury. Wystąpił: Ryszard Kotys, Bronisław Wrocławski i Zbigniew Włodarczyk (harmonista). Scenografia — Tadeusz Paul, reżyseria — Andrzej Czerny.

WYSTAWA malarstwa i miniatury graficznej Krystyny Malusiak otwarta jest od 24 lutego br. w Salonie Sztuki Współczesnej przy ul. Piotrkowskiej 88. Organizator wystawy — Biuro Wystaw Artystycznych w Łodzi.

TEATR Studyny 83 im. Juliana Tuwima wystąpił z premierą „Zadig” wg Woltera, w reżyserii Wojciecha Maryjańskiego ze scenografią Marcina Jarnuszkiewicza i muzyką Tomasza Bajerskiego. Spektakle premierowe odbywają się od 22 do 27 lutego br.

BENEFIS kolekcjonerski Stanisława Bulkiewicza, znanego kolekcjonera, współzałożyciela Sekcji Numizmatycznej Łódzkiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Archeologicznego.

Zamiast gratulacji cytujemy tekst zaproszenia:

„Zmieniał się mapa świata, były trzęsienia ziemi i powoździe, toczyły się wojny i rewolucje, ludzie wchodzili na Mount Everest, przeszczepiali serca, wszyscyśmy się postarali o te 40 lat, zaś Stanisław Bulkiewicz z urodzenia lwowianin, a łodzianin z wyboru, kolekcjonował i kolekcjonuje monety, banknoty, książki, ekslibrisy oraz różności wszelkie, mówił o tym i pisał, od frywolności nie stronił. Bachusowi cześć stosowną oddawał, aż wreszcie wywleczł, że już pora na lubieżny CZTERDZIEŚTOLECIE KOLEKCJONERSTWA.

Na okolicznościową fetę, która zacytował Komiliton umyślił wyprawic w siedzibie Łódzkiego Towarzystwa Przyjaciół Książki w pałacu Mayera pod numerem piętnastym (pożytej ulica Moniuszki nazwanym), w mieście Łodzi w dniu patronów Konrada i Arnolda, czyli w dziewiętnastym dniu lutego, roku tysiąc i dziewięćset i osiemdziesiątego i szóstego w przedwieczny zimowy, gdy zegary rodzinne szóstą, albo inaczej osiemnastą wskazą, Uroczę Panie, Czciogodnych Panów, ku Bohaterowi Wieczoru afekt żywionych, pięknie i serdecznie zapraszamy, obiecując przyjemności dla ducha i dla ciała. Przyjaciele Książki i Druków, a także i Stanisława Bulkiewicza”.

MIEDZYWOJEWÓDZKIE Konfrontacje Zespołów Pieśni i Tańca odbyły się w Łodzi w ubiegłym tygodniu. Wystąpiło 13 zespołów z pięciu województw. W dniach od 6 do 9 marca w Hali Sportowej występować będzie Zespół Pieśni i Tańca „Mazowsze” im. Tadeusza Świątyńskiego. Organizatorami imprezy są Zarząd Wojewódzki PKPS i Estrada Łódzka — zysk ponadplanowy zasili konto PKPS. Bilety w Estradzie Łódzkiej — Narutowicza 28 oraz w biurach podróży.

„MISSA pro pace” (Msza o pokój) nosi tytuł jedno z mniej znanych dzieł Feliksa Nowowiejskiego („Rota”, opera „Legenda Bałtyku”).

Msza ukazała się na rynku w dwupłytyowym nagraniu „Veritoni” zrealizowanym przez poznański Chór Katedralny kierowany przez ks. Zdzisława Bernata oraz zespół Filharmonii Poznańskiej pod batutą Stefana Stulgrosza. Również muzykę religijną znajdziemy na nowej płycie radzieckiej wytwórni „Melodia”. Są to wybrane hymny cerkiewne w wykonaniu Leningradzkiego Chóru Metropolitalnego, Prawdziwy rarytas.

ORKIESTRA Kameralna „Pro Musica” z Łodzi pod dyktando Zbigniewa Frimana wystąpiła w ubiegłym tygodniu w Sali Balowej Filharmonii Narodowej w Warszawie w ramach nadzwyczajnego koncertu dla młodzieży. Orkiestra zaprezentowała drugie wykonanie w Polsce „6 Concerti grossi” P. Helendaala.

WYDAWNICTWO Literackie zainicjowało serię „Małe wybory poetyckie”. Seria będzie prezentować najciekawsze utwory poetyckie poetów polskich średniego pokolenia.

Niewidomy leżał cicho, miał spiecione na piersi dłoń i uśmiech na twarzy. Nieswiadomie się uśmiechał. Przeka-
zano mu, aby się nie ruszał, miał czynić to jedynie z konieczności. Już trzeci dzień tak leżał z przepaską na oczach. Lecz jego nastrój, nie licząc słabego uśmiechu, graniczył z samopoczuciem skazanka oczekującego na ulaskawienie. Od czasu do czasu możliwość rozpoczęcia życia na nowo, ukazując jego osobę w jasnej przestrzeni widzianej poprzez tajemnicze funkcjonowanie żre-
nic, wydawała mu się tak realną, że podnieciło go to do tego stopnia, iż szamotać się zaczął nieczym we śnie.

Oszczędzając nerwy Rabida, profesor nie powiedział mu, że operacja udała się, i że on niewątpliwie znowu będzie widział. Ale coś mogło to obrócić w nieważność. Dlatego zęgnął się profesor codziennie powtarzał Rabidowi:

— Proszę się nie niepokoić. Zrobię dla pana wszystko co w mojej mocy, reszta sama jak-
koś się ułoży.

Pośród męczącego napięcia, oczekiwanie i roztrząsanie wszelkich możliwych sytuacji. Rabid usłyszał głos zbliżającej się do niego Daisy Garan. Była to dziewczyna, która pracowała w tej klinice; czasem w chwilach dla siebie niezwykle trudnych Rabid prosił ją, aby położyła mu na czoło dłoń i teraz z radością oczekiwał, że ta drobna ręka leciutko przylgnie do jego oniemiałej i zastygłej w bezruchu głowy. I tak też się stało.

Gdy odsunęła rękę, on, dotychczas jedynie zapatrzony w siebie do tego stopnia, że nau-
czył się bezbłędnie rozróżniać każde drgnienie swego serca, usłyszał sobie raz jeszcze, że jego największym lekiem jest ten, że nigdy nie zobaczy Daisy. Pamiętał, kiedy przeprowadzono go tutaj i wówczas usłyszał dziewczyny

kobiecego głosu, kierującego ułożeniem chorego, wówczas ogarnęło go radosne wzruszenie prze-
czuwające w tym głosie delikatną i zgrabną istotą, jaką ten głos mu wyrysował. Było to ciepłe, wesole i bardzo mu bliskie brzmienie głosu młodej osoby, bogate w śpiewne od-
cienie, jasne jak wiosenny poranek.

Stopniowo w myślach mężczyzny powstawał wyraźny ko-
biecy portret, tak śmiały jak wszystkie nasze wyobrażenia o rzeczach nieznanach, ale bar-
dzo potrzebnych. Rozmawiając w ciągu trzech tygodni tylko z nią, podporządkowując się jej delikatnej, ale stanowczej opie-
ce, Rabid wiedział, że pokochał ją już od pierwszych dni po-
bytu tutaj; teraz wyzdrowie-
nie — stało się jego celem dla niego.

Był pewien, że ona odnosi się do niego z głębokim współ-
czuciem, które może być do-
brym znakiem na przyszłość. Niewidomy, uważał, że nie ma prawa zadawać takich pytań, odkładając je do tego czasu, gdy oboje spojrzą sobie w o-
czy. Ale zupełnie nie wiedział, że ta dziewczyna, której głos czynił go szczęśliwym, myśli o jego wyzdrowieniu z przera-
żeniem i smutkiem, ponieważ ona nie była ładna. Jej uczucie do niego powstało wskutek samotności i uświadomienia sobie, jaki wpływ na niego wywie-
ra oraz z poczucia bezpieczeństwa. On był niewidomy, więc mogła patrzeć na siebie przez jego o niej wyobraże-
nie, które on wyrażał nie słowa-
mi, ale całym swym zachowa-
niem, i ona wiedziała, że ją kocha.

Przed operacją oboje długo i o wielu sprawach rozmawiali. Rabid opowiadał jej o swoich podróżach, o losie tułaczyn, ona zaś — o wszystkim, co ro-
bi na tym świecie. A kształt jej opowieści pełen był tej cza-
rującej miękkości, podobnie jak jej głos. Żegnając się myśleli o czym by tu jeszcze sobie o-
powiedzieć. Oto jakie były jej ostatnie słowa:

— No to do jutra.

— Do jutra... — odpowiedział Rabid i wydało mu się, że w tym „do jutra” kryje się na-
dzieja.

Był szczerzy, młody, odważny, wesół i ciemnowłosy. Po-
winien mieć, jeśli Bóg da, pi-
wne oczy ze śmiałym wejrze-
niem. Wyobrażając sobie to spojrzenie Daisy odsuwała się

ALEKSANDER GRIN

Głos i wzrok

od zwierciadła ze strachem w oczach. A jej cierpiąca, o nie-
regularnych rysach twarzy, po-
kryła się delikatnym rumień-
cem.

— Jak to będzie? — mówiła.

— Niech już wreszcie skonczy się ten wspaniały miesiąc. Pro-
szę otworzyć to jego wiezie-
nie, profesorze Rebal, błagam pana!

Gdy nastała chwila próby i skorygowano światło, z którym mógłby walczyć słaby jeszcze wzrok Rabida, profesor, jego asystent oraz parę innych osób ze świata nauki otoczyli go.

— Daisy! — powiedział my-
śląc, że jest gdzieś w pobliżu w nadziei, że właśnie ją pierw-
szą zobaczy. Ale nie było jej tylko dlatego, że w tej chwili ważnej nie znalazła w sobie aż tyle siły, aby widzieć i czuć zderzenie człowieka, któ-
rego cały los zależał od zdje-

cia bandaży. Stała na środku pokoju jak zaczerowana, wsta-
chnała w głosy i kroki. Nieza-
leżnym od niej wysiłkiem wy-
obraźni, która zawsze nas na-
wiedza w chwilach trudnych, zobaczyła się gdzieś w innym świecie, zupełnie inna, właśnie taka jaką chciałaby być i sta-
nąć przed nowo narodzonym wzrokiem tego mężczyzny —
więc tylko westchnęła ciężko i poddała się swemu losowi.

nach, jakby czytał księgę. Przedmiot jeden za drugim u-
kazywały się przed nim w świetle jego zachwytu, i nagle zobaczył drzwi, natychmiast po-
łubił je, ponieważ to były te same drzwi, przez które we-
szedł tutaj Daisy. Uśmiechnię-
ty ze szczęścia wziął ze sto-
łki szklankę; ręka mu drgnęła, lecz on bez trudu postawił ją na poprzednie miejsce.

Teraz niecierpliwie oczeki-
wał, kiedy wreszcie otworzą ci-
ludzie, którzy mu przywrócili wzrok, aby mógł zawołać Dai-
sy i, jako człowiek, który tyle przecierpiał, opowiedzieć jej o tym. Ale minęło jeszcze parę minut uroczystej, nerwowej, u-
czony dyskusji prowadzonej półgłosem, w trakcie której musiał odpowiadać na pytania jak się czuje i jak teraz widzi.

Pośród wielu szybko przela-
tujących myśli, w olbrzymim podnieceniu, w żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć, kiedy nareszcie pozostał sam. Ale ta upragniona chwila w końcu nadeszła. Rabid zadzwonił i powiedział pielęgniarce, że chciałby natychmiast zoba-
czyć się z Daisy Garan; ze wzrokiem pełnym szczęścia spo-
glądał na drzwi.

Kiedy Daisy dowiedziała się, że operacja zakończyła się pe-
lonym sukcesem, natychmiast wróciła do swego łóżka czystością i samotnością poko-
ju. Ze łzami w oczach podjęła odważną decyzję udania się na to ostatnie przekreślające wszystko spotkanie. Ubrała się w ładną letnią sukienkę. Swo-
je gęste włosy uczesała pro-
sto, bo nic lepszego dla tej ciemnej z miękkim blaskiem fali nie można było wymyślić. I ze szczerym obliczem, z pod-
niesioną unie głową wyszła u-
śmiechnięta niosąc w duszy przedsmak klęski. Podeszła do drzwi, za którymi wszystko w tak niezwykły sposób się od-
mieniło. Wydawało jej się na-
wet, że tam nie leży Rabid, ale

ktos zupełnie obcy. Przypo-
mniała sobie w ciągu tych szybko biegnących chwil różne drobne momenty z ich spot-
kań i rozmów i rozumiała, że on także ją kocha.

Dotknąwszy drzwi zatrzy-
mała się, wolno je otworzyła pragnąc jednocześnie, aby wszystko było jak dawniej. Ra-
bid leżał zwrócony głową do drzwi, ale szukał jej oczyma za sobą w energicznym prze-
chyleniu twarzy. Przekroczyła próg i zatrzymała się.

— Kim pani jest? — zapytał uśmiechając się Rabid.

— No właśnie, jestem jakby nową osobą dla pana — po-
wiedziała Daisy i natychmiast brzmieniem swego głosu przy-
wróciła mu całą ich przeszłość przywołaną między nimi.

W jego ciemnych oczach zo-
baczyła nie ukrywaną pełną radość i ciężar cierpienia spad-
łej z serca. Nie stał się cud, ale cały jej świat wewnętrzny, jej miłość, lek i rozpacz oraz ogrom zderzenia ostatnich minut znalazły odbicie w ta-
kim uśmiechu, jaki ukazał się na jej obliczu, że ona ze swą zgrabną sylwetką wydała się Rabidowi dźwiękiem struny o-
toczonej kwiatami. Ładna była w blasku tej miłości.

— Teraz, tylko teraz — rzekł Rabid — zrozumiałem dlaczego ma pani taki głos, którego ni-
bylem słuchać nawet we śnie. I teraz, jeśli pani zachoruje tak ciężko jak ja, będą panią kochał i tą miłością postaram się panią wyleczyć. Proszę mi wybaczyć. Jestem trochę szalony, może dlatego, że zmar-
twychwstałem. Dziś mam prawo mówić wprost.

W tym momencie jego zro-
dzone ciemnością wyobrażenie o niej pozostało takim, jakiego ona zastała się nie spodziewała.

Przełożył:
ROMAN GORZELSKI

Poeta cierpi za miliony od 10 do 120 — ten wiersz Andrzeja Bur-
sy nie nie stracił na aktualność. Poeta cierpi, ale najczęściej, to cierpienie (w wyżej wymienionych godzinach) odnosi się do niego indywidualizuje się. „Cierpi” wy-
najróżniejsze zawody od stróża samego, koniaka i kamieniarza do bardziej prozaicznych, jak urzędnik pań-
stwowy lub nauczyciel. Jest lekarzem, in-
żynierem. Rzadko wykonuje zawód związany z jego artystyczną profesją — wydawcy, red-
aktors czy animatora kultury. Poeta musi z czegoś żyć. Nierzadko (o zgrozo!) poeta za-
kłada rodzinę. Ma dzieci i chodzi w niedzielę do teściów obejrzeć telewizor. Mogłoby być każdy młody i inteligentny człowiek pomyśleć o jakimś butik, mógłby prowadzić jakieś rozle-
głe interesy, ale to raczej niemożliwe. Pry-
watny interes (oprócz specyficznych predyspo-
zycji) wymaga ustawicznego „biegania” i od-
dania się mu całkowicie. Poecie pisanie wierszy zabiera cały wolny czas (jeżeli chce on funkcjonować na poetyckim „ryнку”) — jest to jego prywatna inicjatywa. Z tym, że mało intratna, ba, nawet przynosząca straty. Czy można żyć z poezji? Spróbujmy na to od-
powiedzieć. Ale nie będzie to głos w dyskusji ostatnio dość popularnej ani polemika z arty-
kułami na ten temat, które ukazały się na łamach „Tygodnika Kulturalnego” (T. Olszewski, Marek Grala). Będzie to raczej swobodna im-
presja, w której autor pragnie wskazać na złożoność kondycji poety w socjalno-bytowym kontekście. Wiele ad rem.

Mamy młodego człowieka, który pisze wiersze, który zapragnął być poetą. Mógł zadebiuto-
wać gdzieś tam, w prasie lokalnej, młodzieżowej etc., ale niekoniecznie. Konsekwencją na-
pisania („spłodzenia”) kolejnych wierszy jest potrzeba ich publikacji (odrzućmy tu przy-
padki pisania „do szuflady”).

A WIĘC DO REDAKCJI

Szanowny Panie Redaktorze

proszę o zwrot wierszy papier taki drogi maszyni takie nieustawne trzcionka taka archaiczna kobiety takie niemłode dzieci takie niezdolne śnieg brudny i zęszło

Redakcja najczęściej milczy. Dlaczego? Trud-
no się dziwić. Mówiąc brutalnie redakcja ma-
brak „mocy przerobowych”. Tak, przeczytać, a nawet tylko przejrzeć ten stos wierszy któ-
ry co dzień przynosi listonosz, to praca łacie-
szywa. Niejednemu redaktorowi już „wyliszał” pragnąc załatwić wszystkich „interesantów”.
Najczęściej, co tu ukrywać, wszystkie te ero-
tyki, hymny i sonety wędrują do kosza. Można-
sobie wyobrazić, ile papieru marnuje się w

ten sposób. Ile by można było wydać tomów Rodziewiczówny... Albo Pauszer-Klonowskiej. Gdyby w tym momencie wszyscy poeci (w tym ci „niedzielni”) przestali pisać (proszę spróbo-
wać!) nie trzeba by było sadzić nowych ła-
sów. Ale oni posyłają. Tłumaczą się wielką (metafizyczną) potrzebą druku, ba, mówi się nawet o „głodzie druku”. Można już mówić o pewnego rodzaju uzależnieniu. Jeżeli czasem wiersze wracają do nadawcy, można wtedy wyróżnić kilka typów odpowiedzi.

Pozytywne — „Kolejka do druku, droga, więc proszę czekać cierpliwie...”

Negatywne — „Niestety, redakcja nie sko-
rzysta z Pana tekstów”.

JACEK MACIASZEK

Jak zostaje się „młodym” poetą

Wymijające — „Podobały mi się niektóre, ale jest pan młody itd...”

Całkowicie negatywne — „Podstaw do dialo-
gu brak”.

Oprócz tego można wyróżnić odpowiedzi —
jasne i ciemne, lakoniczne i rozwlekłe, ale brak miejsca nie pozwala mi kontynuować tego tematu. Dodam tylko, żeby uprzedzić jaka-
kolwiek krytykę, że powyższa mała statysty-
ka „nie rości sobie pretensji do „naukowości”. Zostawmy to socjologom lub... epistolografom.

Jeżeli autor po kilku miesiącach opublikuje swój wiersz, otrzymuje honorarium, które już od kilku lat starcza na przysłowiową „połow-
kę” czyste. Wtedy poeta śląda i pije, potem „plodzi” następne wiersze, które potem pakuje do szarej koperty itd... Błędne koło?

Jak już się trochę tych wierszy napisało, już się trochę „otrząskano” — poeta wkłada „poetycką zbroję” i rusza na turniej.

TURNIEJE, KONKURSY

Jak Polska długa i szeroka, od Bukowiny po Swinoujście, kwitną konkursy poetyckie. Kwit-
ną, więc mają się dobrze. I tak obok tych już „uznanych” (Czerwona Róża, Warszawskie Je-
sien, Rubinowa Hortensja, Łódzka Wiosna Poe-
tycka — że wymienię tylko kilka) każde miasto, nawet gmina funduje sobie „konkursik”. Mają już konkursy poetyckie także miasta, jak

Konin, Włocławek, Krasnystaw, Gostyn i Tu-
rek. Będą mieć — Parzęczew i Zambrów. Bę-
dą? Kiedy? Kiedy ktoś wpadnie na ten po-
mysł. Skąd taki pęd do poezji? — można by było się spytać. Ano, według niektórych dzia-
łaczy taki ośrodek zyskuje nobilitację kulta-
ralną. Wiadomo, że stołeczny teatr na prowinc-
ję niechętnie zawita — poeta po pieniądze zawsze.

Co można wygrać na takim turnieju? Od LAMPKI GORNICZEJ, PUCHARU WINA i RUBINOWEJ HORTENSJI po DREWNIANĄ SOWĘ. A także laur jakiegoś zmarłego poety (notabene prawie każdy poeta umierający w tym kraju ma szansę na własny patronacki konkurs). Oprócz głównego trofeum przypada

zwycięzcy (zwycięzcom) pewna suma pieniędzy. Od kilku do kilkunastu tysięcy. Moim zda-
niem konkursy stanowią jakiś stymulator twó-
rczości poetyckiej. Ale stymulator niebezpieczny. Konkursy są jak narkotyki (mówiliśmy już o uzależnieniu) i poeta raz po raz powraca do zwycięstwa będzie (i jest to z punktu widze-
nia psychologii normalne) starał się zwyciężyć za każdym razem, w każdym zaanonсованым konkursie i za wszelką cenę. Wiersz (wiersze) które znalazły uznanie jurorów, będzie powie-
lał w ciagle nowych wariantach, aż do całko-
witego wyeksploatowania, do jałowości kom-
pletnej. Jasno z tego wynika, że konkursy pomimo swojej szczytnej funkcji — szeroko ro-
zumianej animacji ruchu poetyckiego, depra-
wują co słabsze jednostki. Można by powie-
dzieć, że istnieje coś na kształt „listy ranking-
gowej”, gdzie każdy poeta biorący udział w tej rywalizacji ma swoje notowanie. Oczywiście, do elity dostać się jest bardzo trudno. Niestety dochody, nawet tej elity daleko od-
biegają od tantien czołówek np. tenisowej. Ze-
by zamknąć te rozważania posłuchajmy co na temat współzawodnictwa artystycznego sądzi wybitny historyk kultury Johan Huizinga („HOMO LUDENS”): „Ogłasza się np. konkurs na zbudowanie ratusza, poleca się studentom szkoły artystycznej ubiegać o stypendium, chcąc w ten sposób pobudzić ich inwencję lub wykryć obiecujący talent i osiągnąć tą drogą najlepsze rezultaty. Lecz praktycznie cele nigdy nie były pierwotną podstawą takich form kon-
kursów. W tle ukazuje się zawsze pradawna ludyczna funkcja rywalizacji jako takiej”. A więc, bawmy się!

Po doświadczeniach w postaci publikacji pra-
sowych i przeróżnych konkursów, poeta za-
czyna poważnie myśleć o swojej książce — to-
miku poetyckim.

KSIAŻKI

leżą w wydawnictwach i czekają na cud psuje się ich młode mięso

Od pomysłu do realizacji długa droga. Po skompletowaniu minimum arkusza wierszy (700 wersów) poeta czeka czasem i do roku na odpowiedź właściwego wydawcy. Następny rok (no może trochę przesadzam) zakładając, że tomik znalazł wydawcę, to praca redakcyjna i podpisywanie umowy. Od umowy do wydania zbioru wierszy wydawnictwo zastrzega sobie kolejne 2 lata, w których nie zawsze się mieści. Razem około 3—5 lat. Założmy, że 25-letni poe-
ta składa swój debiutancki tom, często debiu-
tuje już jako 30-latek. Pieniądże? Nie aż tak duże, zważywszy że opublikowana książka jest dorobkiem kilku lat. Założmy, że po nowej podwyżce (rewaloryzacji) można się spodziewać do 30 tysięcy za arkusz. Można oczywiście swoje wiersze przepisać w np. 5 egzemplarzach maszynopisu i rozdać swoim wielbicielom, ku-
zynom i ciotkom, albo znaleźć życzliwego spon-
sora w postaci organizacji młodzieżowej al-
bo biblioteki miejskiej. Wtedy szybko.

Jeśli już poeta wszedł na jakiś „rynek” mo-
że zorganizować sobie wieczór autorski. Wtedy znajdzie wspaniałą recepcję wśród najbliższej rodziny i emerytów chrzących się przed deszczem w salach np. KMPiK. Pomimo tej czarno namalowanej przeze mnie atmosfery wokół młodych twórców, powstają nowe wiersze, ukazują się tomiki poetyckie itd... Nie wiem, co jest tego przyczyną (nie sądzę, że „trudności obiektywne”, bo to często wpływa-
ją konstruktywnie), ale mówi się, że poezja młodego pokolenia jest szara i nijaka. To fakt — nie pojawiło się ostatnio zbyt wiele indywidualności, pokolenia nie mają swoich przywódców i „ojców”, poeci nie „przynaj-
mą” się do swoich generacji. Jednym z wyzna-
czników tej poetyki jest polifoniczność (na co wskazywało wielu krytyków) i brak zdecydo-
wanego oblicza. Ale czy jest to wada, czy też walor poezji — krytycy nie są zgodni. Młod-
sza krytyka poetycka też nie wyrasta ponad to co próbuje opisać i nie ma pewności, czy na warszacie np. J. Marxa nie znajduje się książka wartościowa. A poeci co? — piszą. Atroficzni poeci — rachityczne wiersze. Albo na odwrót. Posłuchajmy, co ma do powiedze-
nia (przed 40-ką) poeta:

NABYTY BRAK ODPORNOŚCI
IMMUUUUUUU (młoch wiersz...)

są takie słabe
były przecież
były gład... itd., itd.,

Ala na to schorzenie jeszcze nie znalazłono szczepionki.

Niezbyt często TVP otacza opieką, promuje i lansuje młode talenty aktorsko-wokalne, może dlatego, że tych autentycznych talentów nie mamy zbyt wiele, a może dlatego, że tę jedną z najbardziej szkodliwych instytucji nie stać na wyłansowanie nowej gwiazdy, bo związane są z tym duże koszty.

Od niedawna jesteśmy świadkami lansowania AGNIESZKI FATYGI, dyplomowanej aktorki dramatycznej, dyplomowanej śpiewaczki operowej i dyplomowanej pianistki. II Program TVP postanowił otoczyć ją opieką po sukcesie na ubiegłorocznym Festiwalu Piosenki Aktorskiej we Wrocławiu, ale z promocją czekał pół roku, aby uderzyć na całym froncie w końcu grudnia 1985 r. i na początku stycznia 1986 r.

I tak oglądaliśmy: wodewil telewizyjny „Jadzia wdowa” (rola tytułowa), program TV „Najpopularniejsze postacie 1985 roku” (odzoba gali laureatów), „Telewizyjny Kurier Warszawski” (wywiad i piosenka na warszawskiej ulicy Nowy Świat na motywach superprzeboju Lizzy Minnelli „New York, New York”), wreszcie jakby ukoronowanie lansowania — program „Godzina z Agnieszką Fatygą”, w którym pokazuje się aktorów z nazwiskiem i dużym, znaczącym dorobkiem.

W Teatrze „Ateneum” Agnieszka Fatygę śpiewa „Piosenki Brela”, w Teatrze „Buffo” przygotowuje z Michałem Bajorem show, marzy o głównej roli w filmie muzycznym. Agnieszka Fatygę mimo wielu kontrowersji jakie gromadzą się wokół jej osoby bezprzeczenie jest jednym z najciekawszych i najwzrostających talentów wokarno-aktorskich ostatnich lat w naszym kraju. Warto na jej indywidualnym przykładzie prześledzić drogę ku sławie i pozycji nowej gwiazdy, a także przyjrzeć się stosowanym u nas mechanizmom lansowania młodej artystki.

„NARODZIŁA SIĘ POLSKA MARIA CALIASI”

Będąc na XXII Festiwalu Moniuszkowskim w Kudowie Zdroju, poznałem obok największych gwiazd operowych naszego kraju pewną skromną czarnowłosą dziewczynę w okularach o bardzo śmiesznych (kociach) oprawkach. Kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy na scenie Teatru Zdrojowego oniemiałem z wrażenia i zachwytu. Agnieszka Fatygę uczesana i ubrana niczym wielka diwa operowa odważyła się w obecności sław operowych na widowni sparodiować pewne sposoby śpiewania i zachowania tychże pań, choć niekoniecznie z obecnymi nazwiskami. Towarzyszył jej znakomity Emilian Kamiński, oboje zaprezentowali fragmenty „Śpiewnika domowego”, w którym w reżyserii Adama Hanuszkiewicza śpiewali na scenie Teatru Narodowego w Warszawie.

Po występie w Kudowie, kierownik artystyczny festiwalu, wybitna polska śpiewaczka Maria Foltyn biła brawo na stojąco i krzychała:

— Brawo Agnieszko! Narodziła się nam polska Maria Callas!

Agnieszka Fatygę, rzeczywiście przypomina pełną temperamentu sceniczną legendarną primadonnę stulecia Marię Callas. Napisałem wtedy, że Agnieszka Fatygę ma nawet pewną przewagę nad Callas, gdyż potrafi obok arii operowej czy pieśni zaśpiewać zupełnie inną techniką bluesa, jazz, bossa nową, rocka, piosenkę musicalową, kabaretową, aktorską, literacką, romanse.

— Urodziłam się w Bytomiu — powiedziała wówczas — gdzie spędziłam 12 lat. Przez 6 lat uczyłam się gry na gitarze klasycznej. Ukończyłam podstawową i średnią szkołę muzyczną w klasie fortepianu. Po dyplomie zdałam egzamin wstępny do Akademii Muzycznej w Katowicach, gdzie zostałam przyjęta od razu na II rok fortepianu, ale jednocześnie zdawałam na Wydział Aktorski PWST w Warszawie. Będąc przyjęta do obu uczelni, wybrałam studia aktorskie. Ukończyłam je w 1980 roku. Na IV roku PWST rozpoczęłam studia wokalne na Wydziale Wokalno Aktorskim AM w Warszawie w klasie doc. Alicji Dankowskiej. Mój głos określany jest jako sopran lirico-spinto z koloraturą, ale śpiewam również głosem piosenkarzkim prawie wszystko. Najchętniej śpiewałabym w operze i na estradzie, nie rezygnując z grania w teatrze.

Któregoś dnia, korzystając z kilku wolnych godzin, pojechaliśmy z Agnieszką Fatygą do pobliskiego Lewina, gdzie odwiedziliśmy rodzinny dom Violetty Villas i poznaliśmy jej matkę Janinę Cieślak. Agnieszka była wzruszona tym spotkaniem, powiedziała mi, że te kilka godzin z Janiną Cieślak opowiadającą historię życia i początków kariery swojej córki Czesławy-Violetty-Marii-Elizy zapamięta na zawsze.

„CIAĞ DALSZY PRZYGODY”

— taki tytuł nosił pierwszy duży wywiad Agnieszki Fatygę, opublikowany 11 XII 1985 roku na łamach tygodnika „Razem”. Autorka pisała: „Fascynujący debiut rewelacyjna wykonawczyni”, padały komplementy na łamach prasy. Po tem jakby się zmitigowało. Gdy wystąpiła w tytułowej roli „Czarującej szewcowej” pisano już oszczędniej: „pięknie śpiewa, ale...”, „śpiewa oczywiście ładnie, ale...”

Jako Dorota w „Krakowiakach” i „Góralach” wyżyła agresywności, niemal liryczna, dziewczęca hardziej od Baśi podbiła publiczność i pytania: Kim jest, kim będzie Agnieszka Fatygę? Gwiazdą czy meteorem?

— „W moim domu rodzinnym panował ostrzy tygrys — opowiadała dziennikarzom o sobie — Mnóstwo obywateli stanowiło egzekutywnych. Na egzamin do PWST przyjechałam pod eskortą ojca Śpiewu uczyłam się dla rodziców, bo opera mnie nie interesowała. To sztuka dość specyficzna. W czasie studiów ak-

torskich chodziłam na lekcje śpiewu do doc. Alicji Dankowskiej, która namawiała mnie, aby zdać na wokalistykę do AM. Bardzo lubię się uczyć. Studiowałabym całe życie, gdyby ktoś chciał to finansować.

Sukces w „Śpiewniku domowym”? Po tylu latach pracy? To było do przewidzenia, że zostanie zauważona w tej roli w teatrze dramatycznym. Do Moniuszki podchodziłam na luzie, z dystansem. „Czarującą szewcową” potraktowałam z nadmiernym poczuciem odpowiedzialności. To mnie zamknęło. Wejście w instytucję teatralną było dla mnie szokiem. Nie lubię przymusu, w którym nie widzę sensu dla siebie.

„JESTEM TROCHĘ OUTSIDEREM...”

— powiedziała Agnieszka Fatygę w wywiadzie dla „Sceny” (nr 3 z marca 1984 roku). — „Moja aktywność polega jedynie na gromadzeniu

BOHDAN GADOMSKI

Czy umiemy lansować gwiazdy?

umiejętności, a nie ich dyskutowaniu. Nie bawi mnie wyłącznie zarabianie pieniędzy i robienie wszystkiego za wszelką cenę. Poza tym teatr i muzyka, to i tak dosyć jak na jedną osobę. Ja się nie podporządkowuję. Jeśli reżyser mnie przekona, staje się to wtedy również moją wolą. I myślę, że ilekroć postawię na swoim, tyle razy wygram. W rezultacie w każdym ze środowisk — i muzycznym i teatralnym — jestem trochę outsiderem. Czasem dobrze jest kimś takim być. Trudno, ale dobrze.”

Po 2 latach obejrzałem Agnieszkę Fatygę na scenie, w repertuarze, którego wcześniej nie wykonywała, w piosenkach Jacquesa Brela. Zdażyła już nabrać pewnej manieri, która powodowała, że wszystkie piosenki śpiewała jednako. W większości z nich chciała zademonstrować swój szkolony głos, co słuchacze odbierali na wesoło, myśląc, że robi parodię śpiewaczki operowych.

„WYGRAĆ WSZYSTKIE SVOJE ATUTY...”

— napisała „Kobieta i Życie” o Agnieszce Fatygę w noworocznym artykule „Młodzi idą”.

Przechodząc z Teatru Narodowego do Ateneum była przygotowana na możliwość siedzenia w

ławce rezerwowych aktorek. Jak do tej pory nie zagrała tam nic, poza „Piosenkami Brela”. Gościennie wystąpiła w roli Królowej Wandy w „Legendzie” na scenie Teatru Nowego w Łodzi. Miała tak niewielką ilość prób, że trudno tu mówić o roli, raczej o próbie wejścia w postać. Bez powodzenia. Za to śpiewała tu sporo (dobrze) z taśmą.

Nastazja Filipowna w telewizyjnym „Myszkiniu” nie bardzo przystaje do jej umiejętności. Już lepsza zdawała się być „Jadzia Wdowa” (tytułowa), w której co nie dograła, to dośpiewała (wspaniale).

Najbardziej udane są „Romanse cygańskie i rosyjskie”, w których pokazała siebie najbardziej prawdziwą. Nie grała cygańskiej heroiny, była nią i jak świetnie potrafiła oddać specyficzny klimat tych pieśni. Wkrótce błysnęła majstersztykiem zrobionym ze złanej piosenki o pieniądzach, w której nie tylko dorównała Lizzy Minnelli, ale była po prostu sobą, wyraźnie rysującą się indywidualnością artystki musicalowej. Jej „Nowy Świat” („New York”) jest

zdolności „malpowania” wszystkich i wszystkich, od Callas do Szalapina, choć gubi przy tym swoją indywidualność i odrębność. Nie sposób śpiewać wszystkiego jednakowo znakomicie, łatwo się pogubić i popaść w manierę.

Jej wokalistyka operowa pozostawia wiele do życzenia, wychodzi brak stałych ćwiczeń i brak kontroli pedagoga, o którym zresztą niewdzięczna uczennica nie wspominała ani słowa. Na szczęście Fatygę zna swoje niedoskonałości w tej dziedzinie i dlatego sięga dziś wyłącznie po parodie. Przykładem zaprezentowana aria Hrabiny z II aktu tej opery, która wcale nie była śmieszna, przeciwnie wykazała to, czego dyplomowana śpiewaczka nie umie.

Najwłaściwszym miejscem dla umiejętności Agnieszki Fatygę jest musical, tylko gdzie u nas te musicale ze wspaniałymi rolami kobiecymi?

II PROGRAM TVP zdecydował się otoczyć Agnieszkę Fatygę opieką. Z poprzednimi podobieństwami (Renata Danel, Roman Frankl) różnie wyszło. W 1985 roku Agnieszka Fatygę dokonała kilku nagrań studyjnych, zagrała główną rolę w wodewilu, tytułową w bajce dla dzieci („Królowa Śniegu”), Rola Nastazji Filipowny w „Myszkiniu” została zarejestrowana znacznie wcześniej. Na osobną uwagę zasługuje program poetycko-muzyczny (z romansami cygańsko-rosyjskimi) i świetny występ na gali najpopularniejszych postaci TVP.

W „Godzinie z Agnieszką Fatygą”, nową gwiazdą za dużo mówiła, za mało śpiewała. Podejrzewam, że sama była tu reżyserem, choreografem, kostiumologiem. I znowu TV po najmniejszej linii oporu, przy użyciu najskromniejszych środków zaprezentowała swoją nową podobieźnią, która przebiegała się za parawanem, a głównym rekwizytem była chuścina na głowę. Nikt z opiekunów nie zwrócił uwagi, że Agnieszka Fatygę porusza się nieładnie (to nie, że brak jej wrodzonego wdzięku), nikt nie powiedział jak należy patrzeć w kamerę i paru innych dość istotnych rzeczy. W sumie nie zaprezentowała niczego nowego, wciąż najbardziej swobodnie porusza się w kręgu twórczości Brechta, Brela i własnych kompozycji. Iskierkę nadziei stanowi jej obecna praca nad przygotowaniem scenicznego show, do którego przygotowuje własny repertuar muzyczny i nad którym postanowiła skupić się całkowicie.

Niby jest postacią znaną, a jeszcze nie odkrytą, wszechstronnie uzdolnioną a nie wykorzystaną. Ma 28 lat, w tym wieku rozpoczyna się kariery tylko w Polsce.

Agnieszka Fatygę jest również przygotowana na ewentualne niepowodzenie, w zanadru trzymając swoje umiejętności kompozytorskie. Na OSET-cie w Rzeszowie otrzymała nagrodę za kompozycje muzyki do piosenek „Drobną w przestworzach obraca się ziemia”, „Song malretowanej żony” i „Niech żyje cham”.

„NA RANY BOGA...”

„Kto chce wielkim być człowiekiem, ten mieć musi twarde łeb, gdy chcesz wielkim być człowiekiem dobrze swe skrupuły zarzecz. Tylko nie pękaj, tylko spokojnie iść i walić prosto w łeb. Na rany Boga, na ścianie ręka, móżdżek i noga, wal w pusk i kop, gdy trzeba łeb i dobrze jest”.

— śpiewała Fatygę na koncercie galowym wrocławskiego Festiwalu Piosenki Aktorskiej („Song o twardym łbie”), w którym zaprezentowała jak pisał „Ekran”: „wspaniałą umiejętność operowania głosem (w różnych rejestrach i technikach), dobre wyczuwanie rytmu Brechtowskiego tekstu, bardzo współczesny, oryginalny sposób interpretacji, podkreślający walory muzyki Weilla. Poza tym co za niebywała ekspresja, temperament, jaka swoboda bycia”.

Prywatnie też się zmieniała, skromna dziewczyna z końskim ogonem i w okularach krótkowidza, to tylko dawna powłoka, a pod nią świeżość swych atutów gwiazda.

Agnieszka Fatygę niewiele jeszcze umie, jest trochę zagubiona w tym wszystkim co ją obecnie otacza, pokrywa to pewnością siebie, a nawet becznością.

CZY UMIEMY LANSOWAĆ GWIAZDY?

Pewnie tak, wszakże wyłansowaliśmy ich już sporo, choć wyłącznie na krajowe potrzeby. Zwykle lansujemy szybko, gwałtownie, powierzchownie, przy użyciu najprostszych środków. Często niekonsekwentnie i czasami z krzywdą dla wybranej gwiazdy. Uwielbiamy szukać wciąż nowych talentów (żaden kraj nie ma tylu przeglądów, konkursów, turniejów i festiwali), ale też wyjątkowo szybko o ich zapominamy.

Mówi reżyser Janusz Rzeszewski („Ekran” nr 4/86):

„Zdałem sobie sprawę, że jesteśmy krajem, który marnuje talenty w potworny sposób! Przekonałem się raz jeszcze, że nie jesteśmy w stanie nikogo wyłansować na estradzie, niczego nauczyć”.

Obecnie królują AGNIESZKA FATYGA, której życzy długiego panowania, a po detronizacji godziwie egzystują i na panasie wyłansowanych (mimo wszystko) gwiazd.



Współczesny pisarz i współczesna rzeczywistość

Tradycja naszego kraju wyznaczyła ważną pozycję literatury w służbie społecznej. Kiedyś była ona jednym z głównych instrumentów organizujących i porządkujących świadomość narodową. Nic nie stoi na przeszkodzie, aby i dziś jej udział był udziałem znaczącym.

Takie widzenie sprawy nie ma nic wspólnego z uproszczeniem spojrzenia na rolę i obowiązki pisarzy oraz rolę społeczną literatury. Nie chodzi o sprowadzenie sztuki do wąsko pojmowanych zadań propagandowych i wychowawczych, gdyż doskonale zdajemy sobie sprawę, że wówczas przestaje ona być sztuką i nie staje się wcale dobrą propagandą. Jestem przeciwny literaturze niosącej pochlebstwa i lakierującej rzeczywistość. Potrzebujemy literatury, która by również i krytycznie współuczestniczyła w wielkim dziele przetwarzania świadomości ludzi, mądrze i dalekowzrocznie widziała cele socjalizmu i przybliżała je społeczeństwu. Potrzebujemy literatury przesiąkniętej socjalistycznym humanizmem.

Doświadczenia lat minionych aż nazbyt przekonująco udowodniły, że literatury nie da się „wychować”. Pisarz przedstawia to, co mu sumienie dyktuje, na co mu własne pojmowanie rzeczywistości i talent pozwalają. Swoją wizję sprawy walczy o uznanie czytelnika.

„Literatura pełni swoją funkcję społeczną — pisze A. Lam — nie przez krzepienie beletryzacji, nie przez wyrażanie wyobrażeń, lecz jako wyraz wolnego wyboru wrażliwej osobowości twórczej. Jest systemem sygnałów, może pod pewnymi względami życie ułatwić, ale ma też prawo je utrudniać. Jest też systemem oporów, komplikujących działania ludzi, którzy bez tych oporów byłoby skłonni do groźnych w skutkach uproszczeń”.

A największe spustoszenie w życiu umysłowym przynosi — zdaniem A. Lamy — namawianie pisarzy do stałego korygowania i zmniejszania ocen, rezygnacji z ich głębokich niepokojów.

Wielu polityków jednak nadal nie chce zgodzić się z tezą, że to nie różnice wizji i zdań stanowią największe niebezpieczeństwo. Na ogół bywa odwrotnie. Różnice zdań przy mądrej polityce (nie tylko kulturalnej) mogą, a nawet powinny być motorem najciekawszych i najbardziej twórczych dyskusji, a w konsekwencji i najsłuszniejszych decyzji.

Już dawno temu La Rochefoucauld powiedział, że prawda w naszym życiu nie czyni tyle dobrego, ile jej pozory sprawiają złego. Oczywiście, czasem jest dość trudno ustalić, co jest prawdą, a co jej pozorem, co jest słuszne, a co niesłuszne. Pisarz jest także poszukiwaczem prawdy, mimo że przy tych poszukiwaniach może popełniać wiele błędów. Są one jednak mniej szkodliwe i mniej naganne od „osiągnięć” uzyskiwanych przez różnego rodzaju koniunkturalistów.

Stawiając pytanie o stosunek twórczości literackiej do rzeczywistości społecznej Witold Nawrocki słusznie podkreśla, że pojęcia on przede wszystkim na wyborze: „albo dyskusji z rzeczywistością społeczną, albo pojednania z nią”. Oczywiście wypowiada się krytyk za dyskusją z rzeczywistością, za wyborem z niej tego, co niepokoi pisarza przede wszystkim jako obywatela. Nie zawsze jednak taka literatura jest wygodna dla polityki, gdyż jest on zbyt często sprawcą błędów i wywołanych konfliktów i niepokojów. I tu często pojawiają się trudności u pisarzy zajmujących się tematem współczesnym.

Pisarze to także obywatele — pisał wielokrotnie Tadeusz Hołuj. Niestety, zbyt często politycy próbują zagnać ich na podwórkę pisarskie, odbierając im de facto prawo do zabierania głosu w sprawach obywatelskich nawet wtedy, gdy oficjalnie ich kokietując głośnie, że są oni „miałymi twórcami świadomości narodowej”.

Wiadomo nie od dziś, że literatura piękna nie może być poddawana takim samym ocenom politycznym jak dzieło publicystyczne czy też naukowe. Zbyt często jednak tak właśnie jest przez polityków traktowana. Takie traktowanie dzieła sztuki, twierdzi T. Hołuj, jest niedopuszczalne. „Dzieło sztuki, którym jest utwór literacki, nie może być obiektywnym, jest z natury rzeczy „fałszywe”, bo indywidualne, subiektywne. Kontrola ideowo-polityczna musi tę specyfikę uwzględnić”. Jego zdaniem, w przypadku zgłaszania przez wydawcę lub decydenta politycznego określonych zastrzeżeń, dzieło sztuki powinno być poddane jawnej dyskusji w kompetentnym gronie, z udziałem autora. A tego typu praktyki w całym czterdziestolecu należały do niemierniejszych radości. Jest to jedna z odpowiedzi na zarzut nienadążania literatury za życiem, dodajmy bardzo skomplikowanemu, które to zbyt często było izolowane w wielu swoich szczególnie negatywnych przejawach od interpretacji literackiej.

Z wypowiedzi zamieszczanych w prasie literackiej i codziennej dotyczących koncepcji ZLP promieniowała aż nazbyt zauważalna obawa przed powtórzeniem się błędów z prymitywnym jego upolitycznianiem z przełomu lat czterdziestych i pięćdziesiątych, czy też opowocznego politykierstwa części jego członków z okresów kryzysowych. Świadczy to jednak, mimo oczywistych dziś potrzeby rozwiązań kompromisowych, o niedocenianiu roli organizacji twórczych w kraju, który wybrał drogę socjalistycznego rozwoju.

Pisarz, korzystający z mecenatu społeczeństwa budującego socjalizm, ma obowiązek działania dla dobra tego społeczeństwa. Może on w wielu przypadkach nie zgadzać się z poczynaniami władzy, a także określonych grup społecznych, ale nie ma prawa działać wbrew jego docelowym dążeniom i interesom. Może on również nie być członkiem działającego w tym społeczeństwie związku pisarzy, ale wtedy nie powinien również wymagać dla swojej twórczości mecenatu tego społeczeństwa.

Trudno jest jednoznacznie i bardzo precyzyjnie określić słusność wielu poczyniń i pomysłów w chwili ich pojawienia się i w pierwszych próbach realizacji. Dlatego też pisarzowi, jak i każdemu innemu obywatelowi, przysługuje prawo do własnej wizji i także i błędów. Ale i błąd i niesłusność wizji mogą i mają prawo być poddane społecznemu osądowi bez szafowania wyrokami i etykietkami, a także i bez manifestacyjnego obrażania się. O wiele mniejsze prawdopodobieństwo zerwania tych koniecznych związków istnieje wtedy, kiedy są one trwałe i realizowane przez aktywny udział pisarza w życiu tego społeczeństwa. A może to uczynić Związek Literatów Polskich. Związek, któremu obce będzie zmuszanie pisarzy do niezgodnego z ich dotychczasowym doświadczeniem i wiedzą prezentowania światopoglądu, jak to było już praktykowane, z różnym, najczęściej negatywnym skutkiem w pierwszych połowie lat pięćdziesiątych, a niekiedy i w latach następnych. Ale działający w kraju budującym socjalizm związek rozumieć należy jako organizację, dla której nie bez znaczenia jest fakt, czy jej członek chce poznać socjalistyczną rzeczywistość, czy nią gardzi zamykając się jedynie w przysłowiowej „kawiarni literackiej”.

Przybliżanie rzeczywistości pisarzom to z kolei jeden z podstawowych obowiązków realizatorów polityki kulturalnej socjalistycznego państwa i zarządców związków twórczych. Jest to sytuacja, w której jesteśmy tego świadomi, szczególnie dziś, rzeczywistość ta podlegać może częściej krytyce niż aprobacie. Ale krytyce w interesie społeczeństwa budującego socjalizm, a nie wbrew niemu. Krytyka wypaczeń i walka o ich usunięcie jest zresztą obowiązkiem każdego uczciwego obywatela.

3.

Wydaje się, że Związek Literatów Polskich, jak zresztą i każdy inny związek twórczy, będzie pełnoprawnym i poważnym partnerem władzy, jeżeli zmobilizuje ją do aktywnego działania na rzecz również twórczego niepokoju o stan wiedzy, świadomości i charakteru inspiracji środowisk twórczych. Należy przecież uznać za absolutnie nieprawdziwe twierdzenie o apolityczności przeważającej części pisarzy polskich i ich dobrowolnej izolacji w tej przysłówowej „kawiarni literackiej”. Do takich ocen doprowadził niestety „Iwaszkiewiczowski model działalności Związku Literatów Polskich”, który nie był modelem ambitnym ani ze strony Związku, ani co gorsza, ze strony władzy i poza pozami przyniósł zdecydowanie mniej zysków niż strat. Do niczego praktycznie poza „spokojem i rozsądkiem” nie mobilizował pisarzy. Pisarze z kolei, aby mieć pewność, że nie popełnią błędów nie zajmowali się zbyt otaczającą ich rzeczywistością, zarówno tą budzącą dumę — żeby nie być posądzonymi o służalczość, jak i tą wywołującą niepokój — żeby nie naruszyć obowiązującego status quo.

Sytuacja taka prowadziła, a z perspektywy lat możemy ocenić ją bardziej obiektywnie, do stagnacji, niezadowolenia, a co najgorsze do braku utworów, które mogłyby służyć socjalistycznej rzeczywistości. Zastrzegam się, że nie chodzi tu o służbę w wąsko propagandowym jej rozumieniu z lat 1949—1953. Chodzi natomiast o to, że literatura polska nie stworzyła praktycznie znaczących utworów dotyczących spraw najbardziej nurtujących społeczeństwo. A więc wobec właściwego mecenasa kultury w poważnym stopniu nie wywiązali się ze swoich obowiązków ani pisarze, ani politycy. I jest to jeden z podstawowych zarzutów w stosunku do tak rozumianej koncepcji ZLP i polityki kulturalnej.

Czy taki właśnie „Iwaszkiewiczowski model” jest nam potrzebny? Związek, którego główne założenie współpracy z władzą państwową polegało na ustaleniu: wy nam dajcie święty spokój, określone środki finansowe i możliwości wydawnicze, a z naszej strony nie wam nie będzie zagrażała. Nie tak to powinno wyglądać, wie o tym każdy, komu jest droga twórczość prawdziwa, a nie tematy zastępcze.

Istniejąca dotychczas taka niezdrowa sytuacja była nawet klarowna. Obydwie strony, z małymi wyjątkami, starały się sobie wzajemnie nie przeszkadzać i unikać konfliktów.

4.

Wydaje się, że obawy części dyskutantów przed powołaniem Związku Literatów Polskich jako organizacji ideowo-twórczej są bezpodstawne. Oczywiście przy założeniu poważnej zmiany w stosunkach na linii władza—twórca. Zmiana ta staje się stopniowo zauważalna i nie może być od niej odwrotu, jeżeli chcemy mieć prawdziwą, rzetelną, walczącą z wypaczeniami socjalistycznej linii rozwoju literaturę. Ale jak ma tworzyć literaturę zwalczającą pojawiającą się na drodze naszego rozwoju wypaczenia pisarz, który nie będzie chciał o nich dyskutować, jak obywatel i członek związku. Jego pogląd na określone negatywne przejawy też musi się rodzić w dyskusji. Jak może on nie przejawiać opinii z pozycji walki o socjalizm, jeżeli sam jej nie zajmie jako świadomy obywatel? W kształtowaniu jego postawy i stosunku do rzeczywistości nie mała rolę może odegrać odpowiednio zorganizowana praca związku.

Przecież i dziś, i w okresie kryzysów, nie te sprawy dzieliły najczęściej pisarzy. Widzimy również bardzo rozbieżne stanowiska nawet w sprawie koncepcji Związku u członków partii. Głównym kryterium postawy członka socjalistycznego Związku Literatów Polskich powinien być stosunek do socjalizmu. Reszta jest mniej istotna, a różnica poglądów wręcz nawet wskazana, gdyż w dużym stopniu oddaje przekrój naszego społeczeństwa — adresata i mecenasa twórczości.

Jedną z głównych przyczyn ubytków w szeregach pisarzy lewicowych (i w ogóle lewicy intelektualnej) — zdaniem A. Minkowskiego — jest dwójność ich roli w realizacji zasad ustrojowych — obrońcy jednych rozwiązań a przeciwników innych. „Obrońcy — gdy te struktury są sprawne, nowoczesne, służą realizacji założeń ustrojowych.

Przeciwniki — kiedy starzeją się, obumierają, przechodzą w swoją odwrotność”.

Zjawisko starzenia i kostnienia struktury, kontynuuje A. Minkowski, jest procesem naturalnym. Ale wtedy trzeba je zmieniać, modyfikować czy też doskonalić. Ale mogą i chcą to zrozumieć wszyscy oprócz tkwiących w tych strukturach aparatu władzy, dla którego ich naruszenie oznacza najczęściej własny upadek, gdyż „wraz z instytucją muszą odejść jej kapłani”. Aparat, niezależnie nawet od zmian kierownictwa, cnie przetrwać. Ponieważ jednak jest siłą wykonawczą, stara się zabezpieczyć przed nieprzejmynnymi dla niego niespodziankami.

Dlatego też nad aparatem władzy, co często podkreśla wielu partyjnych i bezpartyjnych pisarzy, „zgodnie z Konstytucją, stać mają organa przedstawicielskie — ludzie z autentycznym wyborem” (Minkowski). To oni przede wszystkim są w stanie docenić intelektualną odwagę krytykujących niedociągnięcia w naszym rozwoju, a tym samym ułatwić im społecznie aktywne zachowanie. W innym wypadku wygrywa opozycja.

Należy niewątpliwie przeciwstawić się krytykom i politykom, którzy każdy eksperyment, a szczególnie literacki, traktują jako zamach na sztukę ideową, na preferowane przez ustrój socjalistyczny wartości. Posądzanie eksperymentatorów o nihilizm filozoficzny, o negowanie sensu świata, a nawet reakcyjny światopogląd, co podkreślał już ponad dwadzieścia lat temu S. Żółkiewski, może być traktowane jedynie jako ignorancja i niechęć nie się z realiami sztuki.

5.

Nie oznacza to niewolniczego pasjonowania się jedynie eksperymentatorstwem, które często graniczy z bełkotem i „paranoją poetycką”. Siła literatury, jak wiadomo, nie leży w eksperymencie formalnym. Jest on jednak pożądanym dla rozwoju literatury, lecz „tylko o tyle i tylko wtedy, gdy czemuś służy” (Jan Koprowski). Jeśli zaś jest eksperymentem dla eksperymentu, celem samym w sobie — to przestaje mieć znaczenie. Wiadomo przecież, że sam eksperyment nie zda się na wiele, jeśli pisarz nie ma nic do powiedzenia o świecie, w którym żyje on i jego czytelnik.

Zdaniem J. Koprowskiego też „pod sztandary eksperymentu i nowatorstwa kryją się chętnie spryciarze i mistyfikatory (...). Kto nie ma nic do powiedzenia, ten nadrabia sztukaterię i zdołaniem, wymyślnymi konstrukcjami, mową sztucznie spójną, poza którą jakże często kryją się pospolite banały, a nuda wyciera z każdego zdania”.

Uczestnictwo literatury w przyspieszaniu przemian socjalistycznych w naszym kraju, podkreśla bardzo trafnie S. Melkowski, to przede wszystkim rozpętanie przez nią, środkami jej właściwymi, „wszechstronnej dyskusji nad wszystkimi aspektami humanistycznymi tego przedsięwzięcia”. Nie bez znaczenia jest tu, oczywiście i wielostronna dokumentacja ludzkiego wysiłku i zaangażowania. Jest to właśnie tworzenie przez literaturę i proponowanie nowych, coraz bardziej wiążących się z socjalizmem wartości.

Powtarzanie w różnych odmianach rzeczy ustalonych przez polityków jest działalnością wtórną i niewiele ma wspólnego z tworzeniem. Służyć temu może, lepiej i skuteczniej publicystyka upowszechniana przez środki masowego przekazu.

6.

Przez wiele lat tkwili i tkwią chyba nadal w mentalności części pisarzy, krytyków i czytelników dwa wzory literatury. Pierwszy był „wzorem sztuki deklaracyjnej w sposób bezwarunkowy, nie poszukującej żadnych rozwiązań własnych (...) zadania ideowe postawione przed (pisarzem — Z. A.), on ma je tylko propagować, rozwijać, redigować”. Wzór drugi, z kolei, to wzór sztuki wyzwolonej z deklaracyjności jakiegokolwiek zależności od sił zewnętrznych wobec pisarza i od wszelkiej ideologii.

Okazało się, że zbytne zaangażowanie, a trafniej mówiąc zbieżność niektórych autorów, niezbyt dojrzałe służyło sztuce i reprezentowanej przez nich ideologii.

Sztuka tworzona według wzoru „drugiego”, manifestująca bezradność i bezsilność jednostki wobec historii oraz zbieżność aktywnego działania wywoływała na ogół negatywny, pesymistyczny wpływ na świadomość czytelnika. Jednak zdobywanie popularności (na zasadzie kontrastu do poprzedniego okresu) przez ten wzór sztuki miało i ten mankament, że dawało przewagę (głównie wydawniczą) pisarzom dalekim od idei służby społecznej.

I ten wzór w sumie okazał się nie do przyjęcia, gdyż odrywał literaturę od „przemian naszego świata, pogracając ją w pesymizm i bezradność”.

Najlepiej, wydaje się, mógłby służyć wzór trzeci.

7.

Czy nasi pisarze reprezentują świadomość socjalistyczną? Co sami myślą o swej roli w kształtowaniu socjalistycznego społeczeństwa? Jak widzą sprawę socjalistycznych zasad w stosunkach międzyludzkich i postawach etycznych-moralnych? Na to pytanie dziś chyba nikt nie da szczerej i wyczerpującej odpowiedzi. Społeczeństwo niewiele dowiaduje się o poglądach pisarzy z wygłoszonych najczęściej spotkań telewizyjnych i wywiadów prasowych. Autentyczne ich głosy, wypowiadane na przykład na zjazdach ZLP, nie były nigdy w całości prezentowane w środkach masowego przekazu lub wydawnictwach w tym celu przygotowanych. Powstaje rzecz paradoksalna. Właściwy mecenas sztuki, jakim jest społeczeństwo, niewiele wie o tych, których promuje na własnych idoli i doradców duchowych. Tak chyba będzie i po kolejnym Zejeździe ZLP.

ZBIGNIEW ANTOSZEWSKI

DZIENNIKARSKIE MARCEPANY

W dwu kolejnych numerach „Odgłosów” ukazały się publikacje Janiny Wronskiej „Słodka chałka z marcepanu” i „Requiem dla nieboszczki”.

Oświadczam, iż nie mam żadnego zgodzić się z ich treścią. W pierwszym przypadku — na skutek dowolnej interpretacji faktów, niekompetencji, tendencyjnej wymowy artykułu. W drugim — z powodu daleko idących odkształceń treści wywiadu oraz używania obecnej mi konwencji i formy językowej. Informuję, iż artykuł — wywiad nie był autoryzowany.

Łódź, 1986.02.23

BOLESŁAW KARDASZEWSKI

NOWE WŁADZE ZAKR

16 lutego 1986 r. w sali gmachu Stowarzyszenia Autorów ZAIKS w Warszawie przy ul. Hipoteckiej 2 (gdzie zresztą ZG ZAKR korzystał z katedry ze stałej gościny, mając tam swój lokal biurowy) odbyło się Walne Zgromadzenie Sprawozdawczo-Wyborcze Związku Autorów i Kompozytorów ZAKR. Ten związek twórczy skupia blisko sześćset członków w dwóch sekcjach: kompozytorskiej i literackiej — przy czym ostatnio zarysowała się spora ilościowa przewaga osób zrzeszonych w tej drugiej. Są to w większości twórcy uprawiający działalność o charakterze użytkowym, ich utwory służą szeroko pojętej rozrywce: od popularnych piosenek i utworów instrumentalnych poprzez rozmaite formy sceniczne i estradowe czy poezję śpiewaną aż po gatunki ściśle literackie. Ogromna liczba nazwisk z listy członków ZAKR nie wymaga żadnej rekomendacji, bowiem ich pozycja we współczesnej kulturze polskiej jest od dawna ugruntowana; Krajewski, Młynarski, Gątarek, Bryll, Figiel, Kondratowicz, Trzcinski, Osiecka, Matuszkiewicz, Herbert czy zmarły niedawno Iredyński — to tylko niektórzy spośród grupy twórców wymienianych dosłownie jednym tchem przez rodzimych odbiorców muzyki i literatury w różnych ich odmianach.

Walne Zgromadzenie miało istotne znaczenie dla dalszego istnienia i rozwoju Związku Polskich Autorów i Kompozytorów ZAKR. Od pewnego czasu bowiem we władzach związku zaobserwować można było pogłębiający się impas. Dość powiedzieć, że jesienią ubiegłego roku rezygnację złożyli: ówczesny prezes Jan Zalewski, a następnie także — sekretarz generalny Jerzy Andrzej Marek. W tej sytuacji, w porozumieniu z Ministerstwem Kultury i Sztuki, postanowiono skrócić bieżącą kadencję i zamiast w maju — już teraz zwołać Walne Zgromadzenie będące najwyższą władzą ZAKR-u.

W toku wielogodzinnej dyskusji wiele spraw wyjaśniono. Próbowano znaleźć środki zabezpieczające przed występowaniem podobnych kryzysów w przyszłości. Mówcy zastanawiali się, jak zachowując status związku twórczego zadbać równocześnie o czyste bytowe sprawy jego członków. Podniesiono też problem samofinansowania się ZAKR-u oraz wyznaczono kierunki przyszłych działań promocyjnych, wydawniczych, które mogą przyczynić się do szerszego rozpowszechniania Związku Polskich Autorów i Kompozytorów. Rozważano poza tym możliwości ciągłej współpracy z wieloma instytucjami wykorzystującymi utwory członków ZAKR-u, uczestnictwa przedstawicieli związku w ciałach opiniotwórczych. Określono raz jeszcze główne drogi rozwijania działalności statutowej. Podjęto uchwały, które być może w przyszłości przyczynią się do efektywniejszego działania wszystkich struktur ZAKR-u zarówno w sprawach wewnątrzzwiązkowych, jak i na forum kulturalnym w ogóle.

Zebrani udzieliли absolutorium ustępującemu Zarządowi Głównemu, po złożeniu stosownych sprawozdań. Wybrano także w głosowaniu tajnym nowe władze Związku Autorów i Kompozytorów ZAKR na kolejną trwającą trzy lata kadencję.

Prezsem został Janusz Sławiński, kompozytor i aranżer muzyki rozrywkowej, którego utwory ma w swoim repertuarze wielu polskich piosenkarzy. Przed laty — co chyba pamiętać mogą wyłącznie starsi melomani — Janusz Sławiński prowadził (także dyrygował i był instrumentalistą w zespole) w Łodzi ceniony w owym czasie big band pod nazwą „Kanon Rytm”. Funkcję sekretarza generalnego powierzono dotychczasowemu przewodniczącemu Oddziału Warszawskiego ZAKR — Janowi Majdrowiczowi, znanemu przede wszystkim jako autor libretta „Dziękuję Ci, Ewo”, wystawianej przez kilka teatrów muzycznych w Polsce. Wiceprezisi to: Jonasz Kofta (z Sekcji Literackiej) i Andrzej Januszko (z Sekcji Kompozytorskiej). Ponadto dokonano wyboru pozostałych władz związku, tj. Komisji Rewizyjnej i Sądu Koleżeńskiego, a także ustalono składy Komisji Kwalifikacyjnych w obydwu sekcjach.

Nowo ukończone władze Związku Polskich Autorów i Kompozytorów ZAKR przystępują do pracy. Przed Zarządem Głównym sporo trudnych zadań. Pierwsze zebrania odbyły też wybrane niedawno Zarządy Oddziałów, gdyż ZAKR posiada również swoje terenowe oddziały w Warszawie, Łodzi, Krakowie, Wrocławiu, Poznaniu, Gdańsku, Szczecinie i Katowicach.

(kd)

Polemiki • Listy • Opinie

TOWARZYSTWO OPIEKI NAD ZABYTKAMI

Oddział powstał 23 marca 1984 r. z inicjatywy Jana Zienkiewicza i Mirosława Z. Wojalskiego. Członkami TONZ są znani i doczładowali kulturalni, dziennikarze, ludzie nauki. Wszystkich łączy najważniejszy cel — troska o zabytki Łodzi i województwa.

Od ostatniego kwartału 1985 r. Towarzystwo zbiera się na comiesięcznych spotkaniach poświęconych wybranym tematom. W grudniu zajmowano się łódzkimi cmentarzami, w listopadzie — ul. Piotrkowską, w styczniu 1986 r. — budynkiem Klubu Naukowego przy ul. Piotrkowskiej 137 (z piękna mozaiką).

Podczas wspólnych spotkań podjęto wiele inicjatyw. — postanowiono wystąpić do WUSW w sprawie ratowania ostatniego w Łodzi tzw. bocianego gniazda przy zbiegu ul. Piotrkowskiej i Jaracza, do akcji zaangażowano także PGM. Na ścianie domu pod „bocianym gniazdem” pojawi się stosowna tabliczka informacyjna.

— postanowiono uratować rzeźbę baletnicy z parku im. St. Staszica zdemontowaną w 1985 r. w związku z ustawieniem pomnika. Rzeźba będąca własnością UD Łódź-Śródmieście stanie prawdopodobnie przed jedną ze szkół na Widzewie Wschodzie.

— postanowiono zwrócić się o umieszczenie stosownych tablic informacyjnych przed starymi łódzkimi cmentarzami, m. in. przy ul. Ogrodowej i Brackiej. W związku z dewastacją cmentarza żydowskiego będącego obiektem zabytkowym z unikalnymi nagrobkami — działami sztuki kamieniarskiej — postanowiono interweniować w RUSW, UD Łódź-Bałuty, Gminie Żydowskiej i u posła M. Szumieja.

W sprawie cmentarza przy ul. Ogrodowej postanowiono zwrócić się do parafii ewangelickiej z propozycją wspólnego działania na rzecz uratowania najcenniejszych nagrobków. Rozważano jest propozycję powołania społecznego komitetu na wzór Powązkowskiego w Warszawie w celu zdobycia środków i wyremontowania nagrobków zasłużonych dla Łodzi osób. W tym celu planuje się połączenie wysiłków z Tow. Przyjaciół Łodzi, ludźmi teatrów, placówek naukowych, przemysłu.

Podczas styczniowego spotkania w Klubie Naukowym przy ul. Piotrkowskiej 137 członkowie TONZ zapoznali się z fatalnym stanem technicznym tego obiektu. Jak poinformowała nas kier. Klubu Krystyna Weintritt, poddano konserwacji piękną mozaikę zapominającą jednocześnie o dachu i innych elementach tego zabytkowego budynku. Obecnie budovala pozostawia w jednym z pomieszczeń pod mozaiką, istnieje niebezpieczeństwo, iż na skutek niedbalstwa PGM Łódź-Śródmieście (administrator domu) zmatruwany zostanie wielomilionowy trud konserwatorów, którzy uratowali piękną mozaikę. Dom ten powstał w 1907 r. dla E. Kindermanna, mozaikę wykonał we Włoszech w jednym z słynnych, istniejących do dziś zakładów mozaikarskich.

ZNP — jak stwierdzono, należy się troszczyć o obiekt, dbając m. in. o uzupełnienie wyposażenia stylowego, poddając konserwacji drobne detale. Ze względu na ograniczone możliwości ZNP niezbędne jest działanie wspomagające ze strony PGM Łódź-Śródmieście. TONZ zamierza zwrócić się z apelem do kilku łódzkich rzemieślników metalowców z prośbą o udzielenie Klubowi pomocy w postaci wykonania kilku metalowych detali stylowych, np. klamek. TONZ zwróci się do PGM z prośbą o wykonanie prac zabezpieczających, by przez dziurawy dach i balkon nie lała się woda do stylowych wnętrz i nie niszczyła z takim trudem uratowanej mozaiki-ozdoby ul. Piotrkowskiej.

Na lutym spotkaniu członkowie TONZ w Łodzi zapoznają się z nietypowymi w mieście zabytkami związanymi z początkiem i początkiem (muzeum poczty). W najbliższych miesiącach — zabrania w najstarszych łódzkich zakładach (w celu poszerzenia kręgu członków Towarzystwa i propagowania łódzkich zabytków przemysłowych).

Poszukujemy: rękopisu książki Kondka o łódzkich fabrykach złożonego prawdopodobnie do druku.

KTO TO JEST TWÓRCA LUDOWY?

Kogo możemy nazywać artystą ludowym? Jakimi kryteriami należy się posługiwać chcąc wyróżnić artystę ludowego z szeregu twórców profesjonalnych i nieprofesjonalnych?

Dyskusja nad tym problemem trwa już od dobrych kilkadziesiąt lat. W ciągu tego czasu, sztuka ludowa w niektórych wysoko rozwiniętych krajach zachodnich zanika już zupełnie, a i u nas dokonują się w jej granicach zmiany nieodwracalne, nadal jednak trudno jest etnografom, historykom sztuki, socjologom sformułować definicję współczesnego artysty ludowego. Można się w tym miejscu zastanowić, czy formułowanie definicji dla potrzeb nauki jest zasadne w obliczu sztuki tak indywidualnej i pełnej tradycji, jednocześnie, sztuki powstającej jako wynik ogromnej wrażliwości na piękno, sztuki nieuczonej przecież, lecz odczuwalnej jako wewnętrzny nakaz tworzenia, ucieleśnionej w dziele poprzez doznania emocjonalne ludzi świadomie wybierających twórczość, choć wiązało się to często z odcięciem na marginesie społeczności wiejskiej.

Ustalenie zakresu pojęcia „artysta ludowy” jest konieczne z dwóch powodów: po pierwsze — chodzi o to, by otoczyć opieką twórców na nią zasługujących, po drugie — by opieką tą otoczeni byli artyści właściwi, czyli tacy, o których bez wątpliwości powiedzieć możemy, iż tworzą w charakterystycznym dla sztuki ludowej stylu.

Jak sztuka ludowa przetrwa wzmoczone procesy industrialne, czy pomaga jej w tym statuty stowarzyszeń i cała ta sformalizowana machina pojęciowa, przekonamy się za jakiś czas, już dziś jednak można powiedzieć, że niewiele jest krajów w Europie, w których sztuka ludowa przetrwała do połowy lat osiemdziesiątych XX wieku. Polska jest jednym z tych nielicznych państw, gdzie ludowa twórczość jest nadal żywa, można mieć jedynie wątpliwości, czy przetrwała w wyniku aktywności twórców, czy też podtrzymywana opieką państwa.

Teraz, kiedy kultura artystyczna ludu polskiego, jak i sam lud szybko się zmienia i przestaje, inne miejsce zajmuje artysta ludowy w całokształcie kultury ludowej. Przede wszystkim twórcą traci kontakt ze swym środowiskiem, nie jest już potrzebą społeczności wiejskiej, tworzy raczej dla potrzeb odbiorcy miejskiego, dla przedstawicieli różnych środowisk: namiętnych kolekcjonerów, snobów, pragnących mieć coś ludowego w domu na telewizorze, czy wreszcie dla osób które przechodząc obok „Cepelii” przypadkiem zakupią rzeźbę ludową czy obraz. Nie zawsze występuje też emocjonalny związek między pracą a jej wynikiem. Coraz częściej przyczyną podejmowania działań twórczych są materialne korzyści płynące ze sprzedaży rzeźb, obrazów i tym podobnych. Czasem w grę może wchodzić uznanie jakimś ciesz się artysta, prestiż, autorytet, wreszcie sława, która dana jest jak zwykle tylko niewielkiej grupie wybitnych twórców.

Sztuka ludowa pod mecenatem Ministerstwa Kultury i Sztuki, wykorzystywana przez olbrzymiego potentata handlowego, jakim jest „Cepelia”, staje się dziś powoli przemysłem, zatrudniającym setki twórców ludowych zrzeszonych w Stowarzyszeniu Twórców Ludowych. Zarówno Ministerstwo Kultury i Sztuki, jak i „Cepelia” wskazują konkretnie jacy twórcy wchodzi w obszar zainteresowania tych instytucji, ustalając kryteria określające artystę ludowego.

Oto kryteria przyjęte przez Ministerstwo Kultury i Sztuki: 1) pochodzenie ze wsi, małych miasteczek lub przynależność do środowisk robotniczych oraz zachowujących więź ze swymi środowiskami;

2) umiejętności nabyte w drodze bezpośredniego przekazu lub

obserwacji ludowych twórców, a nie w uczelniach plastycznych; 3) niezrywanie w swej twórczości więzi z podstawowymi zasadami myślenia artystycznego, które cechowały tradycyjną sztukę ludową, a tam gdzie funkcja wytworu na to pozwala, nawiązywanie do tradycyjnych wzorów;

4) twórcza modyfikacja tych wzorów; 5) przywileje twórcy ludowego obejmują również artystów samorodnych tworzących poza kręgiem inspiracji sztuki oficjalnej, a pochodzących ze środowisk wymienionych w punkcie pierwszym.

W poczet artystów ludowych zaliczeni tu zostali także przedstawiciele środowisk robotniczych i twórcy samorodni. Warunkiem jednak jest, aby twórcy ci nie byli nadzwyczajnie, a przynajmniej twórcami w kulturze wsi spowodowanymi, że przynajmniej twórcami samorodnymi działającymi w środowisku wiejskim i małym miasteczkiem z całą odpowiedzialnością można zaliczyć do przedstawicieli „sztuki ludowej”.

Trochę inaczej patrzy na te sprawy „Cepelia”: Za artystę ludowego uważa się tu osobę obdarzoną talentem, posiadającą nie nabytą w drodze zawodowych studiów umiejętność warsztatową i czynnie uprawiającą jedną lub więcej dyscyplin plastyki ludowej, w konwencji uznanej za leżącą w tradycji tej sztuki, względnie z niej wynikającą. Twórcę ludowego, który wzbogaca plastykę ludową wnosząc do niej nowe wartości, tworząc dzieła oryginalne, uważać należy za artystę ludowego. Natomiast tych, którzy odtwarzają tradycyjne wzory i formy uważać należy za mistrzów rekonstrukcji artystycznej.

Swego czasu w Instytucie Polskiej Akademii Nauk zorganizowana została przez Zespół Badania Sztuki Nieprofesjonalnej PAN i redakcję Polskiej Sztuki Ludowej dyskusja. Zastanawiano się między innymi nad tym, czy istnienie kultury ludowej równoznaczne jest z faktem występowania w jej ramach sztuki ludowej i folkloru. Następnie próbowano odpowiedzieć: czym jest sztuka ludowa, określić charakter tego zjawiska, dać próby definicji. Ustalić, czy sztuka ludowa jest sztuką dla ludu, czy jest to sztuka o elementach specyficznie ludowych, i czy we współczesnej kulturze narodu uzasadnione jest i celowe posługiwanie się pojęciem sztuki ludowej i w jakim zakresie. W dyskusji, która miała przynieść definitywne rozstrzygnięcia nie sformułowano ostatecznych wniosków.

To, co dziś obserwujemy, to zaledwie szczyt wielkiej i bogatej sztuki ludowej, która „odrzuca” się czasami podtrzymywana i sterowana przez różne czynniki i instytucje, programowana na użytek tych, którzy ją reaktywują, a nie ku zadowoleniu społeczności, z której się wywodzi. Nasuwa się więc pytanie, czy rzeczywistość jest to jeszcze sztuka ludowa?

Do funkcjonalności tego pojęcia bardziej niż kiedykolwiek decyduje instytucjonalizacja. Proces ten prawdopodobnie będzie się pogłębiał, w związku z czym należy się liczyć z takimi zdarzeniami, jakie miało miejsce w Muzeum Etnograficznym w Krakowie, które wraz z Zespołem Dokumentacji Sztuki Ludowej urządziło wykład na temat twórczości ludowej, co zresztą opisuje w swojej książce „Folklor i literatura” Roch Sulima. Otoż kilku znawców przedmiotu dostało do oceny dwie rzeźby dwóch twórców, ale tylko jedna z nich była wykonywana przez twórcę ludowego. Zadaniem było te rzeźby wskazać. Wybrano pracę wyrzeźbioną w tradycyjny sposób, widać, że wykonał ją człowiek z ludu, a nie artysta. Druga rzeźba, wykonana w rzeczywistości przez twórcę ludowego, stowarzyszonego, została błędnie pominięta, ze względu na swoją formę, która niewiele miała wspólnego z kanonem sztuki ludowej.

DARIUSZ WILCZAK

KSIAZDZ, POWSTANIEC, PATRIOTA

Niepostrzeżenie minęła w tym roku 123 rocznica Powstania Styczniowego. Ostatnim żołnierzem i ostatnim wodzem powstania 1863 roku był ksiądz Stanisław Brzóska. W 1985 roku minęła 120 rocznica jego śmierci. Ujęty 29 kwietnia 1865 roku wraz ze swym adiutantem — Franciszkiem Wilczyńskim, kowalem z Łukowa, został skazany na śmierć przez powieszenie. Obaj, w publicznej egzekucji, zostali straceni na rynku w Sokółce Podlaskiej, 23 maja 1865 roku. Ciało ich wywieziono do Brześcia i pogrzebano w nieznanym miejscu na terenie fortów twierdzy brzeskiej.

Stanisław Brzóska urodził się w powiecie bielsko-podlaskim. Po ukończeniu szkół średnich, w wieku 17 lat podjął studia medyczne na uniwersytecie kijowskim, które po dwóch latach przerwał, uznając, że jako ksiądz łatwiej będzie mógł krzewić ducha patriotyzmu wśród ludu. Wstąpił do seminarium duchownego w Janowie Podlaskim. Wyświęcony na księdza w 1857 r., został wikarym w Sokółce Podlaskiej, a następnie w Łukowie. Za głoszenie patriotycznych kazań był więziony w twierdzy w Zamoczu. Zwolniony z więzienia nie zaprzestał patriotycznej działalności: przystąpił do przygotowania powstania zbrojnego, angażując się po stronie lewicy patriotycznej — stronnictwa „Czerwonych”. Mianowany cywilnym naczelnikiem powstania na powiat łukowski, w styczniową noc z 23 na 24 doznał Brzóska oddziałem atakującym koszary carskich wojsk w Łukowie. Następnie walczył pod dowództwem Lewandowskiego, Borelowskiego i Krysińskiego. Tymczasowy Rząd Narodowy mianował go naczelnym kapelanem wojsk narodowych i nadał mu stopień generała. Dwukrotnie ciężko ranny, po wyleczeniu rąk powrócił Stanisław Brzóska do oddziałów powstańczych, a po rozbięciu oddziału Krysińskiego tworzył własny oddział (jak określano wówczas — „partię”) i przez dwa lata nieustannie szarpał wroga dokonując licznych rajdów na terenie powiatów łukowski i siedlecki. Równocześnie egzekwował przestrzeganie prawa noszącego pańszczyznę, czym zaskarbił sobie szacunek i miłość chłopstwa, ale także niechęć ze strony możnej szlachty, od której ściągano podatki i daniny na rzecz powstańczego wojska. Za nieuhonorowanie dekretu Rządu Narodowego noszącego pańszczyznę, odmowę płacenia podatków i wydanie władzom carskim wspomagającego powstanie księdza Lewandowskiego z Seroczną, rozkazał Stanisław Brzóska powiesić dziedzica Teodora Rudnickiego.

Działalność księdza Brzóska (który po sformowaniu własnego oddziału przybrał pseudonim „Brzeziński”), spotkała się z nieprzychylną oceną hierarchii kościelnej. Biskup diecezji podlaskiej ks. Szymański wydał 31 grudnia 1864 r. list pasterski, w którym m. in. pisał (cytuje za Haliną Dudową „Uroczysko dwóch pomników” — KiW 1974 r.): „Byliśmy od dawna przekonani, że ks. Brzóska dla uniknięcia kary, jaką za zbrodnie obrazy majestatu monarchy na siebie ścigał, schronił się za granicą — tymczasem w dyktanda boleśnią serca naszego otrzymaliśmy tymczasem J. W. Przewodźcę Głównego (...), że ksiądz Brzóska utrzymuje się jeszcze w diecezji naszym poruczoną zarządowi (...). Skądinąd doszła nas wiadomość, że się wstrząsnął, iż tu i ówdzie za pojawieniem się włościanów kryjących się przed ścigającymi ich wojskami, wielu spokojnych mieszkańców uległo strasznemu karom (...) wy dla przedłużenia nędznego życia tych, których kara osiągnąć musi prędzej czy później, nie możemy i nie powinniśmy wystawiać siebie na zgubę niechcyną, dzieła waszych na nędzę, a całej odczyny waszej odbierać nadzieję przebaczenia Monarszego, które dopiero następnie nie może, dopóki zupełnie spokój przywrócony nie zostanie i posłuszeństwo prawom...”

I chyba dla rozwiania wszelkich wątpliwości i wahania przed zdradą powstańczego generała i jego żołnierzy, biskup pozwał Stanisława Brzóska do sądu kapłańskiego, pisząc dalej w cytowanym liście pasterskim:

„...kto dla zachowania swego zdrowia i życia poświęca zdrowie i życie bliźnich, ten nie jest pasterzem, ten sam, dobrowol-

nie, wyrzekł się świętego powołania i powinności kapłańskiej. Nie stawiając tamy usłowniom rządu, bo i winnych nie oceniać i sami na wieczną narażać się zgubę”.

List pasterski został ogłoszony z ambon całej podlaskiej diecezji. Jednakże jego wezwania nie znalazły posłuchu wśród podlaskiego ludu. Właśnie prosty lud do ostatka wspierał i chronił swego ostatniego powstańczego wodza.

Jesienią 1864 roku Stanisław Brzóska, z nieliczną już garstką swoich towarzyszy przemieścił się na teren powiatu sokółskiego, gdzie jako wikary rozpoczynał swą pierwszą, duszpasterską pracę. Pozbawiony łączności z władzami powstańczymi w Warszawie, nie wie, że aresztowanie i stracenie w sierpniu 1864 r. w warszawskiej Cytadeli dyktatora powstania — Romualda Traugutta — stanowiło w istocie kres powstania. Liczył, że po przetrwaniu zimy, na nowo wiosną sformuje oddział i na nowo podejmie walkę. Wierzył, że kraje Europy nie pozostaną obojętne i wesprą zmagania powstańców z zaborcą.

18 grudnia 1864 roku, we wsi Sytyki, gdzie ukrywał się u siostry Bielinskiej, napisał Stanisław Brzóska swój ostatni raport do Rządu Narodowego. Raport, z którego wynika jego nieświadomość co do sytuacji ogólnej, ale również gorąca wola dalszej walki, wiara w możliwość skutecznych działań zbrojnych, a także troska o powstańców — żołnierzy, nad którymi sprawował dowództwo.

Raport ten, wysłany przez łączniczkę Antoninę Konarską (córkę woźną z guberni płockiej), nie został doreczony „Wysokiemu Rządowi Narodowemu”, bo rząd ten już nie istniał. Konarska, aresztowana przez wojsko carskie, po wielu przesłuchaniach, ujawniła miejsce, gdzie ze swym adiutantem ukrywał się generał Stanisław Brzóska. Tam, we wsi Sytyki, w powiecie sokółskim, po stoczeniu swej ostatniej walki, ranny w lewą rękę, został ujęty ks. Stanisław Brzóska, a z nim Franciszek Wilczyński. Po dwutygodniowym śledztwie, za to, że „...od początku powstania brał w nim udział, że prowadził zbrojną walkę z wojskami rosyjskimi, przewodził oddziałom powstańczym (...)” znośił się z Rządem Narodowym i po stłumieniu powstania „przedłużał swoją działalność, a w chwili pochwycenia stawiał opór z bronią w ręku...”, został Stanisław Brzóska skazany na śmierć przez powieszenie. Na taką samą karę skazano Franciszka Wilczyńskiego.

W miejscu, gdzie stały szubienice, w Sokółce Podlaskiej, stoi dziś granitowy obelisk, wzniesiony w 1925 roku przez miejscowe społeczeństwo. A po zniszczeniach dokonanych przez hitlerowców w czasie ostatniej wojny (zagrabiono odlane z brązu elementy pomnika) — także społecznym wysiłkiem — odtworzono w 120 rocznicę śmierci ostatniego Wodza i Powstańca, Styczniowego Powstania 1863 roku.

PIOTR SIKORSKI

„KLUB SATYRYKA”

przy Wojewódzkim Domu Kultury w Sieradzu oraz redakcja tygodnika „Nad Wartą” ogłaszają konkurs na rysunek satyryczny pod hasłem: „Już wiosna — uśmiechnij się...”

Do udziału w konkursie zapraszamy wszystkich, których zbliżająca się pora roku nastroja optymistycznie, sceptycznie czy złośliwie, a przy tym wszystkim nieodparcie zmusza do chwytania za mazak lub piórko dla odgryzienia się poważnemu światu poprzez rysunek, bohoma lub bażroł, mający charakter satyryczny.

W konkursie może wziąć udział każdy, kto wykona czymś czarnym (mazakiem, węglem, a najlepiej tuszem) na czymś białym (najlepiej kartonie o formacie nie większym niż A-4) rysunek satyryczny tematycznie mniej lub bardziej luźno związany ze zbliżającą się nieuchronnie porą roku, świętami, budzącą się do życia przyrodą itp.

Prace, podczas oglądania których specjał „wudekowsko — nadwarciański” jury najbardziej się uśmieje lub popadnie w najgłębszą filozoficzną zadumę — zostaną sownie nagrodzone.

I nagroda to 5 tys. zł, II — 3 tys. zł, III — 2 tys. zł oraz kilka równorzędnych wyróżnień po 1000 zł. A wszystkie one ufundowane zostały przez Wojewódzki Dom Kultury w Sieradzu.

Ponadto:

— najciekawsze prace zostaną zamieszczone w specjalnym, wiosenno-świątecznym wydaniu tygodnika „Nad Wartą” i uhonorowane według obowiązujących stawek dziennikarskich, — plan konkursu zostanie wystawiony — dzięki uprzejmości gospodarzy sieradzkiej księgarni przy al. Pokoju — na publiczne posiewisko.

Rysunki (dowolną liczbę i nigdzie wcześniej nie publikowane) należy przynieść, przysłać lub nadsyłać (dobrze opakowane) pod adresem redakcji „Nad Wartą” 98-200 Sieradz, ul. Armii Czerwonej 15 — do 7 marca 1986 r.

Na odwrocie każdego rysunku winno być podane godło autora, a w załączonej zamkniętej kopercie nazwisko i adres (do wiadomości redakcji).

Wyniki konkursu zostaną ogłoszone na łamach wspomnianego świątecznego wydania tygodnika „Nad Wartą” 27 marca 1986 r. (n)

LAKA

Odbędzie się 13, 14, 15 marca 1986 r.

Zapraszamy do udziału w następujących konkursach dla amatorów:

— literackim (literacka twórczość satyryczna, przydatna jako repertuar kabaretowy), — turniejem improwizacji satyrycznej na zadany, wylosowany temat, — plastycznym (rysunek, fotografia satyryczna), — przeglądzie kabaretów amatorskich.

Warunkiem uczestnictwa w konkursie plastycznym i literackim jest złożenie prac opatrzonych godłem w DDK Łódź-Śródmieście, ul. Bucza 17/19 w nieprzekraczalnym terminie do 28 lutego 1986 r.

Do prac winna być dołączona zaklejona koperta opatrzona tym samym co praca godłem, a zawierająca informacje o autorze (imie, nazwisko, adres). Ilość prac i ich wielkość dowolna. W turnieju improwizacji satyrycznej może wziąć udział każdy uczestnik konkursu literackiego. Tradycyjnie w turnieju improwizacji uczestniczą wszyscy laureaci tego konkursu.

Warunkiem uczestnictwa w przeglądzie kabaretowym jest złożenie w nieprzekraczalnym terminie do 28 lutego 1986 r. ocenzonego scenariusza 25-minutowego spektaklu kabaretowego, adres informacji o zespole wykonawców (nazwa, nazwisko, adres, telefon kierownika lub lidera grupy, nazwa zespołu), a także dotychczasowej działalności.

W Łódzkiej Akcji Kabaretów Amatorskich LAKA 86 mogą brać udział amatorzy z innych województw. Organizatorzy nie pokrywają jednak kosztów uczestnictwa tak zespołów, jak i uczestników indywidualnych. Organizatorzy mogą jedynie pośredniczyć w zarezerwowaniu noclegów i wyżywienia.

GRAND PRIZ w każdej specjalności — WIELKA PINEZKA oraz nagrody i wyróżnienia pieniężne na ogólną kwotę 60.000 zł, a także udział w nocnych biesiadach:

— literackiej — „Biesiada Satyr i Humoru”, — kabaretowej — „Panopticon Humoru”.

Szczegółowych informacji udziela: DDK Łódź-Śródmieście, ul. Bucza 17/19, tel. 78-15-14 i 78-45-84.

Stary Lepir nie mieszkał, niestety, sam. Wynajmował maleńki pokój w domu, gdzie mieszkali jeszcze trzy rodziny i kiedy Log rozmawiał ze starcem zawsze przeskakał mu szum za ścianą, głosy, śmiech, a nawet krzyki. Poza tym tam za ścianą, jeśli się chciało, można było usłyszeć z pewnością nawet szept i Log nie wiedział, jaka część ich rozmów z Lepirem docierała do starszyny. Lepir już ponad rok nie opuszczał swojego pokoju, na starość całkiem oślepił, ale ślepotą nie ciążyła mu, orientował się świetnie, ale widok jego zaciągniętych bielmem oczu był dla Loga nie do zniesienia.

— Myślałem, że już dzisiaj nie przyjdiesz — powiedział Lepir, poznawszy kroki.
— Był tu Wędrowiec — powiedział Log.
— Wiem, — Lepir zaczął szeptać. — Przez cały dzień wszystkiego się tu nasłuchiwałem. Przyszedł i poszedł... Rozmawiałeś z nim?

Log opowiedział całą rozmowę, starając się przypomnieć nie tylko słowa, ale i intonację.
— Kiedyś i ja także — westchnął Lepir. — Ale żeby tak, od razu, odejść... Nierozsądny człowiek z tego Petrina zginie. Pomarańczowa mgła, tak... Pięknie. I pomyśleć, że ludzie marują się dla piękna. Co za różnica jakiego koloru jest mgła?

Log milczał zaskoczony. To był dzień pełen niespodzianek. Teraz wstrząsnął nim stary Lepir, który, na ile Log pamiętał, z upojeniem wspominał swą jedyną Wędrowkę, trwającą osiem długich dni.

— Aha — wyszeptał Lepir — myślisz, że zduriałem na stare lata. Nie, po prostu myślisz... Dla jednego tylko piękna nie warto odchodzić. Jeśli szukasz niespotykanego piękna — pomarańczowa mgła powiada, że przecież wiesz co chcesz znaleźć. Nie? Wyobraź sobie. Ale wtedy i szukać nie warto. Wyobraź sobie pomarańczową mgłę i na pewno w wyobraźni będzie ona piękniejsza, niż w rzeczywistości. Prawda? Iść należy tylko wtedy, kiedy nie wiesz co znajdziesz. Oto dlaczego tak mało jest Wędrowców. Wszyscy wszystko wiedzą. Wiedzą, że za dnia jest jasno, a nocą ciemno i tak jest wszędzie. Wiedzą, że Głos Nieba zabiera część plonów, zostawiając nam tyle, żebyśmy nie umarli z głodu. I tak jest wszędzie. Prawda? Wiedzą, że nowe noże, siekiery pojawiają się na drodze, kiedy chce tego Głos. Dlaczego się pojawiają? Wiedzą i to: Głos daje je w nagrodę za nasz plon. My wszystko wiemy. Po co więc wędrować? Co?

— Szukać piękna — z przekonaniem powiedział Log. — Wyobrażam sobie pomarańczową mgłę, ale jeśli to co znajdzie okazać się niewiarygodnie piękniejsze?

— Mimo wszystko — szukać nie piękna, lecz wiedzy — ledwie słyszalnie powiedział Lepir. — Nowa wiedza. Niech więc to będzie wiedza o nowym pięknie. A czyż po to, by dowiedzieć się czegoś nowego, Log trzeba koniecznie dokądś iść? Powiedz, czy tutaj, w osadzie, nie możesz nasycić swej żądzy poznania nowego?

— O osadzie wiem wszystko — usmiechnął się Log — i to między innymi dzięki tobie, Lepir.

— Tak, nauczyłem cię, czego tylko mogłem. Ale co jest głęboko pod ziemią, głębiej niż najgłębsze studnie? Ale co jest w ziarnku piasku, tak małym, że nasze oko nie może go zobaczyć?

— Tak — powiedział Log, zdecydowawszy się w końcu odkryć przed Lepirem część swojej tajemnicy, nie całą, nie tyle, żeby starzec zrozumiał, ale część, aby usłyszeć odpowiedź.

— Tego nie wiem. I nie wiem jeszcze co jest tam, wysoko nad głową, ponad drzewami, ponad domami.

— Głos — powiedział starzec. — Głos, niebo i światło. Gdyby nie było Głosu — nie żyłbyśmy, gdyby nie było światła — ziemia byłaby bezpłodna.

— A jeśli tam skąd przychodzi światło i gdzie żyje Głos, mgła nie jest szara a pomarańczowa?

— Ty znów o tym — z irytacją powiedział starzec. — Wyrosłeś Log. Przedtem słuchałeś mnie, a teraz — siebie.

Log przemilczał to, wydawało mu się, że słyszy jakiś ruch za cienką ścianką. Zbyt głośno rozmawiali — pomyślał. — I nie o tym co trzeba. Nie takie rozmowy przyjeżdżają prowadzić w osadzie. O orze i siewie. O remoncie domu. O rzemiośle. I oczywiście nie o pięknie czegoś nieosiągalnego.

Log dotknął reka chudego ramienia starca, przyswar do niego w ciemności, zaszeptał: — Wędrowiec Petrin to odważny człowiek, ale on nie tam szuka piękna. A ty, Lepir, nie tam szukasz wiedzy. Ani w dwóch, ani w trzech, ani w tysiącu dniach Wędrowki nie ma niczego nowego — przecież sam byłeś Wędrowcem i Petrin mówił to samo. I pod ziemią nie ma niczego nowego. I ty i Petrin, i mój ojciec — wy wszyscy powtarzaliście się nawzajem. Jeden szukał nowego piękna, drugi — nowej wiedzy, trzeci — lepszego życia. I nikt nie znalazł i nie może znaleźć dlatego że sami są sami. Dlatego co i wielu przed nimi. A trzeba inaczej. Całkiem inaczej rozumiesz? Żeby zobaczyć piękno takiego nikt nie widział, żeby poznać to czego nie wie nikt, trzeba przecież i zrobić to, czego jeszcze nikt nie zrobił.

— Coś ty wymyślił, Log? — szeptał Lepir zdziwiał trwogą. — Nie rozumiem cię. Mówisz dziwne rzeczy i dobrze jeśli to mówisz tylko mnie. Nie zapominaj o Prawie, Log...

Przyszli do niego wczesnym rankiem. Log zdążył nakarmić małą i ubrał się, żeby iść w pole. Wtedy do domu wszedł parę osób, z których jedna sadyła go głosem była starosta. Log nie myślał się chować.

— Słowo daje Log — powiedział starosta, widać mu ręce. — Jesteś niezdolny jak dziecko. Uprzedzałem cię... Ale to nie, kara jak

myśle, nie będzie surowa. Stajesz przecież po raz pierwszy przed sądem starszyny.

I wtedy rozległ się Głos. Wypłynął z porannej ciszy, powstał z mgły, w ciągu kilku chwil zgęstniał, nabrał mocy i zagrział ogłuszającą nad samą głową, odbijając się od ścian dachów, od wszystkiego co napotykał na swojej drodze i nawet w głowie Loga Głos odbijał się i nasilał wielokrotnie, niski i władczy, przyzywający i odstraszający. Głos Nieba.

Wszyscy zamarli. Ledwo słychać było w tym huk wykrzykiwane przez starostę słowa modlitwy, a Logowi zaschło w gardle, milczał, myśląc przerażony, czyja teraz kolej umierać. Przecież nie po plony zjawili się Głos o tej niezwyklej porannej porze! Czy to nie po staro Lepira? O sobie Log nie pomyślał. Dopiero po tym jak Głos umilkł, rozplątał się we mgłę, po tym jak ręce starosty nieoczekiwanie twardo złapały go za łokcie i pociągnęły do niewidocznych we mgle drzwi na ulicę, dopiero po tym jak zakrzyzczała matka, a malcy, płacząc się pod nogami, zaczęli ryczeć prawie tak głośno jak Głos, dopiero po tym wszystkim

PAWEŁ AMNUEL

Ponad góry, ponad chmury, ponad niebo...

już na ulicy. Log pomyślał, że pojawienie się Głosu zostało przyjęte i przez starostę i przez wszystkich którzy z nim przyszli jako potwierdzenie: jego, Loga, kara sprawiedliwa.

Do ziemianki, do której sadzano winnych i pokutujących Log doszedł sam. Droga znalazł nie gorzej od innych, mgła trochę się przerzedziła i Log widział nawet ramiona dwóch ludzi idących obok niego. Pozwolił wpełznąć do ciasnego pomieszczenia, gdzie miejsca wystarczało tylko dla nar, a w otwor nad głową można było wsunąć rękę, a nawet głowę, ale nie więcej. Drzwi zatrzasnęły się, skrzypnęła zasława i głos starosty powiedział:

— Sądzić będziemy cię jutro. Myśl i żałuj za grzechy. Log, Oto twoje przewinienie wobec Prawa; sięgnąłeś po zakazane i chciałeś naruszyć zasady.

Kroki uciekły, Log przysiadł na narach, pociecił była wilgotna, ale innego miejsca nie było. „Oczywiście, — pomyślał Log — wczorajsze rozmowy doszły do uszu starszyny. I z Wędrowcem i z Lepirem. Ale za buntownicze chęci kara miesięczna pokuta. A potem będzie prowadził dalej swoje prace. Jeśli tylko... Nie, nie powinni znaleźć jego poletka. Ale kto zdradził? Kto słyszał ich rozmowy? Z Wędrowcem — cieśla Walenty, A z Lepirem?

— * * *

Dzień mijał. Log nie nudził się, rozmyślał. Po raz pierwszy rozmyślał tak bez pośpiechu, odmierzając wolny czas nie szczyptami, a całymi garściami. Pod wieczór pojawił się starosta, opuścił przez okienko polewkę i poczekał aż Log nasyci się.



Rys. Janusz Szymański-Głanc

— Jutro zbierze się rada starszych — powiedział starosta. — Jeśli opamiętałeś się, to okaże ci, oczywiście, łaskę i naigorsze co ci grozi to rok zamknięcia.

Rok?! Rok w tym worku z ziemi i wypuszczać będą tylko w pole dlatego, że pracować powinni wszyscy. A co z matką? Co ze starym Lepirem? A poletko? Znajdą je i wtedy — nowa kara, jeszcze surowsza. Wszystko przepadnie. Wszystko i tak przepadło. Żeby żyć z ludźmi, trzeba być takim, jak oni, jak wszyscy, jak każdy. A jeśli chcesz czegoś innego, czegoś o czym nie wolno nawet pomyśleć? Wtedy — do jamy. Zachciało się pomarańczowej mgły? Będzie i pomarańczowa, i zielona w kropki. We śnie.

Starosta odszedł nie doczekawszy się od Loga jasnej odpowiedzi. Jego głos i kroki dawno ścisły, a Log wciąż siedział nieruchomo jakby przymarzył, choć letnia noc była ciepła. Trzeba było odejść — myślał Log. — Z Wędrowcem Petrinem lub samemu? Jakież z niego głupiec! Chciał zbyt wiele naraz i stracił wszystko. Przez rok nigdzie nie będzie mógł odejść, będą

prawdy, są oprócz tego wszystkiego rzeczy, dla których warto żyć. Miłość na przykład. Miłość, która sercem pojęła, że dla Loga koniecznością istnienia podporządkowanym Prawu.

Log myślał o tym i rzy ciekły po policzkach po raz pierwszy od paru lat, on dawno zapomniał, że potrafił płakać i płakał nie nad sobą, a nad Leną, która zostanie w osadzie i będzie go kochać nawet wtedy, kiedy on być może umrze gdzieś w polu lub na obczyźnie. Log myślał o tym a ręce same robiły wszystko co trzeba. Złapały narzędzia, zaczęły rozbijać siekiera i wrzucać łopatka kamień i piasek, poszerzając otwór okna, a ziarenka piasku i kamyczki sypały się na Loga, w oczy, usta, za karkiem. W noc przed sądem starszyny więźnia nie wolno było strzec — zanim będą Loga sądzić ludzie pozostawali więźniami Głosu Nieba. I jeśli nie wykorzystają okazji teraz, ucieczka później będzie niemożliwa. I Lena, kochana Lena, zrozumiała to wcześniej nawet niż sam Log.

Otwór nad głową był dostatecznie duży i Log z pomocą Leny wyszedł z jamy, upadł na ziemię ciężko dysząc, a ona strzepywała z jego twarzy i ubrania piasek, jakby to było teraz najważniejsze i całowała Loga w brudne policzki.

— No — powiedziała potem. — To worki z prowiantem. To — twój, a to mój.

I dopiero po tych słowach Log zrozumiał sens jej czynu, dużo bardziej nierozsądnego, niż mu się wydawało z początku. Lena chciała odejść na Wędrowkę razem z Logiem. Być z nim jeśli nie tutaj to tam, jeśli nie tam to nigdzie. Log przytulił dziewczynę do siebie, szeptał jej to, co dawno chciał jej powiedzieć, a nie mógł się tylko zdecydować. Słowa, które były prawdą jeszcze minutę temu, a teraz stały się tylko środkiem uspienia podejrzeń Leny, dlatego, że wziął jej ze sobą Log nie mógł. On wcale nie chciał zostać Wędrowcem, powtarzał bezsensowne wyczyny Lepira i Petrina. Jego droga była inna. Teraz lub nigdy.

Wrzucił na plecy obie sakwy i starając się przypomnieć sobie drogę do swego asekuracyjnego palika, przysiadł się nisko ku ziemi macając w zupełnej ciemności kierunki ścieżek. Lena szła z tyłu trzymając koniec linki związanej z jednej z sakw.

W osadzie było cicho, ludzie spali, przez mgłę nie przenikał żaden prorynek. Logowi wydawało się, że strasznie długo nie można znaleźć swojego palika, że zaraz przejaśni się i zaczyna go szukać. Lena milczała i Log wiedział, że męczy ją jedno pytanie: czego oni szukają? Pojść na Wędrowkę można przecież w dowolnym kierunku i z dowolnego miejsca, choćby od tej ziemianki.

Oto on, palik. Oto jego, Loga, nacięcie, oto jego, Loga ubezpieczająca linka, prowadząca na poletko. Log zaczerpnął tchu i odwrócił się do Leny. Musiał ją teraz zdradzić i to była jedyna szansa na uratowanie ich obojga.

— Lena, kochanie — powiedział Log, objawsz dziewczynę, czując jak sam słabnie. — Lena, cudna moja, nie może odejść tak u prostu muszę do domu na króciutko. Wziąć coś. Ty też idź do siebie i wracaj o świcie. Wszystko będzie w porządku. Mamy czas. No... zapamiętaj palik i drogę.

Lena wyczuła podstęp w decyzji Loga, ale milczała. Jeśli już zdecydowała się być z Logiem, to powinna robić wszystko co on powie, nie pytając bez dyskusji. Kiedy kroki Leny ścisły w głuchej ciemności, Log pozwolił sobie na chwilę odprężenia. Opadł na mokra ziemię, oparł łokcie o sakwy, zamknął oczy, odpoczywał. „Teraz, — pomyślał, — Teraz zdarzy się to, dla czego żyłem ostatnie pół roku”.

— * * *

Pół roku temu — była zima, wszystko wokół było matowo-białe od osiadającego z mgły na ziemi szronu — Log zabnął orzypadkiem na puszczonym polu. Ziemia tu nie rodziła wcale żdźbły były nieprzyjemne w smaku i pole opuszczone, chociaż każda działka była w cenie. Linka asekuracyjna ciągnęła się za Logiem, swobodnie odwijając się ze szpulki u pasa. Było zimowo święto Dziekczynienia i wszyscy siedzieli w domach, piekli ciasto, czekali na wielką wieczorną modlitwę. Pole zalegała nieobjęta cisza, jakaś głucha, bezdenna. Przenikał mróz, ale Logowi było dobrze. Wracać przed początkiem modłów nie chciało mu się i wybiegł z licznymi kieszeniami wziętą na wszelki wypadek trąskę i kamienie, wykrzesał ogień, rozdmuchał go i przykucnąwszy wyciągnął nad ogniskiem ręce. Ogień był purpurowy i ingla, przez którą przeświecał, wydawała się pomarańczowa. Pomarańczowy obłoczek kiełbacy się i rwący się ku górze. Ręka też odczuła ten ruch mgły i umysł Loga, jasny i niczym nie skrepowany, po raz pierwszy odnotował ten ruch ku górze jako coś realnego. Do góry, — pomyślał. — Do góry. Coś w tym jest? W kieszeni zaplała się skrawek materiału. Log rozpostarł go na dłoni i potrzymał nad ogniem wypuścił z rąk. Płótno zaczęło opadać, ale na moment zawisło, a potem nawet uniosło się odrobnie do góry, wolno — wolniutko... i spadło. Zginęło w płomieniach, zleżało. Log patrzył jak ogień przygasa. „Oto w czym rzecz, — myślał — Ogień to siła, która ciągnie do góry płótno. Nie, nie płótno. Ogień z jakiegoś powodu pcha do góry mgłę a mgła ciągnie za sobą skrawek materiału... Czyżby żaden z Wędrowców wcześniej na to nie wpadł? W górę. Unosić mgłę w górę”.

C.D.N.

Tłumaczyła:
EWA DĘBSKA

1

Nagle zastępstwo

Ale kino! (nocne)

Sprawa trwa już parę tygodni, a rozstrzygnięcia nie widać — mianowicie kierownictwo TV nie zdecydowało się na to, czy ma pozwolić telewizorom na oglądanie specjalnych programów filmowych dla „bardzo dorosłych widzów”.

Kierownictwo jak kierownictwo, zrobi jak uzna za stosowne. Ale te dyskusje!

Odnoszę wrażenie, że znaczna część właścicieli telewizorów nie orientuje się, że każdy, kaździuteńki telewizor ma wmontowany taki zmyślny interes, przy pomocy którego można go wyłączyć. No bo jak zrozumieć głos w rodzaju (cytuje list grupy telewizorów za magazynem „Antena”): — „Jesteśmy właścicielami bardzo dorosłych i nie życzymy sobie tego oglądać”. Ludzie, którzy mają świadomość, iż ich telewizor jest przeznaczony dla „bardzo dorosłych widzów”, nie chcą takiego nie mogliby napisać. Chyba że... tak, tak, chyba że wcale nie chodzi im o to, żeby tego nie oglądać, a tylko o to, żeby ktoś tego nie oglądał. I nie o własne, nieletnie dzieci chodzi. Im przecież mogą zabronić...

Pora wyjaśnić, co to jest „to”, czego dorosli widzowie nie chcą oglądać. Otóż są to filmy wchodzące w kanon klasyki światowej. Filmy — słusznie lub nie — uznane za dzieła albo przynajmniej bestsellery. Filmy, o których każdy w Polsce słyszał i czytał, ale prawie nikt ich nie oglądał...

Niestety, mają one pewną wadę (?) tj. znajdują się w nich tzw. momenty i o te momenty właśnie chodzi, a nie o wartość artystyczną i społeczną, czego zresztą grupa „dorosłych widzów” nie ukrywa.

Nie mogą oprzeć się wrażeniu, że ci „dorosli widzowie” chętnie by te filmy, a zwłaszcza momenty oglądali, a może już oglądali na video, ale z dziwnym uporem nie chcą dopuścić, żeby im je obejrzało...

Jeszcze inna grupa telewizorów protestuje przeciw filmom z momentami z pozycji moralistów społecznych. Twierdzą oni (też przytaczam za magazynem „Antena”), że prezentacja tych filmów zaszkodzi sprawie... odnowy moralnej społeczeństwa. Jest to, proszę państwa, sposób myślenia znany już ze słynnych opinii oca Pirożńskiego. Metoda ta jest nadal żywa — na ekranach można bez trudu znaleźć obrazy przemocy, rozlew krwi i wszelkiego innego okrucieństwa dozwolone dla widzów nieletnich oraz dobrodusznego kawałka moralnego, jak sam Edmund de Amicis, których młodzieży oglądać nie wolno albowiem jest w filmie scena, w której bohaterka kąpie się na golasa w jeziorze...

Ale cóż tu szukać przykładów aż w cenzurze filmowej. Przecież znaczna część moich droższych złomków i współobywateli słowo „moralność” rozumie tylko i wyłącznie jako określenie, oparty na wstrętności seksualnej. Podobnie rozumie się u nas słowo „cnota”. Nie istnieją we współczesnej polszczyźnie takie zestawienia słów jak „cnota cierpliwości” czy „cnota tolerancji”. Skądże, każde dziecko wie, że cnota, to jest taki kawałek tkanki...

Obronę moralności obawiają się — jak sadze — że widać, zwłaszcza ci młodzi, będą naśladować ekranowych bohaterów. W czym naśladować? Ano, uprawiać miłość cielesną

Jak dowodzą najstarsze źródła pisane, grzeszna miłość cielesna, zdecydowanie pozamałżeńska a czasem i niepełna naturalna towarzyszy ludzkości od

czasów grubo starszych niż wyłazek braci Lumière... Tymczasem, rzeczwiście, film i telewizja mają poważny wpływ na zachowania młodych ludzi, kształtują metodę konfekcyjną i obyczajową, lansują wzory zachowań. Oto klasyczny przykład, ilustrujący, jak daleko sięga wpływ filmu: „Popiół i diament”, który wszedł na ekran — jeśli mnie pamięć nie myli — w roku 1958, miał wielki wpływ na młodzież. Chłopcy masowo nosili ciemne okulary, natomiast nie zanotowano ani jednego przypadku próby zamachu na funkcjonariusza partii. A przecież każdy przyna, że zamach miał w tym filmie dużo większe znaczenie niż okulary Zbyszka Cybulskiego. Tak to film kształtuje obyczaje.

Jaskółka programu tv dla bardzo dorosłych był wyświetlany chyba przed rokiem film „Ostatnie tango w Paryżu”. Zgadza się, dość śmiały obyczajowo. Cóż z praktyk, ukazanych szczerze na filmie, może zastosować nasza młodzież? Użył masła do celów pozakonsumpcyjnych? Czy wykorzystanie pustostanów jako miejsca schadzek?

„Ostatnie tango w Paryżu” to święty (choć już nieco archaiczny) film. Natomiast różne „Niewolnice Isaury” czy „Powroty do Edenu” to wierutne knoty, moralne aż do obrzydzenia. A telewizorom potrzebne są jedne i drugie...

Spróbujmy zresztą wyjść spoza mętnych i niepewnych kryteriów moralnych i estetycznych. Zastosujmy konkretne kryteria ekonomiczne: Mamu kłopoty energetyczne. 15 milionów telewizorów włączonych w szczyte, to jest coś! Nie emitować żadnej Isaury, puszczać wyłącznie „Kaligulę” i „Emanuelle”. Oglądać będzie garstka zwyrodniałców. Miliony prawdziwie moralnych Polaków wyłącza odbiorniki. Czysty zysk... A może nawet, korzystając z wolnej chwili, wykopać się?

ANDRZEJ KAROL

2

Opowieści wschodnie

Koński szowinizm

Wszystko zaczęło się od nazw ulic i placów stolicy Perszeronii. Na posiedzeniu rady regencyjnej dyrektor Wydziału Cereemonii, Widowisk i Wycieczek zaproponował zmianę nazw kilku ulic. Ulice te nosiły dotąd nazwy ludzi — sławnych uczonych, polityków, pisarzy. Dyrektor zauważył niewinnie, że takie nazewnictwo w gruncie rzeczy obraża koński społeczeństwo, że należy zostawić tylko nazwy, pochodzące od imion sławnych obywateli Perszeronii, koni z krwi i kości.

Niepotrzebnie pochyłamy się przed ludźmi — krzychał dyrektor Wydziału Urzędu Kanclerskiego — przecież właśnie po to założyliśmy przed laty Perszeronię, wolne państwo koni, osłów, zebra, ponia itd., żeby wreszcie rzucić z siebie „dosłownie” jarzmo ludzkiej tyranii!

Zaczęto więc zmieniać nazwy. „Ludzkie” nazwy zachowała tylko Aleja Michała Przewalskiego i Plac Kaliguli. Tego ostatniego ze względu na parigatną nominację wierzchowca cesarskiego na konsula. Legenda perszeronka głosiła zresztą, że ów historyczny wierzchowca był bezpośrednim przodkiem pierwszego regenta Perszeronii i założycielem dynastii.

Jednak siwy wałach, dyrektor WCWIV nie był jeszcze usatysfakcjonowany: — Mamu, w mieście jeszcze ulicę Ulanów, Dragonów, Lansjerów itp. Te nazwy także obrażają obywateli Perszeronii! Przypominają naszych przodków, bezsensownie dźwigających na grzbiecie ciężko wykwapowanych żołdaków a i nierządno ginących na ludzkich wojnach!

Wystąpienie dyrektora spotkało się z protestami historyków. Wreszcie rada regencyjna zdecydowała się na kompromis. Postanowiono użyć nazw przynimnikowych. Np. ulica Ulanów nazywa się teraz Ulańska, Kozaków — Kozacka, Huzarów — Huzarska itd. Tylko z nazwy „ulica Tatarska” rezygnowano, bo kojarzyła się nie tylko z tatarską jazdą, ale i z koniskim bełsztykiem.

Sprawa nazewnictwa była zakończona. Nazwy takie jak Owiana, Stajenna, Obrokowa itp. oczywiście zostały. Jedną z reprezentacyjnych placów zyskał imię Bucefała, jedna z mniejszych ulic w śródmieściu nazywała się po reformie „Zaułek Rossynanta”. Przez jakiś czas był spokój.

Ale dyrektor, siwy wałach, nie ustawał w propozycjach kolejnych reform. Oto zaprotestował przeciw ekspozycji bardzo licznej kolekcji obrazów Wojciecha i Juliusza Kossaków, znajdujących się w Muzeum Sztuki. Stwierdził, że obrażają one dumę koński albowiem z reguły przedstawiają, jeźdźców na koniach. Zaproponował zniszczenie lub sprzedaż kolekcji, przez całe lata kompletowanej przez kolejnych regentów i stanowiącej dumę i perłę zbiorów Muzeum Sztuki. Protest dyrektora oprotowali historycy sztuki i znów stanęło na kompromisie: specjalnie sprowadzony z Europy artysta pracownik zamalował sylwetki ludzkie, szczególnie starannie usunął z obrazów siodła, juki, ostrogi i wędzida, jako świadectwa końskiej hanby i uciśku konia przez człowieka. Obrazy przedstawiały teraz „akcie” dziwaczne galopady tabunów końskich — były bez sensu, ale nie obrażały uczuć końskiego społeczeństwa.

Siwy wałach był już zadowolony. Tymczasem jakiś parlamentarny ekstremista wpadł na nowy pomysł: zgłosił projekt wypędzenia z Perszeronii kowali!

Dotąd obywatele Perszeronii byli podkuwani przez grupę sprowadzonych z Europy mistrzów młota i była to właściwie jedyna w kraju mniejszość „ludzka”. Kowale przyjeżdżali na kilkuletnie kontrakty, byli dobrze opłacani w twardej walucie i obywatele Perszeronii zawistnym okiem patrzyli na ich zamożność. Była to jednak konieczność, żaden bowiem koń nie potrafił się podkuć sam.

Kowali przepędzono. Wkrótce jednak zaczęły się kłopoty. Zamożniejsi Perszeronczycy wyjeżdżali specjalnie za granicę, skąd wracali podkuć. Jednak stronnictwo końsko-nacjonalistyczne szalało! Zdobyło większość w parlamencie i przeprowadziło dwie ustawy. Pierwsza zakazywała używania podków pod jakąkolwiek postacią. Bardziej optywiali za tą ustawą przedstawiciele mniejszości wielbiadziej, którzy zawsze obywali się bez podków i byli z tego tytułu niejednokrotnie znieważani przez perszeronskich chuliganów. Słowo „niepodkutny” i „bosokopytny” były w Perszeronii obelgami.

Druga ustawa zmieniała herb Perszeronii, na którym dotąd figurowała podkwa oraz likwidowała najwyższe perszeronskie odznaczenie — Złotą Podkową na Biełkietnej Wstędze.

Tymczasem do stolicy płynęły raporty o zmniejszającej się wydajności pracy koni pociągowych a także służba zdrowia alarmowała, że rośnie wskaźnik wypadkowości i dotkliwych urazów. Początkowo taktownie przemilczano przyczynę — brak podków. Ale wreszcie o tym zaczęto głośno mówić...

Kowale wrócili do Perszeronii. Próby nauczania tego rzemiosła małp w perszeronskim ZOO nie powiodły się. Potem, powoli, pojawiali się też „ludzkie” nazwy niektórych ulic. Zaułek „śmiesznej chabety” jak powszechnie nazywano ulicę Rossynanta, został przemianowany na ulicę Kowali...

BEN GRUNDIK

3

Gdy pada śnieg

Gdy na dworze pada śnieg i jest zimno, ludziom do głowy przychodzi różne pomysły. Mnie też przyszedł taki pomysł. Zamiast siedzieć wygodnie w ciepłym pokoju i oglądać telewizję, wybrałem się w czwartek, 20 lutego 1986 roku, po godzinie 16.00 na skrzyżowanie ulicy Stefana Przybyszewskiego z ulicą Jana Promińskiego, aby zobaczyć, jak też funkcjonuje nasza komunikacja.

Ludzie przewracali się gromadnie na kolami wysłzanym śniegu, samochody tańczyły tylnymi kołami, ludzie stali na przystanku. Stanąłem i ja. Pojadę — pomyślałem sobie — te dwa przystanki do ulicy Jana Kilińskiego, a tam zobaczę co się dzieje. Pomysł wydał mi się dobry i tak postanowiłem uczynić.

W dumę wbił mnie wielki żółty pojazd, który zdał w stronę ulicy Kilińskiego migać żółtymi lampami i wielkimi żółtymi miotłami wyprzedzając śnieg z tramwajowych torów. No, proszę — pomyślałem sobie — nasze MPK nie dało się zaskoczyć zimie w lutym, co jest zupełnie prawidłowe i godne uznania. Za wielkim żółtym pojazdem z żółtymi miotłami jechał tramwaj linii 21. Wsiadłem, skasowałem bilet za 3 złote — taki jestem akuratny — i czekałem aż tramwaj ruszy. Ale nie ruszał. Trwało to kilka minut, pasażerowie zaczęli się denerwować, wysiadać i stojąc na przystanku żywo gestykulować, popatrując w stronę ulicy Kilińskiego. Wsiadłem i ja.

Co się okazało?

Ołóż, owa wielka maszyna, która żelaznymi miotłami wyprzedzała śnieg, po przejechaniu skrzyżowania szyn tramwajowych na ulicy Promińskiego, stanęła i ani rusz nie chciała ruszyć. Za tramwajem linii 21 na ulicy Przybyszewskiego ustawili się już długi rząd tramwajów. Panowie tramwajarze zebrałi się przy zepsutym pojeździe i żywo o czymś rozprawiali. Dyskusja widać była wielce owocna, gdyż wrócili do swoich wspinalnych maszyn, a ten od naszego tramwaju linii 21 zaczął wszystkim wysiadać i przebiegać się do następnych, sam zaś ruszył pustym tramwajem w kierunku zepsutego pojazdu. Zaczął go pchać w kierunku ulicy Kilińskiego, a reszta wolno posuwała się za nim.

Gdy dotarliśmy do ulicy Kilińskiego był tam akurat mały korek. Nie czekałem aż się rozładuje, pchełotą pomaszzerowałem do ulicy Zarzewskiej, gdzie w „Samie” kupiłem piwo „Okocimskie” i udałem się do domu. Usiadłem wygodnie w fotelu, wypilem piwo i w telewizji zobaczyłem, jak nasze dzielne służby komunalne walczą zwycięsko z żywiołem.

Nie ja jeden miałem tego dnia pomysły. Dwaj moi znajomi mieli tego dnia udać się do Łowicza. Jeden doszedł do wniosku, że bezpieczniej jest podróżować autobusem PKS, choć w radiu i prasie straszone go, że może być trudno i autobus może ugrząznąć w zaspie. Pod Łowiczem szczególnie lubią tworzyć się zaspasy. Drugi natomiast doszedł do wniosku, że koleją — zwana przecież żelazną — jest bardziej stabilna jako środek lokomocji pewniejsza i do tego Łowicza wybrał się pociągami.

Teraz będzie zagadka. Każdy może sobie ją rozwiązać, a następnie sprawdzić rozwiązanie z tym, co zaraz napiszę.

Nagrodę proszę sobie samemu ufundować i wręczyć w razie stwierdzenia, że zagadka została rozwiązana prawidłowo. Nie posiadam chwilowo funduszy, które umożliwiłyby mi fundowanie nagród moim drogin Czytelnikom. Z honorarium za ten felieton tego też nie mogę zrobić, gdyż wstyd mi wielki przyznać się, ile zań dostanę.

Teraz zagadka.

Który z podróżnych przybył do miasta Ł. punktualnie, a który z opóźnieniem? Czy ten, który jechał autobusem, czy ten, który jechał pociągami?

Prawidłowa odpowiedź brzmi: Ten przyjechał i wrócił punktualnie, który jechał autobusem Pociągi — mimo żejecha i stabilności — spóźniły się.

Kto odpowiedział prawidłowo wręcza sobie nagrodę. Dla tych, którzy nie przygotowali sobie żadnej nagrody na pocieszenie uczesna dykteryjka o psie Octaviusie synu psa Homo. Nagrodzeni mogą już nie czytać.

Jerzy Podolak z Łukowa wymyślił — nie wiem, czy wtedy, gdy padał śnieg i było zimno — psa Homo, którego nauczył różnych sztuczek. Poznańskie Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami porwało psa Homo i nawet zaskarżone do sądu psa nie zwróciło właścicielowi. Wtedy Jerzy Podolak wymyślił psa Octaviusa syna Homo, który jest zdolniejszy i właśnie, gdy to piszę występuje w Domu Kultury Lubelskiej Spółdzielni Mieszkaniowej, który to dom mieści się przy ulicy Wallenroda, a organizatorem tych występów jest studenckie biuro Alma-Art. Pies Octavius jest zdolniejszy od psa Homo, bowiem śpiewa, tańczy, gra i rysuje. Na pokaz tych psich umiejętności przybyli licznie dziennikarze, a nawet zagraniczne ekipy telewizyjne. Pełno będziemy mieli teraz wiadomości o genialnym psie Octaviusie.

Czego to ludzie nie wymyślą nawet, gdy nie pada śnieg.

ZENON POROWATY

4

Sport

Jak zdobyć pieniądze?

Niektórzy powiadają, że pieniądze nie dają szczęścia i być może mają rację. Ale nie radziabym lekceważyć opinii innych, którzy twierdzą, że bez pieniędzy w ogóle jest źle. Wymyśliłi je dawno temu Fenicjanie i jakoś nikomu do tej pory nie udało się ich zlikwidować. Skoro więc już są, to trzeba je zarabiać, choć może bez przesady.

Są w życiu człowieka takie okresy, kiedy gwałtownie odczuwa potrzebę przypiływu gotówki. Musi coś kupić, a tu i inne wydatki trzeba robić. Pieniędzy nie ma dużo, więc i szuka źródła ich zdobycia. Najlepiej zapracować, tylko że nie za każdą pracę dobrze płacą. Trzeba więc — powiada ten i ów — pokombinować. Mój znajomy zaczął nagle grać w Totolotkę. — Zobaczysz — powiedział — zaraz wygram milion, albo i więcej. Nawet dobrze mu życze. Niech wygra. Tylko znam już kilku takich zapaleńców, do tej pory pożyczają przed pierwszym.

Jeśli więc nie praca, nie szczęście w grze w Totolotkę czy na Loterii Państwowej, to jak zdobyć duże pieniądze? Adam R. z Koła wpadł na genialny pomysł. Nie radzę go od razu powiadać, gdyż do tego potrzeba mieć syna, który chce grać w piłkę nożną. Inne dyscypliny sportu są mniej opłacali-

ne. A już ideałem byłoby mieć dwóch synów mających ochotę grać w piłkę nożną. I właśnie Adam R. miał: Andrzeja i Marka i postanowił zrobić na nich wielkie pieniądze.

Naczytał się w gazetach o wielkich transferach kandydatów na wielkich piłkarzy i pomyślał sobie, że jego chłopcy też mogą być takimi kandydatami, a na dodatek nie mają jeszcze 18 lat, więc cały zysk z transferów on sobie zabierze. Przyszedł więc do dzieła.

Jego syn, Andrzej R. grał w drużynie Olimpii Koło. W maju 1985 roku jako zawodnik tego klubu grał w Słupcy mecz z juniorami NRD. Jest to — jak z tego wynika — zdolny piłkarz, zresztą wchodził do kadry juniorów. Grał też w czasie Ogólnopolskiej Spartakiady Młodzieży w Łodzi i został nawet królem strzelców, uznano go także za najlepszego technika. Takiego zawodnika zechce mieć u siebie każda drużyna. Właśnie w Łodzi powstał pomysł, aby Andrzej R. i przy okazji Marek R. przenieśli się z Koła do Wielunia.

Kto wpadł na ten pomysł trudno dziś dojdź. Adam R. mówi, że działacze WKS Wieluń, a działacze WKS Wieluń, że Adam R. Pozostaje wszakże faktem, że WKS Wieluń wypłacił Adamowi R. pożyczkę w wysokości 200 tysięcy złotych na „zagospodarowanie Andrzeja i Marka w związku ze zmianą barw klubowych i koniecznością urzędowania się w nowych warunkach”. W warunkach umowy stało, że pożyczka może być umorzona. Poza tym WKS Wieluń krył wydatki Adama R. gdy ten — jako troskliwy rodzic — przyjeżdżał do Wielunia, aby odwiedzać synów, a także stosownie odział i obu młodzieńców.

Chłopcom to zbytnio nie pomagało. Gdy uczyli się nie najlepiej, a w końcu przestali. Andrzej ponoć marzył o szkole samochodowej, zbyt późno jednak zgłosił się do niej, aby mógł być przyjęty. Miał uczyć się w zawodowej inżynierii, nim powstanie możliwość przeniesienia się do samochodówki. Ale zawodówka innego typu mu nie odpowiadała. Przestał więc do niej chodzić. Marek R. również miał krytyczne uwagi o szkole i też z niej zrezygnował.

Z punktu widzenia młodzieńców mających zrobić przeświadczenie kariery piłkarskie rozmowa nie jest ze wższmi miar słuszną. Po co chodzić do szkoły, czy do pracy, skoro wiadomo, że jest to tylko kamuflaż. Dobry piłkarz nazbiera tyle „szmalu”, że mu wystarczy do końca życia, nie musi zatem udawać, że jest takim kujonem w szkole, a pracusem w pracy. Byłoby tylko zostać gwiazdą piłkarską.

W Wieluniu zostać gwiazdą raczej trudno. Potrzebny do tego jest klub raczej ligowy, bardziej znany. Na przykład taki, z którego już jakaś gwiazda wyrosła. Zbyszek Boniek zaczynał swą karierę piłkarską w bydgoskim Zawiszy. Może by tak spróbować szczęścia w Bydgoszczy? Adam R. zwrócił się więc z prośbą do Zawiszy, aby przyjęto jego chłopców. W Wieluniu zażądano za nich... 3 miliony złotych. Zawisza mógł dać góra milion. Powstał impas.

Wprawdzie Andrzej R. i Marek R. są już w Bydgoszczy, ale sprawa transferu nie jest formalnie przeprowadzona i sprawa ma się zająć PZPN. W Zawiszy mówią, że Adam R. tym razem nie dostał żadnych pieniędzy i nie dostanie. Pięknie brzmi takie oświadczenie.

Sposób zarabiania pieniędzy, jaki wybrał sobie Adam R. można byłoby uznać za jego prywatną sprawę, gdyby jednocześnie nie demoralizowało to młodzieńców, którzy są przedmiotem tych transakcji i innych, którzy o tym dowiadują się i też chcieliby, aby ich ktoś sprzedawał i coś im z tego kapao. A potem kilku starszych panów będzie się zastanawiało skąd ta pogoń za pieniędzmi, demoralizacja i zgorznienie. I znów padną piękne banały o wychowywaniu, w dodatku poprzez sport.

Ktoś już zaczął wychowywać W drugą stronę.

BOGDA MADEJ

Na podwórko leśnicówki wiatr młócił lekki pył trocin, pokrywał nim szyby w domu, zdzbiał trawę, osiadał na wargach, gdy się stało na ganku przed domem. Następnie — napisał Stęborek fałszywe świadectwo przeciw Sołocie, ponieważ las od dawna siegał swoją niewidzialną ręką po dom i sad starego Horsta. Ale zjawiał się ten dziwny człowiek na koniu, człowiek z zimnymi oczami, człowiek — wilk, jak go nazywali robotnicy leśni i dał świadectwo prawdziwe. A Stęborkowi usechł ostatni modrzew. Wczoraj gajowy Wzdręga powiedział Stęborkowi, że strażnik łowiecki nagle zniknął z lasu tak samo tajemniczo jak się w nim pojawił, pozostawiając w stajni Soboty swoją izabelowatą kłacz, siodło i pejcz. Nie odżyła jednak w Stęborku nadzieja, że znowu jakimś złym sposobem, fałszywym świadectwem lub podstępem zdola zagarnąć dom i sad starego Horsta. W tej chwili był skłonny niemal uwierzyć Wzdrędze, że strażnik łowiecki nie zniknął tak naprawdę, zmienił jedynie postać i nocami w skórze wilka gna bezszelestnie po ścieżkach i drożynach wielkiego lasu. Opowiadano, że Budrys i Karaś, późną nocą, gdy dom Horsta był pogrążony we śnie głębokim, chcieli się przez okno dostać do pokoju, gdzie mieszkał nie tak dawno człowiek o nazwisku Józef Maryn, aby zabrać być może pozostawione przez niego jakieś straszne fotografie. Przeskoczyli płot, zakradli się pod okno, kiedy nagle z ciemności nocnych wyskoczył dziki wilk. W zupełnym milczeniu jak to zwykli czynić dzikie zwierzęta, rzucił się Budrysowi do gardła. Uszedł Budrys z życiem i uszedł z życiem Karaś, ale z poszarpaną odzieżą i poranionymi ramionami. „To był pies Iwo” — powiedział do Wzdręgi leśniczy Stęborek. Kiwnął głową Wzdręga, że się zgadza z taką oceną wydarzenia, obydwa jednak, tak dla siebie i na swój użytek pomysłili, że jeśli nawet to był tylko pies wytresowany do pilnowania sadu przed leśnymi ludźmi, to przecież ten, co go tresował, mógł mu przekazać coś z siebie. Czyli on sam zniknął gdzieś tajemniczo, choć zarazem pozostał i dalej czuwał nad bezpieczeństwem starego Horsta i jego domu. Tak więc stało się jasne, że nikt nie uwolni się od przyjaźni ze strażnikiem łowieckim, jeśli w sieci tej przyjaźni został zaplątany. Dlatego nikt nie zaczynał na nowo kłusować, mimo że nie stało już strażnika łowieckiego, gdzieś tam bowiem istniały jakieś świadectwa przestępstwa i ktoś pozostał ich strażnikiem.

Stęborek podniósł się z kłęczek i odetchnął głęboko. Dla turystów, którzy zatrzymywali swoje samochody na poboczach szosy biegnącej przez las — jeszcze trwało lato. Ale leśni ludzie już widzieli początki jesieni — ocieźniały od orzechów leśniny oraz ciemniejszą zieleni buków. Żółtawe stawały się końce trawy na liniach działkowych, czerniły jeżyny i czerwieniły owoce jarzębiny. Stare pieknie na uprawach pokryły się grzybami, przestało kwitnąć leśne runo i tylko bluszcz zaczynał mieć kwiaty. Na dębach wisiały żółędzie, owocowały jawory i klony. Na sosnach z wolna otwierały się szyszki i z cichym szelestem opadały na ziemię ich drobne nasiona. Słońce jeszcze świeciło upalnie, las jednak oddychał zgniętą wonią zbliżającej się śmierci liśstowa.

Patrząc na ogromną polną uprawy widział Stęborek, że wyginęły nie tylko modrzewie, ale uschły też młode sosenki, buki, świerki i dęby. Ile z tych, co pozostało przetrzymać zimę i odżyje na wiosnę? Przynajmniej na polowie uprawy trzeba będzie na nowo sadzić młode drzewa. I co uczynić, aby tym, co jeszcze żyją dodać jakiejś tajemnej sily, zdolnej ochronić je przed mrozem oraz zimową wichurą. Jakiej to ofiary żądał od niego las, w zamian za życie młodych roślin? Czemu upodobał sobie leśniczego Kondrata, zabójcę kochanka swojej żony, a nie pokochał leśniczego Stęborka?

Raptem poczuł Stęborek w swoim sercu jak gdyby straszny chłód. A jeśli wielki las jest zazdrosny o jego żonę, Malwinę? Nie przyjmując od niego żadnej ofiary, gdyż zamiast miłości do lasu on żyje miłością do Malwiny. Zamiast pieczołowicie hodować modrzewie, on w swoim domu hoduje kobietę podobną do rośliny? Czas, jaki poświęca leśnym drzewom wydaje mu się czasem skradzionym Malwinie, wciąż więc oszukuje las, który się jednak oszukać nie da. Las nie może mu też odebrać duszy, gdyż już od dawna duszę mu odebrała Malwina. To ją podkłada swoją sperma, chucha na nią i dmucha, opyla od kurzu, zasłania przed słońcem, chroni przed wiatrem i mroźnym oddechem zimy. Nie, to niemożliwe. Las nie był żywą istotą zdolną kochać i nienawidzić, albo po prostu nie lubić. Bajania szalonych leśników i Horsta Soboty nie zmąca umysłu Stęborka, nie pozwala, aby choćby najmniejsza cząstka swej duszy odebrał Malwinie i zaniósł ją do lasu. Niech raczej schną jego uprawy, niechaj będzie złym leśniczym i opuści przeklęty las, zabierając ze sobą Malwinę. A dokąd pójdą? Do innego lasu?

Po drugiej stronie uprawy stał wysoki starodrzew sosnowy, który od kilku lat żywocowano. Zerwał się wiatr tak delikatny, że Stęborek nawet nie poczuł na twarzy jego podmuchu, tylko leciutko zakolysały się korony wysokich sosn i usłyszał ich szept. Tak, teraz był pewien, że las umie mówić i on już rozumie mowę lasu, jak znał ją podobno stary Horst Sobota, nadleśniczy Masłocha i wielu innych leśnych ludzi. Las żądał od Stęborka, aby swoją miłość po równo podzielił między niego i Malwinę.

Urochomił silnik harleya i pojechał prosto do swojego domu. Z zaciśniętymi zębami udawał, że nie słyszy zgrzytu traka z baru zbudowanego tuż koło jego domu. Udawał, że nie widzi zwalonych na polu dębów i modrzewiowych dłuź, nie czuje zapachu żywicy, którą krwawiły świeże deski ułożone w wysokie stopy. To on sam sprowadził tu Kozusznika i uczynił ogromne zło, które teraz sam będzie musiał zwalczyć. Ale to było zadanie na później. Las nie chciał tartaku tuż obok swojego skraju, nie chciał słyszeć zgrzytu traka, nie chciał wachać żywicznej krwi desek, podobnie jak nie chciał, aby Stęborek wyłącznie kochał Malwinę.

Zatrzymał harleya na podwórku i wszedł do mieszkania. Malwinę zastał w kuchni. Była jeszcze w szlafroku, rozspana i poziewiająca. Nakarmiła już dziecko i oświadczyła mężowi, że po tym, co zrobiła, czuje się bardzo zmęczona. Skoro Stęborek przyjechał z lasu, to może zająmie się dzieckiem, a ona znowu położy się spać.

— Nie — rzekł twardo Stęborek i kazał Malwinie wciągnąć na siebie majtki, bluzkę, spodnie, dziecko ubrać w śpioszki.

— Zabiore was do lasu — dodał twardo, tak, że Malwina, która nigdy nie słyszała u niego takiego tonu, aż się przeraziła.

— Trzeba nam do lasu, Tobie, mnie i dziecku — niewyraźnie mruczał Stęborek, stojąc neruchomo przy oknie i patrząc na ścianę lasu tuż za piaszczystą drogą. — Musisz zaczerpnąć świeżego powietrza.

Jazgotliwie zawył trak z drugiej strony domu i mimo zamkniętego okna, ten dźwięk nieprzyjemnie dotknął Stęborka.

— Trzciny i drzewny pył okryją nasze serca i dusze — dodał.

Było coś w głosie męża, że Malwina nie zaprotestowała. Posłusznie zrzuciła z siebie szlafrok, wciągnęła majtki, z trudem uochała obwisłe po dziecku piersi w troche za skąpy biustonosz. Stęborek widział przez szyby pnie drzew leśnych, lecz zarazem w szybie jak w lustrze odbijała się postać Malwiny i jej spłaszczone piersi. Ożenił się z inną kobietą, tamta miała sterczące dwa strone wązorki z małymi kopolkami brodawek. „Ona mnie z czegoś okradła” — pomyślał.

Zasunęła zamek kłozowej spodniczki, zapięła guziczki bluzki. Potem, gdy ubrała dzieciaka w śpioszki, owinęła kocykiem i wzięła na ręce, wyprowadził ich na podwórze. Urochomił silnik harleya Malwina z dzieckiem jak zwykle usiadła za jego plecami. Wyjechał wolno i od razu skręcił w boczną drogę prowadzącą w kierunku jego uprawy. Zatrzymał harleya za uprawą, na malej polance, gdzie rósł stary dąb szypułkowy, gubiący teraz żółędzie. Polankę osłaniały krzaki jeżyn, zagładało tu słońce, głośno bzycały muchy na porowatym pniu. W skąpej trawie wydeptały ścieżki mrówek i wędrowały po niej bez przerwy, w e i z powrotem, ku niedalekiemu mrówisku.

Dziecko zasnęło podczas jazdy i Stęborek odebrał je Malwinie. Odnalazł spokojne miejsce zacienione, dalekie od ścieżki mrówek. Owinęte w kocyk położył w malutkim wgłębieniu ziemi. Potem rozleżał się uważnie dookoła i oddech przystał, słuchając czy skądś nie dobiega trzask łamanych gałązek. Usłyszał jednak tylko daleki szept starodrzewu i stanowcze żądanie lasu.

— Podnieś kiełkę i ściągnij majtki — rzekł do Malwiny, nie patrząc na nią, tylko gdzieś w bok, w stronę uprawy.

Wielki las

(34)

ZBIGNIEW NIENACKI

— Co ty? Karol? Tutaj? Teraz? Boję się ludzi. Ktoś nas zabije — pisała, bo chyba nie umiała krzyczeć. Nigdy nie potrafiła wydobyć z krtani donośniejszego głosu. Nawet kiedy rozdzia w szpitalu, lekarz powiedział: „Czy to jakąś kotkę przynieśliście nam na porodówkę?”

— Tu nie ma nikogo. Ani człowieka, ani zwierzęcia. Ściągaj majtki — powtórzył.

— Ale jest las, Karolu. Dookoła rośnie las. Lasu też się boję — pisk był donośniejszy i zabolął Stęborka jak zgrzyt traka.

— Muszę dać nasienie tej uprawie. Takie są nasze leśne prawa — wyjaśnił, wciąż czujnie rozglądając się na wszystkie strony.

Obawa, że ktoś może ich w lesie podpatrzeć, opór Malwiny i niezwykłość sytuacji w jakiej miał zobaczyć obnażoną żonę — podnieciły Stęborka. Poczuł, że pragnie ją mieć teraz, tutaj, na tej polanie.

— Podnieś kiełkę i ściągaj majtki — warknął przełykając silne, gdyż w ustach zrobiło mu się bardzo sucho.

Już nie myślał w tej chwili o tym, że przyszedł tutaj, aby podzielić z lasem swoją miłość do Malwiny. Odrzucił od siebie głupie przesady leśników. Potwierdzały się w nim naukowe poglądy, które posiadał na studiach. Wszak było prawdą, że ludzie kiedyś żyli w lasach, kochali się w nich i rozmnażali nie czując wstydu przed jego szumem i jego obecnością. To dopiero potem zamknęli się w swoich domach, wleźli pod pierzynę i tylko czasami dawali upust swojej prawdziwej naturze, zaciągając baby i dziewczyny do młodników. Weźmie Malwinę na oczach lasu, bo takie są stare prawa leśne i ludzkie.

Malwina tak była oszołomiona tym, czego od niej oczekiwał mąż, że oprócz pisku nie potrafiła zdobyć się na gwałtowniejszy protest. Przynaglana jego rozkazami, prawą ręką zadarła spodniczkę aż po pepek, lewą ściągnęła z brzucha majtki i opuściła je do połowy ud. Stała tak w słońcu na leśnej polanie obok grubego dębu, jej śniada cera poszarzała ze strachu, w oczach pokazały się łzy.

Karol Stęborek odwrócił twarz od uprawy i spojrzał na żonę, aby nasycić wzrok nagocią jej najintymniejszych miejsc. Ujrzał trochę obwisły brzuch z sinymi rozstępami po ciąży, kłebowisko czarnych włosów zarastających łono aż po pepek, chude uda i palakowate nogi. Zaskoczyła go szarość jej twarzy, skrzywienie do płaczu wąskie usta, łzy w oczach. Poczuł się niekiedy, a nawet obudził się w nim wstręt do tego, co chciał zrobić ze swoją żoną. Czyżby oszalał? Podał się zwariowanej gadaninie leśnych ludzi? On — człowiek światły — wyprowadził żonę do lasu, aby obok uprawy mieć z nią stosunek jak z jakąś wielką dziewczką? Las nie był żywą istotą, stanowił jedynie zbiorowisko drzew, żywych a zarazem martwych, ponieważ nie miały systemu nerwowego, nie mogły odczuwać bólu, ani strachu, ani miłości, ani nienawiści.

Upokorzenie kazało mu paść na kolana przed Malwiną, która wciąż stała w słońcu obok pnia dębu, z zadartą do góry spodnicą i majtkami opuszczonymi do połowy ud. Poczuł w sobie chęć do płaczu. Objął dłońmi uda Malwiny, przytulił twarz do jej zwiotczałego brzucha.

— Ja zwariowałem — wyszeptał. — Przez chwilę zwariowałem, Malwino. To przez ten przeklęty las, głupie gadanie szalonych ludzi. Chciałem z lasem podzielić się moją miłością do ciebie.

Malwina wydawała mu się teraz tak bezbronna i słaba, zdana na jego łaskę jak malutka roślinka na uprawie. Opiekował się nią, uzależnił od siebie, osadził ją w domu jak pelargonie w doniczce, sprawił, że jej piersi stały się obwisłe, a brzuch brzydki i oto teraz, miał się okazać jak leśne prostaki, które wykorzystują kobiety, aby im gotowały, prały, grzały łóżko i dawały przyjemność? Cóż z tego, że czyniły wszystko z pomrukiem zadowolenia. Malwina była inna, wyjątkowa, miała głęboko ukryte życie wewnętrzne. Nie chciał go poranić albo jeszcze gorzej — pohańbić. Nie będzie jak Kulesza, który wziął siłą swoją żonę, Weronikę, i dlatego od niego odeszła.

Opanował wzruszenie. Pomógł jej podciągnąć majtki i opuścić spodnicę. Położył na jej rękach śniące dziecko i zapuścił silnik harleya. I znowu jechał przez las, ale już szybciej, gdyż chciał wydostać się na wolną od drzew przestrzeń, między pola i domy. Wydawało mu się, że uratował w sobie dumę i honor. Malwina jednak obejmując udami Stęborka pomyślała, że gdy-

by na miejscu Karola był brodaty Łukta, rzuciłby ją brutalnie na polanę pod dębem, przykrył usta wielką i smierdzącą papierosami brodą, wypełnił łono czynną grubym i długim. Przez chwilę na polanie Karol był dla niej właśnie owym strasliwym Łukta, bała się go i mocno pragnęła. Krzywiła usta do płaczu i naprawdę miała łzy w oczach, lecz mężczyzna powinien wiedzieć czego kobieta pragnie w największej skrytości. Słyszała od Karola o tym jak to Kulesza wraz z innymi leśnikami wziął na oczach innych własną żonę, Weronikę. Na twarzy Malwiny ujrzał wtedy Stęborek i wstręt, i przerażenie, że ktoś tak się mógł obejść ze swoją żoną. Ale potem, kiedy Karol pojechał do lasu i Malwina położyła się do łóżka, wyobraziła sobie gwałconą Weronikę, a raczej siebie jako Weronikę, trzymając ją Łukta, a Karol w nią wchodził, podnieconemu Łukcie ślina ciekła na smierdzącą brodę, i nawet śniło się jej to kilka razy, budziła się podniecona i zachęcała Karola, aby ją brał. Trochę podobnie mogło być na tej polanie pod dębem. Żal, że się tak nie stało. Może tam, na tej polanie, poczęłoby się ich drugie dziecko? Nie zdradzi tego nigdy Karolowi, ponieważ nawet nie ma pewności, czy właśnie tego w ogóle pragnęła, a co najwyżej mogło to być marzenie, które nie chcemy, aby się spełniło.

O północy Karol Stęborek upewnił się, że Malwina i dziecko śpią twardo. Ostrożnie wysunął się spod koldry, narzucił na piddzianę zieloną pelerynę z kapturem, na bosaka wyszedł na podwórko i tam na jakiś czas zniechęcił, usiłując przeniknąć wzrokiem ciemność bezkieszcycowej nocy. Powietrze było ciepłe, parne, zapewne nad ranem miał spaść deszcz. Nie czuło się najmniejszego powiewu wiatru, po drugiej stronie drogi las milczał, jak gdyby nie istniał. Harley stał pod siodłem, Karol zbliżył się do niego w ciemnościach, po omacku odnalazł litrową butelkę, którą tam pozostawił z wieczora, następnie cienki plastikowy wąż dostarczający benzynę do gaźnika włożył do butelki i odkręcił kurek z paliwem. Butelka stawała się coraz cięższa i cięższa. W końcu zamknął dopływ benzyny, umieszczył wąż w dawnym miejscu, a sam bosko i bezszelestnie przebiegł przez dziurę w ogrodzeniu i po kłującej trawie poszedł w kierunku tartaku. Oczym już mu przywykły do ciemności, wyciągnęła do przodu dłoń, trafiła na ścianę z desek. Najpierw skierował się do umieszczonej na ścianie tartaku szafki z elektryczną tablicą rozdzielczą, chwycił na nią benzynę, odrzucił butelkę i starannie wytarł dłoń w pelerynę.

Las był głuchy i niemy, milczał też zgrzytliwy zawsze trak ukryty w tartaku. Stęborek tylko na chwilę zawałał się, potem poczuł w sobie ogromną moc. Czy nie dowiódł sobie dziś w lesie, na polanie koło dębu, że Malwina droższa jest mu nad wszystko na świecie, nawet nad miłość do lasu? Nie podzielił się z lasem swoją miłością do Malwiny, jeszcze raz spróbuje się jednak ofiarować wielkie zło. Pomyśl z tartakiem w starej żwirowni, fałszywe świadectwo przeciw bliźniemu — tym można było rzeczywiście wzgardzić. Ale to, co uczynił za chwilę, będzie wielkie i las musi to przyjąć. Zresztą, co mu po lesie? Malwina nie znosi zgrzytu traka i trocin, które prosiły wiatr na ich drzewa w ogrodku, na ich podwórku, na ich dziecko usłone w wózecku pod sliwą. Tak naprawdę, to przecież on, Stęborek, zbudował ten tartak i on ma prawo go zniszczyć.

Potań zapalną i rzucił ją na obłą benzyną tablicę rozdzielczą. Benzyna nie było zbyt wiele, więc nie od razu zajął się cały tartak. Gdy czerwona łuna rozjaśniła okno w syplalni, on znowu leżał w łóżku i Malwina zaczęła nim potrząsać, aby się obudził, choć on wcale nie spał.

— To tartak. Zapalił się tartak — powiedział Stęborek wyskakując z łóżka. Zdziwiła się Malwina, że tak od razu wiedział, co się pali, skoro tylko czerwona łuna rozlewała się za oknem.

Stęborek wstał drewniak, narzucił stary płaszcz i wybiegł na podwórze. Ze stojaka zdjął bosaka i pobięł do pożaru.

Był pierwszym, który znalazł się przy płonącym tartaku. Dostawo po kilku minutach nadbiegł brodaty Łukta — tylko w kaloszonach i podkoszulce, a jeszcze później kilkunastu drwali z osady leśnej. Wreszcie odarpanym samochodem osobowym przyjechał Kozusznik. Zaraz po nim przybył ze wsi wóz Ochotniczej Straży Pożarnej, zaczęto rozwijać wąż, ale w pobliżu nie istniała nawet kałuża z wodą, więc tylko bombardowano tartak pianą gaśniczą.

Tartak płonął powoli. Czerwonożółte płomienie najpierw objęły ścianę z instalacją elektryczną, potem liźnęły dach nad tartakiem. Zdumiał się Łukta, że Stęborek zamiast chwycić ze stojaka przeciwpożarowego gaśnicę pianową albo otworzyć skrzynię z piaskiem, rzucił szpadlem pianą na dopiero co zajęte płomieniem ściany z desek — biegał wokół ognia wymachując bosakiem jak halabardą. Belkotął przy tym jakieś niezrozumiałe słowa, krzychał coś do siebie. Jak gdyby jakiś taniec zaczął odbywać z bosakiem w rękach, to przykucał i z nagłą wyskakiwał dziobiąc ostrym końcem w płonącą ścianę, to znowu czynił kilka kroków wstecz i w wystawionym do przodu bosakiem szarżował na ogień. Później zaczął wymachiwać bosakiem, bił nim w trzaskające od ognia dachówki pokrywające dach. Widzieli ludzie i strażacy jakieś dziwne piruety Stęborka, gdy kręcił się jak wrzeciono, to znowu bosakiem walił w belki nawet tam, gdzie jeszcze ognia nie było. Zdawało się, że odczuwa ogromną potrzebę, aby bić ten tartak, walić gdzie popadło, aż go musiano odsunąć od ognia, żeby nie przeszkadzał strażakom. Strasznie przy tym wyglądał, twarz miał osmoloną dymem i w blasku ognia widać było jedynie białką jego oczu, którymi groźnie przewracał. A kiedy mu odebrano bosaka, usiadł ciężko na ziemi, z gardła wydobywał mu się świst oddechu, charczenie, a nawet skowyt jak u psa.

CDN



Rys. Janusz Szymonowski Głone